

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM FABULARNYM
„PILECKI”



NR 5(75)/2019 MAJ 2019

CENA 8,90 Zł (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
RZECZY

9 772299 1509
ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr Indeksu 296 031
0.5



Tajemnice Izraela ZABÓJCY Z MOSADU

ade6536e



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL

Przewodzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedziółko (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoreporterzy: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska

Okladka: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Antoni Trzmiel

(także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:

Karol Gac (zastępca), Blanka Aleksowska, Zuzanna

Dąbrowska (także Radio Maryja), Zofia Magdziak,

Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian

Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także

SuperExpress), Marek Budzisz

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu spółka Orle Pióro wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10

reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:

pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu nakładu podstawowego 296031

Nr indeksu nakładu z filmem 297887

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując

się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta

pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59

– czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń

ani nie zwraca materiałów niezamówionych.

Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji

tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa

autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze

rozpowszechnianie materiałów opublikowanych

w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku

chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa

zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu

tylko z zgodą wydawcy. Regulamin i warunki

licencjonowania materiałów prasowych

na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, październik 1933 r.

Hanka Ordonówna jako Rita Holm, śpiewaczka i agentka, oraz Bogusław Samborski w filmie „Szpieg w masce”



FOT. MAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Dwie strony medalu

We wrześniu 1972 r. grupa palestyńskich ekstremistów z grupy Czarny Wrzesień dokonała spektakularnego ataku podczas letnich igrzysk olimpijskich w Monachium. Uzbrojeni w automaty AK-47 terroryści wdarli się na teren wioski olimpijskiej, w której mieszkali izraelscy sportowcy... W ataku zginęło 11 żydowskich atletów i trenerów.

Zamach dokonany podczas olimpiady zszokował świat. A w Izraelu z jednej strony wywołał żal, a z drugiej wściekłość i pragnienie rewanżu. Rząd państwa żydowskiego postanowił pokazać, że świat się zmienił. I nie można już bezkarnie mordować Żydów. W efekcie tropem organizatorów i sprawców masakry w Monachium ruszyli egzekutorzy Mosadu.

Od tamtego czasu eliminowanie wrogów Izraela stało się popisowym numerem tajnych służb tego kraju. Jak ocenia w rozmowie z „Historią Do Rzeczy” Ronen Bergman – autor głośnej książki „Powstań i zabij pierwszy” – izraelskie służby dokonały ok. 3 tys. operacji eliminacyjnych. Najwięcej

spośród wszystkich krajów Zachodu od zakończenia II wojny światowej.

Akcje te bez wątpienia imponują. Znakomitą, perfekcyjną wręcz organizacją i logistyką. Sprawnością, brawurą i odwagą egzekutorów. A także pomysłowością i inwencją planujących operacje oficerów. Jeżeli zdrzesz z Izraelem – nigdy nie zaznasz spokoju. Nigdzie nie będziesz bezpieczny. Dopadniemy cię nawet na krańcu świata. Taką wiadomość wysłał Mosad wszystkim terrorystom.

Jest jednak i druga strona medalu. Czy rzeczywiście wszyscy ludzie zabici przez Mosad byli winni? Nie mieli przecież prawa do obrony, nie postawiono ich przed bezstronnym sądem. Czy jedno państwo powinno mieć prawo do zabijania obywateli drugiego państwa? A wreszcie pytanie zasadnicze: Co z przypadkowymi ofiarami? W atakach przeprowadzanych przez Mosad giną bowiem przypadkowi przechodnie albo członkowie rodzin terrorystów.

Dyskusja na ten temat jest bez wątpienia równie pasjonująca co same operacje likwidacyjne Mosadu. ©

/ TEMAT NUMERU

.6 RONEN BERGMAN

**Egzekutorzy
z Mosadu**

.10 MARCIN BARTNICKI

Seks dla Izraela

.14 JAKUB OSTROMĘCKI

Zemsta za Monachium

.20 PIOTR ZYCHOWICZ

Wpadki zabójców

/ CZASY I LUDZIE



.24 MAREK GAŁĘZOWSKI

**Najdzielniejsi
z dzielnych**

.28 MIKOŁAJ IWANOW

**Żydowski
oddział Zorina**

.32 SŁAWOMIR KOPER

Kobiety Sienkiewicza

.36 JAN PODHORSKI

W piekle katowni UB

.40 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Błękitna Dywizja

.44 MARIUSZ OLCZAK

Generalska mistyfikacja

.48 PIOTR SEMKA

Wezwijcie kawalerię!

.54 TOMASZ STAŃCZYK

Tysiąc zwycięskich walk

.58 SEBASTIAN BOJEMSKI

NSZ przeciw czerwonej pajęczynie



/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Mroczna potęga fantastyki.85 PIOTR SEMKA
Seksmisja w realu.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
„Kurier”, czyli znów słabo

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK
Czajkowski, czyli Sadyk Pasza

/ BATALIE I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK
2 x Orsza plus

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI,
MACIEJ JASIŃSKI**Pod Chojnicami
1454 r.**.62 MACIEJ ROSALAK
Judeo-Polonia.66 MARIAN ZACHARSKI
Amerykanie kontra agenci KGB.70 LESZEK LUBICKI
Tajemnica królowej bez palców.74 ADAM ŁEŚCZYŃSKI KONTRA TADEUSZ
M. PŁUŻAŃSKI
Spór o przyszłość IPN.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Erzace

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ

**Ucieczki
Ksawerego
Pruszyńskiego**

Wywiad / Z Ronenem Bergmanem, autorem „Powstań i zabij pierwszy”



rozmawia Piotr Zychowicz

Żołnierze Shayetet 13, specjalnej jednostki izraelskiej marynarki wojennej

FOT. ISRAEL DEFENCE FORCES

Egzekutorzy z

PIOTR ZYCHOWICZ: Co to jest „selektywna eliminacja”?

RONEN BERGMAN: To izraelski kryptonim operacji mającej na celu zabicie człowieka.

Ilu ludzi poddano tej procedurze?

Nie ma dokładnych danych. To są dane ściśle tajne. Szacuję jednak, że izraelskie służby w całej swojej historii wykonały ok. 3 tys. operacji eliminacyjnych.

Trzy tysiące zabitych ludzi? Sporo.

To, że Izraelczycy przeprowadzili 3 tys. operacji, nie oznacza, że zabili 3 tys. ludzi. Część akcji zakończyła się fiaskiem. W swojej książce opisałem np. wiele nieudanych prób zabicia palestyńskiego przywódcy Jasera Arafata. Nie ma jednak wątpliwości, że Izrael zlikwidował więcej ludzi niż jakiegokolwiek inne państwo Zachodu od zakończenia II wojny światowej.

Którą z tych 3 tys. operacji uważa pan za najlepszą?

To trudy wybór. Wskazałbym jednak na operację „Morris”, czyli wytropienie i zabicie Imada Mugnii, wojskowego przywódcy Hezbollahu. Ten facet miał na rękach krew tysięcy ludzi. Odpowiadał za wiele zamachów na Izraelczyków, to on stał za atakiem na ambasadę USA w Bejrucie w 1983 r. Zginęły wówczas 63 osoby. Mugnija był najbardziej niebezpiecznym terrorystą w historii.

A jednocześnie nieuchwytnym.

Tak, wytropienie go wydawało się niemożliwe. On był jak cień. Wymykał się pogoni przez 26 lat. Był najbardziej poszukiwanym człowiekiem na planecie Ziemi. Dopaść chciały go służby 41 państw, ale nikt nic o nim nie wiedział. Wszystko, czym dysponował Mosad, to stare, wyblakłe i rozmyte zdjęcie Mugnii z 1983 r.

Niewiele.

Prawie nic. Operacja została przeprowadzona w 2006 r., a więc 23 lata później. Izraelczycy nie mieli bladego pojęcia, gdzie jest Mugnija. Kim są jego

ludzie. Jaka jest struktura jego organizacji. Mugnija był mistrzem kamuflażu. Potrafił być niewidzialny. Szef Mosadu wydał jednak rozkaz, żeby go odnaleźć. I zabić. W ten sposób rozpoczęła się najbardziej niesamowita i skomplikowana operacja eliminacyjna, jaką kiedykolwiek przeprowadzono. Brało w niej udział pięć czy sześć agencji wywiadowczych z Izraela i USA. Działały one pod nadzorem premiera Ehuda Olmerta i prezydenta George’a W. Busha.

Ile trwała operacja?

Do popołudnia 12 lutego 2008 r. Imad Mugnija zginął tego dnia. Agenci Mosadu włamali się do bagażnika jego samochodu. To była terenówka – mitsubishi pajero. Izraelczycy wyjęli z niej koło zapasowe i umieścili nową oponę. W środku znajdował się ładunek wybuchowy. W momencie, gdy Mugnija wsiadał do samochodu, doszło do eksplozji.

Jak go wytropiono? Popełnił jakiś błąd?

To świeża sprawa i nadal wielu szczegółów nie mogą wyjawiać. Mogą tylko po-

Terrorystów likwiduje się także raketami wyrzeliwanymi z samolotów FOT. ARCHIWUM

Mosadu



wiedzieć, że każdy człowiek pozostawia po sobie jakiś ślad. Ślad, który – prędzej czy później – może do niego doprowadzić. Mówi się na przykład: „Ten facet jest nie do wytropienia, bo codziennie zmienia swój rozkład zadań”. Problem w tym, że to tylko teoria.

Dlaczego?

Ponieważ tak się nie da żyć! Nie można codziennie gdzieś indziej nocować. Codziennie gdzieś indziej jeść. Codziennie bywać w innych miejscach. Każdy człowiek powtarza pewne czynności. Czasami robi to właśnie po to, żeby nie zostać wytropionym, ale – paradoksalnie – popełnia śmiertelny błąd.

Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem.

Wyobraźmy sobie, że w każdy wtorek robi pan coś zakazanego w tym samym miejscu. I nie chce pan, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Dlatego w każdy wtorek o tej samej porze wyłącza pan telefon i wyciąga baterię. Tak, aby nie można było pana namierzyć. Ma pan rację. Problem w tym, że tajne służby otrzymują

ważną wskazówkę – co wtorek wyłącza pan telefon. Czyli zostawia pan jakiś ślad. Potem wystarczy iść po nitce do kłębka.

Rozumiem, że Imad Mugnija popełnił właśnie taki błąd.

Mugnija został wytropiony w Damaszku. Mosad nie miał jednak możliwości go tam „zdjąć”. Przed syryjską rewolucją miasto kontrolowały bowiem bardzo silne służby dyktatora Baszara al-Asada. Izraelczycy nie mogli tam działać. Dlatego właśnie potrzebowali Amerykanów.

Po co?

Amerykanie mieli w Damaszku coś, czego Izraelczycy nigdy mieć nie mogli – ambasadę. Ambasada daje duże możliwości – pocztę dyplomatyczną, immunitet, samochody. Zaplecze logistyczne do operacji. Amerykanie twierdzili później, że zabicie Mugnii było ich akcją, a Izraelczycy udzielili im tylko niewielkiej pomocy. W rzeczywistości było odwrotnie.

W książce pisze pan, że celem akcji eliminacyjnych było usunięcie ludzi, którzy stanowili zagrożenie dla życia Izraelczy-

ków. Zdarzało się jednak, że Mosad brał udział w akcjach, których nie da się tak usprawiedliwić. Mam na myśli zabójstwo Mehdiego Ben Barki z 1965 r.

Jestem jedynym facetem na świecie, który ma oryginalne dokumenty dotyczące tej sprawy. Mehdi Ben Barka był rewolucjonistą, liderem opozycji marokańskiej na emigracji. Mosad ściśle współpracował zaś ze służbami króla Hasana II. Pomoc w wytropieniu Ben Barki miała być nagrodą dla marokańskich służb za informację, jakie przekazywali Mosadowi. I zachętą do dalszej współpracy.

Jaka była rola Mosadu w całej aferze?

Pomogli Marokańczykom zlokalizować Ben Barkę, a następnie zwać go do Paryża. Zapewnili im wsparcie logistyczne – samochody, meliny, dokumenty – ale w samym uprowadzeniu udziału nie wzięli. Marokańczycy zawieźli Ben Barkę do tajnego miejsca i tam torturowali. 29 października 1965 r. podczas podtapiania w wannie wypełnionej brudną wodą Ben Barka zmarł. Wtedy Izrael-

■ czycy znowu musieli wkroczyć. To oni pozbyli się trupa. Zakopali go w lesie, wcześniej oblawszy specjalnym kwasem, który rozpuścił ciało i kości. Na koniec pomogli zabójcom udzielić z Francji.

Podobno to była ostatnia tego typu operacja w dziejach Mosadu.

O, tak. Z tej operacji wyciągnięto wniosek. Jeżeli już jesteśmy zaangażowani w akcję likwidacyjną, to robimy to sami.

Bez najemników i innych niepewnych ludzi, którzy mogą się wymknąć spod kontroli. Francuskie służby były bowiem w stanie rozwikłać zagadkę, dlatego że Marokańczycy zaangażowali do akcji skorumpowanych francuskich policjantów.

Czy agenci Mosadu w swoich akcjach używają gadżetów takich jak James Bond?

No cóż, rzeczywiście jednego z terrorystów zabito za pomocą zatrutej pasty do zębów. W laboratorium Mosadu stworzono również wyjątkowo niebezpieczną truciznę. Wystarczy kilkomina kropkami tej substancji spryskać skórę człowieka, żeby po kilku godzinach zanikły jego funkcje życiowe.

A co ze strzelającymi pistoletami?

Kiedy Mosad czegoś potrzebuje, oczywiście to produkuje. Najwięcej wysiłku wkłada się jednak w coś innego – opracowanie sposobu na dostanie się w pobliże celu. To jest najtrudniejsze, najbardziej czasochłonne i skomplikowane.

Wymaga stworzenia fałszywej tożsamości dla agentów, wyrobienia im fałszywych paszportów. Opracowanie całej logistyki. Natomiast sposób wykonania zadania, wybranie narzędzia to już sprawy drugorzędne.

Gdy już mówimy o truciznach. Czy Jaser Arafat w 2004 r. został otruty przez Mosad?

To jedyna sprawa, o której piszę w mojej książce, że nie zamierzam o niej pisać. Uchylam się więc od odpowiedzi na to pytanie.

Może zmienił pan zdanie. Od wydania książki minęło dobrych parę miesięcy?

(Śmiech) Nie, nie zmieniłem zdania. Muszę mieć o czym pisać w kontynuacji „Powstań i zabij pierwszy”.

W trakcie rozmowy skupiliśmy się na arabskich terrorystach. Zdarzało się jednak, że Izraelczycy likwidowali zbrodniarzy z czasów III Rzeszy.

Domyślam się, że ma pan na myśli zabicie Herberta Cukursa, „Rzeźnika z Rygi”. To była unikalna i dziwna operacja.

W latach 60. w głównej siedzibie Mosadu odbyło się spotkanie na temat narodowosocjalistycznych zbrodniarzy. Padło na nim nazwisko Cukursa. W tym samym momencie rozległ się huk. Na ziemię padł szef wywiadu wojskowego. Kiedy go ocucono, powiedział: „Ten człowiek spalił całą moją rodzinę”.

Gdzie znajdował się Cukurs?

W Ameryce Południowej. Zabicie go było przysługą, którą szef Mosadu postanowił zrobić szefowi wywiadu wojskowego. Warto wspomnieć, że Cukurs nawet nie był Niemcem. To był Łotysz, kolaborant, który w 1941 r. wziął aktywny udział w wymordowaniu łotewskich Żydów.

Likwidacja Cukursa nie była chyba dobrze zaplanowaną operacją?

Nie, to było zorganizowane w sposób koszmarny. W 1965 r. zwabiono go do Urugwaju, do luksusowej rezydencji. Tam doszło do zacieklej walki wręcz między Cukurem a agentami Mosadu. W jej trakcie Łotysz odgryzł palec jednemu z Izraelczyków, ale drugi rozbił Łotyszowi czaszkę – zatłuczono Cukura młotkiem.

Porozmawiajmy teraz o moralnym wymiarze takich akcji. Kto podejmuje decyzje o zabiciu człowieka?

Decyzja należy do premiera. Opowieści o tym, że powoływane są jakieś tajne sądy, przed którymi prokurator musi przedstawić dowody, to nonsens. Tylko czasami głos zabiera Komitet X. Nieformalne ciało doradcze, które ma premierowi udzielić rady. Chodzi o to, żeby polityk sprawujący funkcję szefa rządu mógł podzielić się z kimś odpowiedzialnością za ewentualne fiasko. Na końcu jednak decyzja i tak należy do niego.

Skoro nie ma prokuratora, to nie ma też adwokata.

Oczywiście.

Uważa pan, że to jest fair? Zabić człowieka bez dania mu prawa do obrony?

Nawet organizacje walczące o prawa człowieka zgadzają się z tym, że terrorystę, który stanowi zagrożenie dla ludzkiego życia, można zabić bez sądu. Nie tylko w sytuacji, gdy ma przy sobie bombę, lecz także gdy grzecznie śpi w łóżku. Gdyby nawet powołano taki sąd, to przecież to by była farsa. Oskarżony nie mógłby się przed nim stawiać i bronić się osobiście. Cała procedura jest przecież ściśle tajna.

Taki człowiek może być jednak niewinny.

Nie słyszałem o tym, żeby Mosad w ostatnich latach zlikwidował niewinnego człowieka. Nawet Palestyńczycy nie twierdzą, że terroryści, których zlikwidowały izraelskie służby specjalne, byli niewinni. Kluczowe jest jednak to, że w swojej książce staram się przedstawiać fakty. Osąd moralny pozostawiam czytelnikowi.

Człowiek, który dla Izraelczyków jest „terrorystą”, dla innego narodu może być „bohaterem walki o wolność”.

Mówimy o ludziach, którzy wysyłają zamachowców samobójców do autobusów wypełnionych cywilami. Ludziach, którzy wysadzają w powietrze przedszkola i szkoły. Izrael prowadzi wojnę z takimi typami. I ma pełne prawo nazywać ich terrorystami.

Czy Wielka Brytania miała pełne prawo nazwać terrorystą Menachema Begina, szefa Irgunu, który w latach 40. podkładał bomby w Palestynie?

Sprawa jest prosta. Jeżeli celem twoich ataków są obiekty wojskowe, to nie jesteś terrorystą. Jeżeli celem twoich ataków są obiekty cywilne, to jesteś nim. Gdy w 1946 r. Begin wysadził w powietrze hotel King David w Jerozolimie, stał się terrorystą. Zresztą on sam określał się tym mianem.

Czyli gdyby Brytyjczycy go zabili, byłoby to usprawiedliwione?

Z ich perspektywy – tak. Przypominam zresztą, że brytyjscy agenci zabili kolegę Begina – Abrahama Sterna, szefa radykalnej organizacji Lehi.



A co z kosztami psychicznymi, które ponoszają agenci Mosadu?

Jeżeli zabiłeś człowieka lub nawet brałeś udział w zabójstwie człowieka, to wówczas coś w tobie umiera. Nawet jeżeli ofiara była diabłem w ludzkiej skórze. W Izraelu żyje kilkadziesiąt tysięcy ludzi, którzy w ciągu ostatnich kilkadziesiąt lat byli zaangażowani w operacje eliminacyjne. Wielu z nich boryka się z traumą. Uważają jednak, że to, co robili, było złem koniecznym. Zabijając jednego człowieka, ratowali innych. Zapewniali bezpieczeństwo swojej ojczyźnie. Takie podejście bez wątplenia pomaga uporać się z poczuciem winy.

Czy człowiek, który dzisiaj zabija, jutro może wrócić do społeczeństwa? Odgrywać rolę dobrego ojca i męża, przykładnego obywatela? Co piątek chodzić do synagogi?

Znam wielu ludzi, którzy po odejściu z Mosadu potrafili wrócić do cywilnego życia. Mają normalne rodziny. Część z nich chodzi do synagogi, a część nie. Ci, którzy nie chodzą, nie robią tego jednak dlatego, że mają krew na rękach, ale dlatego, że są ateistami.

Dzisiaj wyroki wykonywane są często nie poprzez pociągnięcie za spust, ale poprzez naciśnięcie guzika w centrum sterowania dronem.

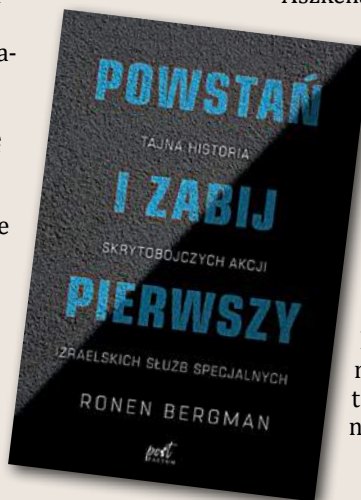
Oczywiście znacznie łatwiej jest zabić człowieka na odległość, niż stanąć z nim oko w oko. Zdradzam panu, że byłem wewnątrz takiego centrum – umieszczonego w półciężarówce – podczas operacji likwidacyjnej. To było bardzo dramatyczne. Wszystko rozgrywało się na ekranie. Wyglądało to jak gra komputerowa, ale wiedziałem, że ginie prawdziwy człowiek.

W akcjach Mosadu często giną postronne osoby. Weźmy wybuch samochodu pułapki w Bejrucie w 1979 r. Oprócz „Czerwonego Księcia” – organizatora masakry w Monachium – zginęło w nim kilku przechodniów.

To była nietypowa sprawa. Mosad chciał dopaść i zabić „Czerwonego Księcia” za wszelką cenę. On przez wiele lat wymykał się pogoni. A próby zabicia go kończyły się fiaskiem. Zgadzam się jednak, że podczas akcji w Bejrucie agenci Mosadu powinni byli przewidzieć, że wysadzenie w powietrze samochodu na ruchliwej ulicy może pociągnąć za sobą przypadkowe ofiary. Tak, to powinno zostać zrobione inaczej.

W Strefie Gazy takie historie zdarzają się jednak często. Media co chwila donoszą, że Izraelczycy zabili jakiegoś terrorystę, a wraz z nim jego rodzinę i sąsiadów.

Opowiem panu pewną historię. Dochodzi do eskalacji konfliktu. Izraelczycy codziennie giną w zamachach samobójczych i w wyniku ostrzału raketowego. Wiemy, że stoi za tym konkretny przywódca Hamasu. Wiemy, gdzie mieszka. Nagle ten facet staje się jednak najlepszym mężem na świecie. Nagle nie przestaje opuszczać swojej żony nawet na minutę. Wszędzie chodzą razem, trzymając się za ręce. Wielki romantyzm w Strefie Gazy.



Rozumiem, że używa jej jako żywej tarczy.

Dokładnie. I co my mamy w takiej sytuacji zrobić? Zabić go wraz z żoną? Czy pozwolić, żeby dalej zabijał naszych obywateli? To diabelski dylemat. Jestem ostatnim człowiekiem na Ziemi, który chciałby podejmować decyzję, czy spuścić na tego faceta raketę czy nie.

W wybuchach izraelskich rakiet w Gazie giną jednak często dzieci, sąsiedzi, przechodnie. Nie tylko żony.

Rozmawiałem kiedyś na ten temat z jednym z oficerów Mosadu. „W agencji obowiązuje jedna żelazna zasada, której nigdy nie łamiemy – powiedział mi. – Jeżeli wiemy, że w miejscu, w którym ma się odbyć uderzenie, znajduje się dziecko, przerywamy operację. Jeżeli dziecko wchodzi do budynku, a raketa już została odpalona, zawracamy ją lub niszczymy”.

Nie zawsze chyba się to udaje...

Tak, niestety było wiele przypadków, w których ginęły dzieci. Nie zabito ich jednak z premedytacją. Zawiodła praca wywiadowcza, ludzie Mosadu nie wiedzieli, że dzieci są blisko celu. Proszę również pamiętać, że ludzie, na których polują Izraelczycy, często są w ruchu. Izraelskie służby naprawdę robią wiele, aby zminimalizować straty wśród cywili.

Na przykład używają znacznie mniej szych bomb niż kiedyś.

Czy to prawda, że w 2011 r. izraelskie Ministerstwo Obrony uznało pana książkę za tak niebezpieczną, że próbowało zablokować jej powstanie? Brzmi to trochę jak chwyt marketingowy.

To nie żaden chwyt. Szef sztabu Gabi Aszkenazi rzeczywiście chciał, żebym stanął przed sądem za szpiegostwo. I w ten sposób chciał zapobiec ukazaniu się „Powstań i zabij pierwszy”. Otrzymałem wtedy wiele telefonów od moich informatorów ze służbami, którzy mówili mi: „Ronen, nie wiemy, co robisz, ale cokolwiek robisz – przestań. Bo jutro rano do twoich drzwi zapukają goście z Szin Bet, aby cię aresztować”. Nie wiem, ilu czytelników „Historii Do Rzeczy” otrzymało kiedyś takie telefony? Zapewniam, że to nic nowego.

A czy to prawda, że specjalnie dla pana zmieniono w Izraelu prawo?

Tak. Dziesięć lat temu, aby powstrzymać mnie przed dotarciem do dokumentów Mosadu, Izrael przedłużył okres tajności akt z 50 do 70 lat. Gdy poszedłem do sądu, żeby zaskarżyć tę decyzję, jeden z dygnitarzy powiedział: „Ronen, i tak nigdy nie zobaczysz tych dokumentów. Jak upłynie te 70 lat, to przedłużymy utajnienie do stu”.

Co może być groźnego w ujawnieniu szczegółów operacji z lat 50. lub 60.?

Nic. Myślę, że ludzie służb starają się ukrywać wpadki swoich poprzedników. Przede wszystkim uważają się za strażników tajemnic swojej organizacji. Uważają, że historia Mosadu należy do nich.

Niestety – wszystko im się pomieszało. Zapomnieli, że to oni pracują dla mnie. Dostają pensje z moich podatków. To jest więc również moja historia. Mam prawo o niej pisać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Ronen Bergman

– izraelski dziennikarz gazety „Jedi'ot Acharonot” i „New York Timesa”. Specjalista w zakresie historii służb specjalnych.

Kusicielki Mosadu / Jak Cindy uwiodła Mordechaja Vanunu

Kobiety służą zarówno w Mosadzie, jak i w armii izraelskiej

FOT. ISRAEL DEFENCE FORCE

Seks dla Izraela



Marcin Bartnicki

Natura daje kobietom pracującym dla wywiadu ogromną przewagę nad mężczyznami. Mosad wykorzystywał to bezwzględnie

W obcym dla niej Londynie 26-letnia Cindy Johnson czuła się samotna i zagubiona. Druga połowa września była zaskakująco słoneczna i przyjemna jak na zwykle deszczowe oraz depresyjne o tej porze

roku miasto. Cindy przeszła jednak właśnie trudny rozwód, a samotna podróż po Europie wyraźnie nie służyła młodej Amerykance. Na szczęście trafiła na idealnego kompana. Bez problemu zwróciła na siebie uwagę starszego o sześć lat mężczyzny. Podszedł do niej sam, gdy kupowała papierosy. Zaaranżowała to idealnie.

Mordechaj Vanunu wykonywał właśnie najtrudniejszą i najbardziej niebezpieczną misję swojego życia. Był bardzo ostrożny. Gdy poznał Cindy, zapytał ją wprost, czy jest szpiegiem Mosadu. Odpowiedziała: „Nie. Co to jest Mosad?”. I zaprosił ją na kawę. Szybko się nią zachwycił. Podobnie jak Cindy znalazł się w obcym kraju, nie był przyzwyczajony do życia w wielkim mieście. Otwarcie opowiadała o swoim rozwodzie, przejściach i uczuciach. Nękanymi rozterkami mężczyzna szybko poczuł, że znalazł pokrewną duszę. Zrobiliby wszystko, aby spotkać się z nią ponownie.

Reporterzy „The Sunday Times”, którym Mordechaj Vanunu opowiedział o programie atomowym Izraela i pokazał zdjęcia potwierdzające sensację, ostrzegali go, że pojawienie się kobiety w tym momencie nie może być przypadkiem. Jeden z nich obserwował Vanunu, gdy ten się uparł, aby wyjść sam na przechadzkę po Londynie. Dziennikarz zwrócił uwagę, że kobieta, na którą trafił izraelski inżynier, jest prawdopodobnie Żydówką.

Vanunu nie zwracał już na to uwagi. Był marokańskim Żydem, który przeniósł się do Izraela i w wieku 22 lat rozpoczął pracę w zamkniętym, tajnym rządowym ośrodku badań jądrowych na pustyni Negew, niedaleko miasta Diamona. Spędził tam 10 lat. Miał dość izolacji i poświęcania młodości sprawie, w którą nie wierzył. Życie w odciętej od świata bazie nie sprzyjało nawiązywaniu relacji. Vanunu był już po trzydziestce i nadal nie spał z kobietą. Gdy Cindy powiedziała, że ma siostrę w Rzymie, którą chce odwie-

dzić, i zaprosiła go na wspólny wyjazd, zgodził się bez wahania. Miał wrażenie, że w Londynie szukają go ludzie z Mosadu, romantyczna podróż do Rzymu wydawała się więc doskonałym rozwiązaniem. Polecili razem samolotem.

Kiedy pełen nadziei na rozwinięcie romansu wszedł do mieszkania siostry Cindy, spotkała go przykra niespodzianka. Czekali tam na niego oficerowie Mosadu. Obezwładnili go środkiem odurzającym, przetransportowali nad morze i wrzucili do motorówki, która zawiozła ich do cumującego niedaleko statku. Trzy dni później Mordechaj Vanunu znalazł się w Izraelu. Został schwytany, zanim „The Sunday Times” opublikował ujawnione przez niego sensacyjne, tajne informacje o izraelskiej broni jądrowej.

Rozmowy w łóżku

Cindy Johnson naprawdę nazywała się Cheryl Ben-Tov. Była „bat leveyha” w Mosadzie. Kobiety pełniące tę funkcję odgrywały rolę fikcyjnych żon i partnerek oficerów Mosadu pracujących w ambasadach, brały udział w obserwacjach, a kiedy pojawiała się taka potrzeba, wykorzystywały swoje atuty i talenty tam, gdzie mężczyźni nie mieli nic więcej do powiedzenia.

„Kobieta posiada umiejętności, których mężczyzna po prostu nie ma – mówił Me’ir Amit, szef Mosadu w latach 1963–1968. – Wie, jak słuchać. Rozmowy w łóżku nie są dla niej problemem. Współczesna historia wywiadu jest pełna przykładów kobiet, które wykorzystały swoją płęć dla dobra swojego kraju. Mówienie, że Izrael nie robi tego samego, byłoby głupie. Ale nasze kobiety to ochotniczki o wysokim poziomie intelektualnym, rozumiejące, z jakim wiąże się to ryzykiem. Wymaga to specjalnego rodzaju odwagi. Jest to nie tyle kwestia przespania się z kimś, ile doprowadzenia do tego, aby uwierzył, że zrobisz to w zamian za to, co ma ci do powiedzenia”.

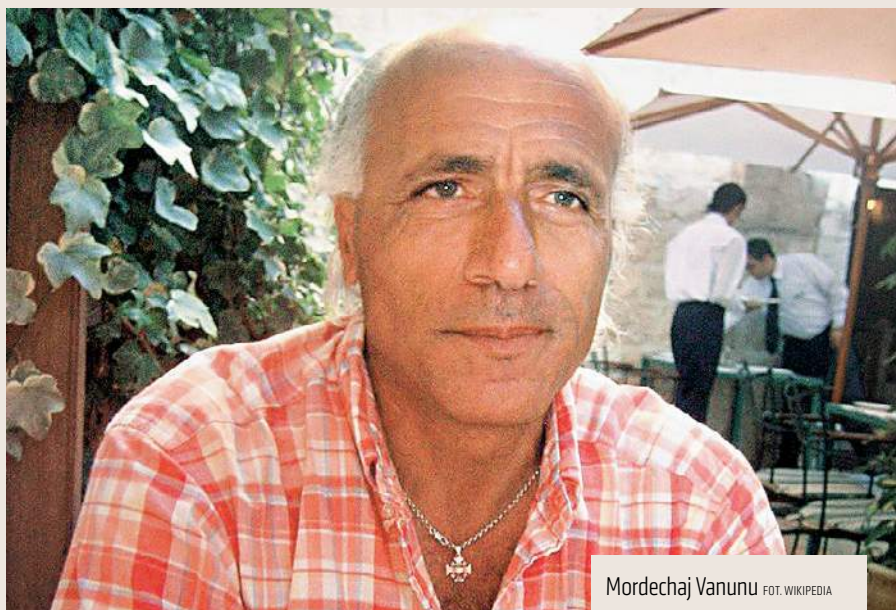
Amit zaznacza, że podobne działania wymagały od kobiet niezwykłych umiejętności. Taka właśnie była Cheryl Ben-Tov. Nie musiała udawać Amerykanki, ponieważ była nią od urodzenia. Mówiła również prawdę, gdy opowiadała Vanunu o rozwodzie. Z tym że był to rozwód jej rodziców, który ciężko przeżyła. Umiejęt-

nie łącząc prawdę i fikcję, stworzyła wiarygodną historię.

Rozwód rodziców skłonił ją do przeprowadzki do Izraela. Spędziła tam lato jeszcze w czasie szkoły średniej, a po jej ukończeniu wstąpiła do armii. Przez pewien czas mieszkała też w kibucu. Wyszła za mąż za funkcjonariusza Amanu – wywiadu wojskowego Izraela. Ludzie z otoczenia męża zwrócili na nią uwagę jeszcze na weselu. Wcześniej musiała oczywiście przejść weryfikację – wiarygodność partnerki oficera wywiadu nie może budzić wątpliwości. Spodobała

niową na wypadek groźby unicestwienia państwa w kolejnej wojnie.

Ujawnienie posiadania broni jądrowej przez jedno z państw Bliskiego Wschodu mogło doprowadzić do atomowego wyścigu zbrojeń w całym regionie. Iran, Irak i inne państwa muzułmańskie, aby utrzymać równowagę sił, musiały dążyć do stworzenia własnego programu atomowego. Niestabilne lub wspierające terroryzm państwa nie mogły jednak dać gwarancji, że broń nie dostanie się w niepowołane ręce. Cały region do dziś odczuwa konsekwencje zdarzeń sprzed



Mordechaj Vanunu FOT. WIKIPEDIA

się na tyle, że zaproponowano jej udział w procesie rekrutacyjnym do Mosadu. Od początku uświadamiano ją, jak wielkiego poświęcenia wymaga służba. Była oddana nowej ojczyźnie i gotowa na wszystko. Skrupuły? Vanunu był zdrajcą, musiał ponieść karę.

Inżynier został skazany na dożywocie, w więzieniu spędził 18 lat, w tym znaczną część wyroku odbywał w odosobnieniu, w warunkach, które stały się przyczyną protestów międzynarodowej opinii publicznej. Była to łagodna wersja rozwiązania problemu. Poważnie rozważano zastąpienie porwania egzekucją bez procesu. Zdrada Vanunu mogła mieć potworne konsekwencje dla Izraela. W przeciwieństwie do wielkich arsenałów jądrowych USA i ZSRS broń jądrowa żydowskiego państwa nie miała odstraszać wrogów, ale była polisą ubezpiecze-

kilkudziesięciu lat – program atomowy Iranu nadal jest jedną z głównych osi konfliktu na Bliskim Wschodzie.

W 1988 r. dziennikarze „The Sunday Times” odnaleźli Cheryl Ben-Tov w izraelskim mieście Netanja. Miała jednak dość rozgłosu i przeprowadziła się z mężem na Florydę. Dziennikarze znaleźli ją tam 10 lat później. Nie chciała jednak rozmawiać i wracać do trudnej sprawy. Służba kosztowała ją więcej, niż się spodziewała.

Mosad to elitarna organizacja, której siła od początku opierała się na niezwykłym oddaniu sprawie zapewnienia Izraelowi przetrwania za wszelką cenę. Dla oficerów wiara w państwo, naród i Boga często była nierozdzielna. Jak połączyć głęboką wiarę religijną i uprawianie seksu z wrogiem? Odpowiedzi na to pytanie udzielił w 2010 r. rabin Ari



Bar Rafaeli w roli przynęty
w filmie „Kidon” o polowaniu
na terrorystów FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ Shvat w tekście opublikowanym przez Tzomet Institute – organizację zajmującą się wyzwaniem stawianymi religii przez nowoczesność i łączeniem ich z codziennym życiem.

Seks bez grzechu

Rabin stwierdził, że operacje Mosa-du z użyciem seksu są nie tylko zgodne z nakazami religijnymi, lecz także mają długą tradycję, sięgającą czasów biblijnych. Uwodzenie jest skuteczną bronią stosowaną od tak dawnych czasów przez „najsprawiedliwszych spośród sprawiedliwych (król Dawid), najmądrzejszych z mądrych (król Salomon) i najsilniejszych z silnych (Samson)”. Uzasadnił, że kobiety mogą stosować tę metodę dla dobra narodowego bezpieczeństwa, wskazując na precedens z Księgi Estery, która aby ocalić swój lud, sypiała z królem Persów Aswerusem (utożsamianego z Kserksesem I). Zgodnie z opinią rabina jest jednak pewne ograniczenie dotyczące mężatek, które przed aktem seksualnym dla dobra narodu powinny poprosić męża o rozwód, a po zakończeniu sprawy mężczyzna może przyjąć byłą żonę z powrotem. Podobne ograniczenia w operacjach wywiadowczych nie dotyczą jednak żonatych mężczyzn.

Po publikacji Ariego Shvata dziennik „The Jerusalem Post” przypomniał inne nakazy związane z uwodzeniem wrogów Izraela przez funkcjonariuszki wywiadu. Zgodnie z nimi kobieta powinna zachowywać się w łóżku w sposób pasywny,

nie dotyczy to jednak sytuacji, gdy jest inicjatorką współżycia. „Shvat przywołuje źródła mówiące, że czyny Estery i Jael były usprawiedliwione, ponieważ ratowały Żydów. Jednak zakazane relacje seksualne nie są usprawiedliwione, jeśli ratują tylko jedno lub kilka żyć” – czytamy w „The Jerusalem Post”.

Opinia rabina Ariego Shvata pojawiła się w 2010 r. nie przez przypadek. W styczniu tego roku doszło do spektakularnej akcji zamordowania Mahmouda al-Mabhouh. Al-Mabhouh był odpowiedzialny za uprowadzenie i zamordowanie dwóch izraelskich żołnierzy w Strefie Gazy w 1989 r., odgrywał także rolę w dostarczaniu broni dla Brygad al-Kassam – zbrojnego ramienia Hamasu. Został zamordowany w pięciogwiazdkowym hotelu w Dubaju zaraz po tym, jak opuścił Syrię. Hotelowe kamery uchwyciły twarz kobiety posługującej się irlandzkim paszportem i nazwiskiem Gail Folliard, która miała odegrać kluczową rolę w zabójstwie. Nie potwierdziła się jednak wersja, według której kobieta miała flirtować z Mahmoudem al-Mabhouh przed jego śmiercią.

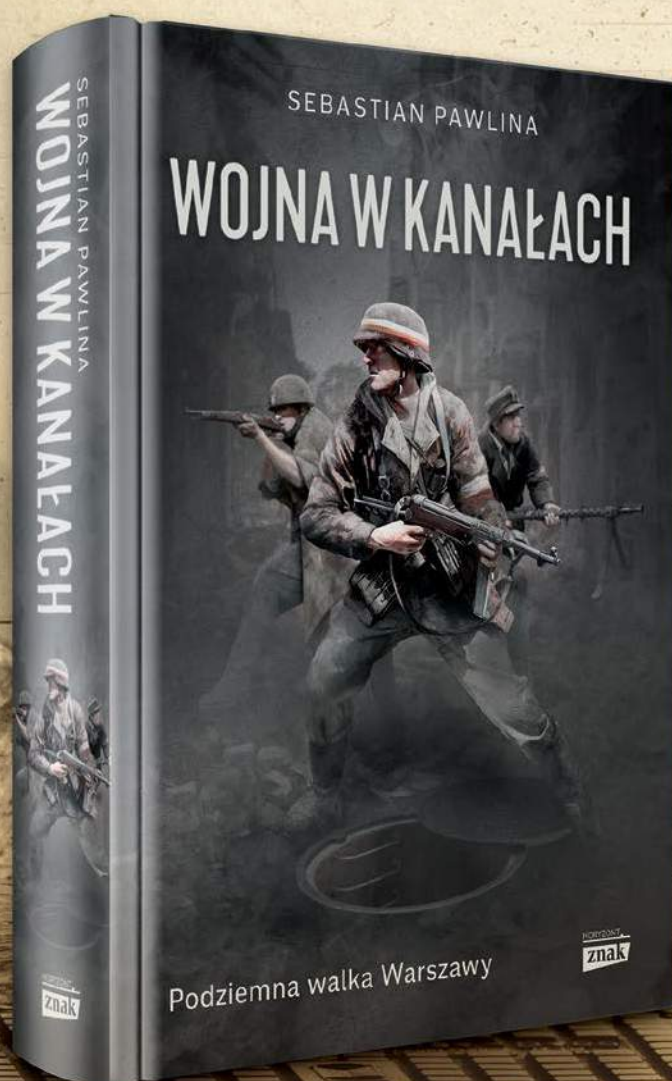
Motyw seksownej kobiety szpiega działa jednak na zbiorową wyobraźnię. We francusko-izraelskim filmie „Kidon” (nazwa pochodzi od wydziału Mosadu zajmującego się zabójstwami) opartym na wydarzeniach z Dubaju rolę pięknej uwodzicielki zagrała izraelska top modelka Bar Refaeli. W rzeczywistości w operacji nie było nic romantycznego, a sama akcja wywołała międzynarodowy kryzys dyplomatyczny (patrz: tekst na str. 20).

Uwodzenie stało się rzeczywiście jedną z powszechnie stosowanych metod zdobywania informacji o Hamasie. Palestyńska organizacja szybko ją przejęła, udoskonaliła i zaczęła stosować na masową skalę. Od 2017 r. izraelskie media publikują kolejne doniesienia o bojownikach lub bojowniczkach flirtujących z izraelskimi żołnierzami w mediach społecznościowych. Fikcyjne tożsamości wypełnione zdjęciami atrakcyjnych kobiet stały się idealną pułapką na znudzonych, naiwnych żołnierzy, którzy masowo dawali namówić się na zainstalowanie aplikacji randkowych, które miały umożliwić rozmowę wideo, ale zamiast tego dawały Hamasowi dostęp do telefonów żołnierzy. Bojownicy zyskiwali w ten sposób dostęp do wszystkich plików na telefonie, historii rozmów, a także do kamery i mikrofonu, co umożliwiło zdalne robienie zdjęć i podsłuchiwanie rozmów.

Sytuacja stała się na tyle poważna, że w 2018 r. służby specjalne Izraela rozpoczęły operację „HeartBreaker”, której celem jest schwytanie ludzi z komórki Hamasu zajmującej się uwodzeniem żołnierzy i żołnerek. Grupa odpowiedzialna za bojowe flirtowanie liczy prawdopodobnie kilkanaście osób. Tyle wystarczy, aby uzyskać dostęp do przynajmniej kilkuset telefonów żołnierzy. Dzięki nowoczesnym technologiom nie trzeba już mieć talentów Cheryl Ben-Tov – do zastawienia miłosnej pułapki wystarczy kilka zdjęć skradzionych z cudzego profilu na Facebooku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Prawdziwa walka toczyła się w kanałach



Książka dostępna w salonach **empik** i na **empik.com**

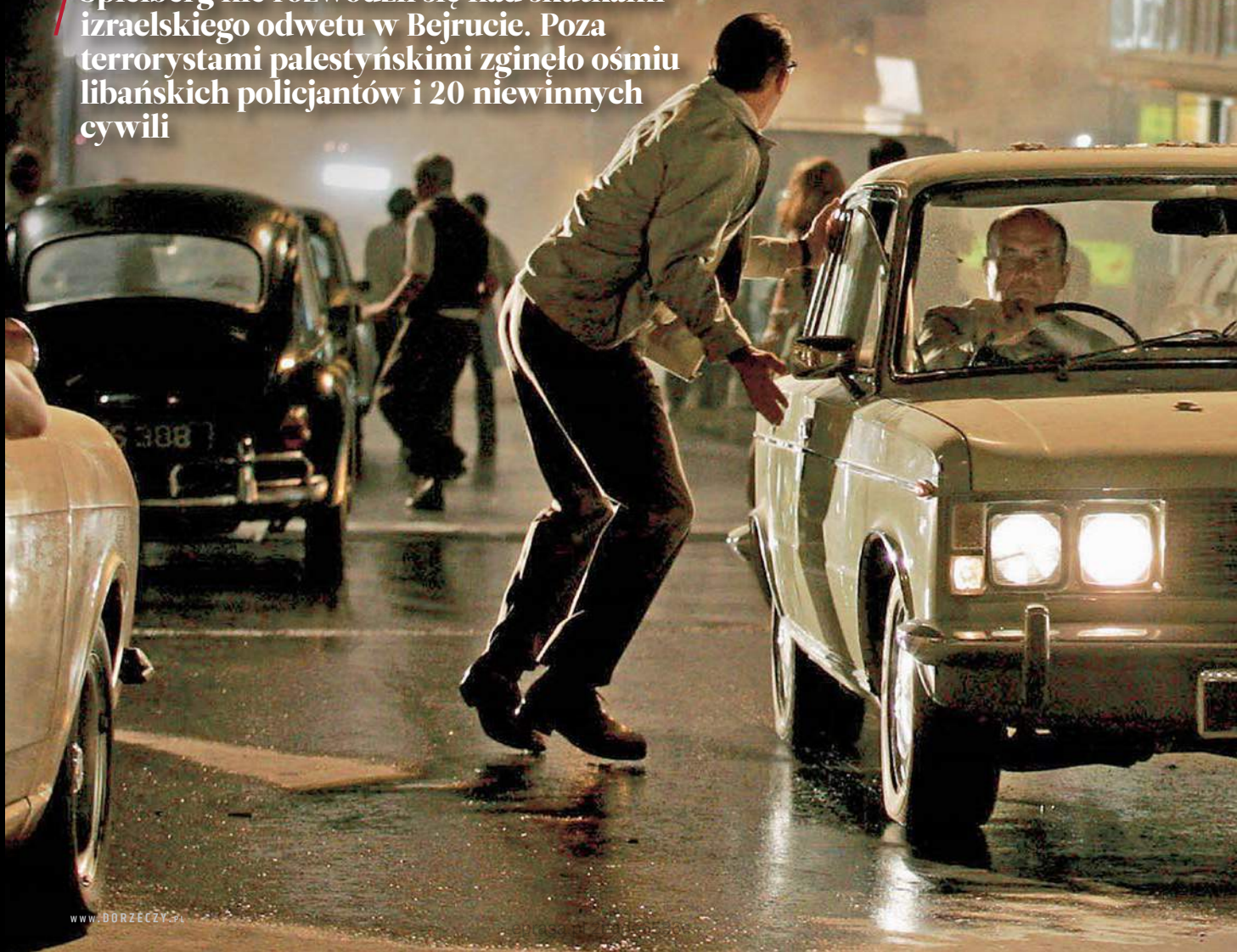
Igrzyska olimpijskie 1972 r. / Film Stevena Spielberga
„Monachium”

Zemsta za Monachium

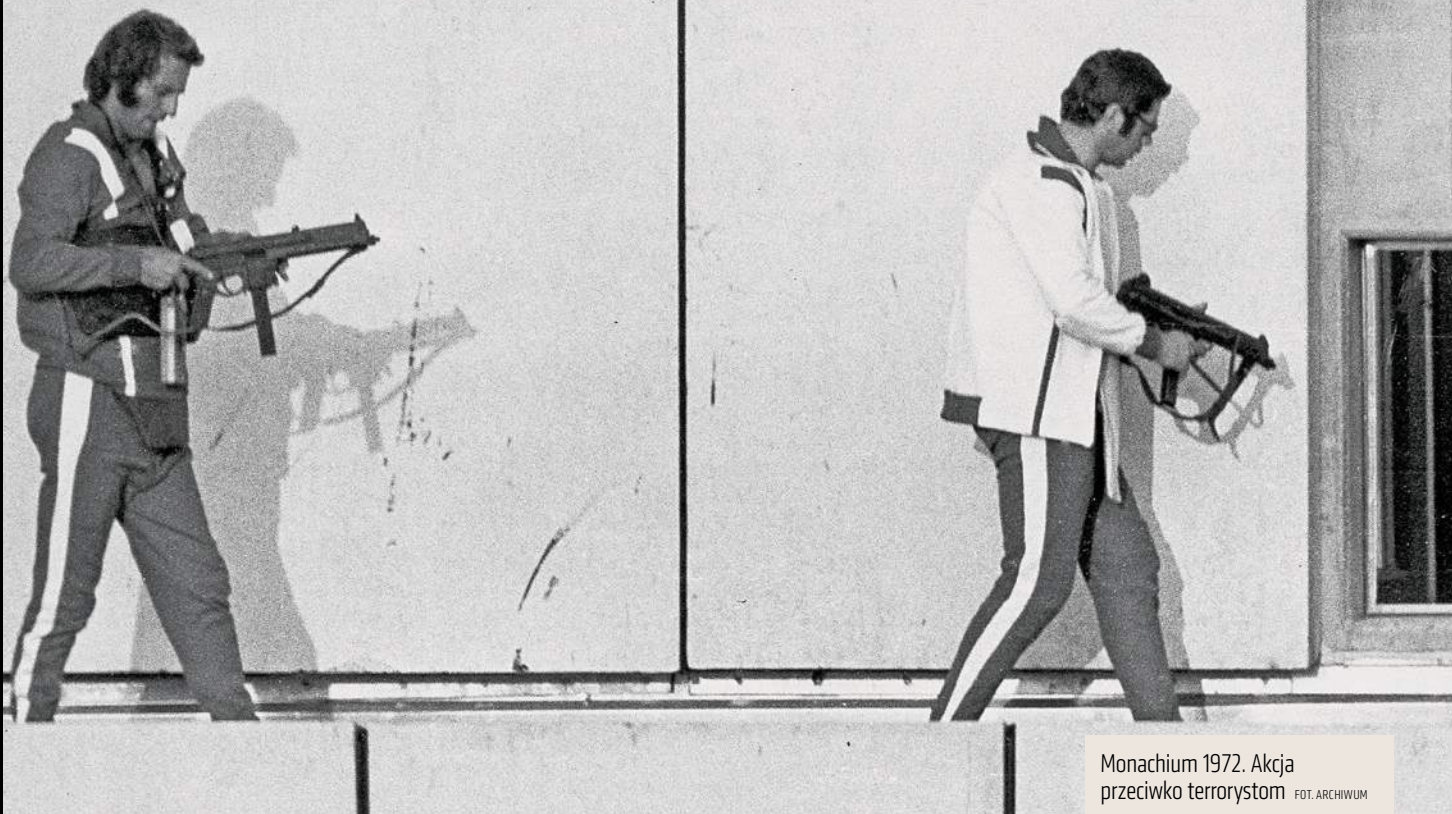


Jakub Ostromięcki

Spielberg nie rozводził się nad skutkami izraelskiego odwetu w Bejrucie. Poza terrorystami palestyńskimi zginęło ośmiu libańskich policjantów i 20 niewinnych cywili







Monachium 1972. Akcja przeciwko terrorystom FOT. ARCHIWUM

Monachium. Wrzesień 1972 r. W czasie trwania igrzysk olimpijskich palestyńscy terroryści porywają, a następnie mordują 11 izraelskich sportowców. Izrael rozpoczyna operację odwetową, która przeszła do historii pod nazwą „Gniew Boży”. W roku 1986 kanadyjski dziennikarz George Jonas dociera do agenta Mosadu i na podstawie rozmów z nim przedstawia zbeletryzowaną wersję operacji w książce „Zemsta”. W 2005 r. Spielberg na jej podstawie kręci film „Monachium”.

Oddzielenie prawdy od fikcji w filmach szpiegowskich jest stąpaniem po bardzo grząskim gruncie. Mamy do czynienia ze światem służb specjalnych, które z definicji zazdrośnie strzegą swoich sekretów, a jednocześnie chętnie sięgają dezinformację. Kilku historyków i dziennikarzy takich jak Aaron Klein, Ronen Bergman i Simon Reeve podjęło się jednak tego zadania. Rąbka tajemnicy uchylił też były szef Mosadu David Kimche. Sporo informacji przedostało się do opinii publicznej po koszarnej wpadce Izraelczyków, do której doszło w Lillehammer. Na podstawie tych informacji można pokusić się o próbę

zestawienia wizji Spielberga z prawdziwym przebiegiem operacji „Gniew Boży”.

Selekcja

Wśród milionów widzów transmisji z Monachium jest Avner Kaufman, oficer Mosadu. Nazajutrz zostaje wezwany do samej premier Goldy Meir. Dostaje propozycję nie do odrzucenia: dowodzić grupą agentów, która dokona zemsty na 11 terrorystach z organizacji Czarny Wrzesień, stojących za zamachem w Monachium. Izrael nie chce jednocześnie wywołać skandalu międzynarodowego – wszak likwidowanie celów będzie odbywało się na terenie państw Europy Zachodniej. Avner zostaje oficjalnie zwolniony ze służby, aby w razie ewentualnej wpadki rząd mógł oficjalnie umyć ręce. Potajemnie dostaje dostęp do konta operacyjnego w banku w Genewie. Tam też poznaje czterech podwładnych. Ekipa może liczyć tylko na siebie.

Owa lista terrorystów do zlikwidowania naprawdę nie stanowiła zamkniętej całości. Po każdym zabójstwie szefowa gabinetu wraz z ministrem obrony Mosze Dajanem i doradcami do spraw terrory-

zmu naradzała się nad tym, kto następny powinien rozstać się ze światem. Yossi Melman, historyk badający dzieje Mosadu, porównał owe posiedzenia do swoistego trybunału. Nie wszyscy wytypowani Arabowie byli bezpośrednio zaangażowani w zamachy w Monachium. Jak wspomina syn Kamala Adwana, Rami Adwan: „Mój ojciec nie był zaangażowany w zamachy w Monachium. Był natomiast zaangażowany w ruch oporu na Zachodnim Brzegu, więc Monachium stało się wygodnym pretekstem, by go zabić”. Pośrednio przyznają to sami Izraelczycy. Pewien wysoko postawiony oficer Mosadu powiedział historykowi Aaronowi Kleinowi: „Terrorysta to terrorysta – był zaangażowany w ten akurat zamach czy nie, nie będziemy zbyt go drażnić. Nie zrobił tego wczoraj, zrobi to jutro”.

Goldy Meir oczywiście kompletnie nie interesowała kwestia doboru ludzi do misji. Oficerom wyruszającym w teren nie zostawiano wolnej ręki i byli oni ściśle kontrolowani z Tel Awiwu. Nad każdym celem pracowała osobna grupa licząca, tak jak w przypadku Mahmuda Hamshariego, nie pięciu, ale 20 oficerów. Patrząc jednak z perspektywy reżysera i widza, nonsensem byłoby włączanie tak pokaznej liczby postaci do fabuły. Stąd potrze-

ba stworzenia hermetycznej małej ekipy, w której widać każdy rys charakteru.

Grupy wyruszające na misje nie składały się z samych mężczyzn. Były agent (jeśli w ogóle można użyć takiego terminu) Mosadu Gad Shimron mówił w wywiadzie dla agencji Thomson Reuters: „Włączanie kobiet w takich operacjach jest standardem. Każdy, kto kiedykolwiek czaił się w zasadzce czy stał na obserwacji, wie, że trzymanie kobiety za rękę może uchronić cię od namierzenia i dekonspiracji”. W grupach, które dopadały Palestyńczyków, nie było fałszerzy dokumentów. Przebywali oni bowiem w miejscu akcji bardzo krótko i nie było czasu na doraźne wyrabianie paszportów czy praw jazdy. Zdarzyło się natomiast, że rekrutowano ludzi w ogóle albo tylko pobieżnie przeszkolonych, tak jak w przypadku pewnego Duńczyka, który wziął udział w operacji w Lillehammer.

Osaczanie

Avner, który spędził w Europie pół swojej młodości, odwiedza w Niemczech dawnego kolegę z czasów licealnych. Udając bogatego aferzystę sympatyzującego ze skrajną lewicą, wyciąga od jego dziewczyny informację o pierwszym celu. Kolejnych szczegółów dostarcza włoski informator Tony. Wszystkie usta otwierają się dzięki potężnej kasie. Jak mówi jeden z kolegów Avnera: „Likwidacja Zwaitera kosztowała nas 352 tys. dol.”.

Gdy akcja przenosi się do Francji, Spielberg wprowadza na scenę najbardziej tajemniczą postać – niejakiego Papę, głowę wielopokoleniowej rodziny, która nazywa siebie „Le Group” i czerpie potężne zyski ze sprzedaży... tajnych informacji. Ów Papa był w II wojnie światowej członkiem ruchu oporu i tak uzyskał dostęp do odpowiednich ludzi oraz ich sekretów. „Le Group” gardzi Sowietami, nazistami, gaullistami, ale najbardziej – tak jak wszyscy szanujący się Francuzi – Anglosasami. Papa wie, że ma do czynienia z Żydami mszczącymi się na Palestyńczykach, ale nie zadaje zbyt wielu pytań i za informacje o każdym terroryście inkasuje po 200 tys. dol. „Le Group” do końca filmu pozostanie jedynym kontaktem agentów Mosadu.

W prawdziwych operacjach wywiadowczych nikt nie zrzuca na głowę egzekutora zadania odnalezienia celu,

poznania jego zwyczajów i rozkładu dnia, znalezienia bezpiecznych mieszkań i zabezpieczenia powrotu. Większość informacji o członkach Czarnego Września pochodziła zatem od agentów umieszczonych w szeregach OWP, którzy po Monachium bali się o los swoich bliskich na Zachodnim Brzegu czy w Libanie. Inne dane przekazywały zachodnie służby sprzyjające Izraelowi. „Le Group” i Papa to najprawdopodobniej literacka fikcja Jonasza.

Jak wyglądało osaczanie wytypowanych i wstępnie zlokalizowanych terrorystów? Pierwsza grupa agentów-tropicieli zakładała podsłuchy, sprawdzała plan dnia, nawyki i jadłospis śledzonego. Czasem już na tym etapie proponowano najlepszy sposób likwidacji. Pierwszego z listy – Zwaitera – śledziło w ten sposób aż 15 agentów. Jednocześnie w Izraelu agenci egzekutorzy budowali makiety miejsca, w którym mają zlikwidować cel, ćwicząc możliwe scenariusze. Dopiero po dogłębnym rozpoznaniu i przygotowaniu wylatywali oni do Europy. Cała likwidacja, licząc od rozpoczęcia rozpoznania, trwała maksymalnie kilka tygodni.

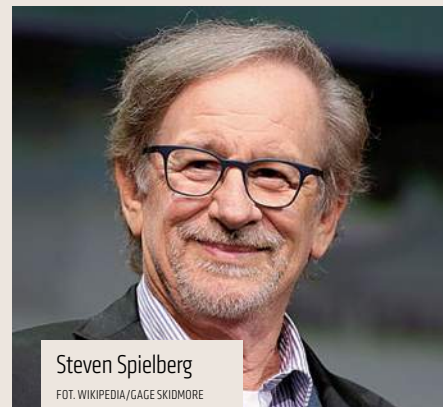
Likwidacje

Śmierć Abdela Wael Zwaitera, Mahmuda Hamshariego i Husseina al-Bashira przedstawiono, dochowując wierności podstawowym faktom. Różnice między operacją są drobne i mają stricte techniczny charakter. Mahmoud Hamshari nie zginął na przykład od wybuchu bomby podłożonej w telefonie. Ładunek znajdował się w stoliku, na którym stał aparat. W przypadku wysadzonego w hotelu w Atenach Zaiada Muhasiego reżyser dał się ponieść fantazji w scenie, w której izraelski agent, po tym jak detonator bomby nie zadziałał, sam wrzuca granat do pokoju hotelowego, ledwo uchodząc przy tym z życiem. W rzeczywistości Michasi zginął w eksplozji w podobny sposób jak jego poprzednik Al-Bashir, gdy przebiegał się do snu.

Kamal Adwan, Kamal Nasser i Abu Youssef mieszkali wraz z rodzinami w Bejrucie w jednym apartamentowcu. W filmie nie jest to wyczuwalne, ale cała trójka siedziała jak na szpilkach, gdy pod blokiem zaczął kręcić się tajemniczy kłoszard, który nigdy wcześniej tu nie

zaglądał, a ochrona przepędziła z garażu jakichś intruzów. Palestyńczycy dali się jednak zaskoczyć i Spielberg pokazał to bardzo wyraźnie. Wkrótce po wyjściu z pontonów desantowych Izraelczycy przebrali się za młode niewiasty szukające wrażeń. Jednym z przebierańców był późniejszy premier Izraela Ehud Barak, który jowialnie wspomina dziś ową operację: „Mieliśmy mocne makijaże. Byłem przebrany za młodą brunetkę, w modnym białym żakiecie na tyle jednak dużym, aby mógł skryć uzi. Moi dwaj koledzy robili za blondynki. Pamiętam zdziwienie ochroniarza, gdy zza żakietów wyciągnęliśmy pistolety maszynowe”.

Kilka sekund potem w mieszkaniach zajmowanych przez przywódców palestyńskich doszło do masakry. Scena,



Steven Spielberg

FOT. WIKIPEDIA/GAGE SKIDMORE

w której żona jednego z terrorystów zakrywa swoim ciałem męża, jest prawdziwa. Yasser Najjar, syn Abu Youssefa, wspominał potem w rozmowie z dziennikarzami History Chanel: „Słyszę do dziś, jak mój ojciec krzyczy na nich: »Zabiliście ją, psy!«. Cztery sekundy potem upadł martwy przy mojej matce”. Co ciekawe, wnuk Abu Youssefa, dystansujący się bardzo mocno od wyczynów dziadka, był w 2018 r. kandydatem Partii Demokratycznej w wyborach do Kongresu USA.

Spielberg nie rozwodził się nad skutkami owego ataku. Oprócz terrorystów i ich ochroniarzy w eksplozjach i strzelaninie pod blokiem zginęło osiem libańskich policjantów i 20 niewinnych cywili.

Salameh

Ekipa Avnera napotyka poważne kłopoty dopiero przy tropieniu numeru jeden z listy terrorystów, czyli Alego

Plakat filmu „Monachium”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MUNICH

■ Hassana Salameha. Agenci próbują go zabić w Londynie, ale CIA chroniąca Palestyńczyka niweczy całą akcję. Ponowna próba likwidacji szefa Czarnego Września następuje w willi na Teneryfie. Avner wraz z towarzyszem zamierzają użyć karabinu snajperskiego, ale zamach zostaje udaremniony przez palestyńskiego ochroniarza. Dwa agentów Mosadu cudem uchodzi z życiem.

Polowanie na „Czerwonego Księcia”, przez pewien czas faktycznie chronione przez CIA, rzeczywiście było trudne i doprowadziło do gigantycznej porażki Mosadu w Lillehammer. Wątek ten jednak pominięty jest całkowicie w filmie. W czerwcu 1973 r. Mosad otrzymał od swojego agenta w OWP informację: Salameh jest w Norwegii. Już na miejscu jeden z agentów zaczął mieć wątpliwości. Dlaczego bowiem ów Salameh, będący tutaj dość krótko, zna Lillehammer jak własną kieszeń? Koledzy agenta zignorowali

wali owe wątpliwości. Domniemany terrorysta został zabity pod swoim blokiem, gdy wracał ze swoją przyjaciółką z kina.

Okazało się, że ofiarą był Ahmed Bouchiki – Bogu ducha winny arabski kelner żyjący w Norwegii od wielu lat. Był to fałszywy trop podrzucony Mosadowi przez palestyńskiego podwójnego agenta. Nie był to koniec katastrofy. Część ekipy Mosadu stanowią ludzie nieprzeszkoleni. W czasie ucieczki popełnili karygodny błąd. Po egzekucji jechali przez Lillehammer zbyt szybko i patrol drogówki, choć nie podjął pościgu, spisał numery rejestracyjne samochodu. Agenci użyli tego samego auta do przejazdu na lotnisko, w którego pobliżu zostali zatrzymani przez Norwegów. Jeden z aresztowanych Izraelczyków cierpiał na klaustrofobię, czego nie omieszkali wykorzystać norwescy śledczy. Agent w konsekwencji wyspał całą grupę. Wybuchł międzynarodowy skandal. Izraelczycy dostali wysokie wyroki, ale na skutek zakulisowych

zabiegów Tel Awiwu po 21 miesiącach wyszli na wolność. „Czerwony Księżę” został zabity w Bejrucie przez samochód pułapkę dopiero w roku 1979.

Rozterki

Współczesne kino nie lubi bohaterów pozbawionych rozterek i wątpliwości, którym sukces przychodzi łatwo. Grupa Avnera mniej więcej od połowy filmu ponosi zatem straty, a jej członkowie przeżywają momenty załamania. Jednego z agentów podstępnie morduje piękna zabójczyni. Drugi ginie w wybuchu podczas konstrukcji bomby, kolejnego ktoś zasztyletował w czasie spaceru nad jednym z amsterdamskich kanałów. Oznacza to, że filmowy Mosad w czasie tej operacji ponosi straty sięgające 60 proc. stanu osobowego. Srogo.

Dzisiaj Izrael przyznaje się do straty dwóch oficerów ze sporej, liczącej być może 100 agentów grupy biorącej bezpośredni udział w polowaniu na przywódców Czarnego Września. Wątek ponętnej zabójczyni działającej na zlecenie o imieniu Jeanette, włącznie z dość krwawą i symboliczną zemstą, jaką sprawili jej ludzie Avnera, jest u Spielberga całkowicie fikcyjny.

W filmie jeden z agentów mówi wprost, że straci duszę, jeśli w czasie kolejnych zadań będą ginąć niewinni ludzie. Inni mówią, że „wkrótce staniemy się tacy sami jak ci, na których polujemy”. Jak było naprawdę z podejściem izraelskich agentów do zadania? Ehud Barak wspominał, że w Bejrucie dwóch jego komandosów miało wątpliwości, czy uzasadnione jest zabijanie ludzi w ich własnych łózkach. Dowódca szybko je rozwiął: „To wojna z terroryzmem i nie wygrasz, jeśli będziesz stał z boku beczynninie lub będziesz za bardzo dzielił włos na czworo przy wyborze celów”.

Aaron Klein tak odnosił się do kwestii wyrzutów sumienia w Mosadzie: „Rozmawiałem z około 50 osobami, w większości dawnymi agentami, dowódcami i szefami. Nie spotkałem ani jednego, który miał wątpliwości. Są bardzo dumni z tego, co zrobili. Wciąż widzą siebie jako niosących miecz, ludzi, którzy dokonali świętego dzieła w całym tym korowodzie zabójstw. Żaden nie miał żalu czy wyrzutów sumienia”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MARK BOWDEN

powraca z nową książką!

*Porywająca, wciągająca i brutalnie
prawdziwa rekonstrukcja najkrwawszej
bitwy wojny wietnamskiej!*





Piotr Zychowicz

Nawet najlepsi się mylą. Izraelscy egzekutorzy zaliczyli kilka spektakularnych, kompromitujących blamażów

Autobus zatrzymał się na przystanku. Otworzyły się drzwi i wyszedł z niego młody mężczyzna. Odwrócił się i położył rękę kobiecie. Pomógł jej opuścić pojazd, bo sama już z trudem się poruszała. Była w zaawansowanej ciąży. Młody człowiek wziął ją pod rękę i ruszyli w stronę mieszkania. Wrócili z kina i byli w znakomitych humorach. Żartowali, co pewien czas przystawali, żeby się pocałować.

Zajęci sobą nie zauważyli, że za nimi powoli sunie biały osobowy peugeot z czterema mężczyznami w środku. Nagle kierowca przyspieszył, po czym gwałtownie zahamował przed idącą chodnikiem parą. Chłopak i dziewczyna zatrzymali się zaskoczeni. Z samochodu wyskoczyło dwóch ludzi. Światło nocnej latarni błysnęło na lufach pistoletów. Były to beretty.

Ciszę nocy przerwał huk wystrzału, potem drugi, trzeci i czwarty... Z kilkadziesiąt centymetrów zabójcy wpakowali w chłopaka 14 pocisków kalibru 5,6 mm. Został podziurawiony jak sito. Zanim upadł na chodnik, już nie żył. Jego dziewczyna zaczęła przeraźliwie krzyczeć, a zabójcy wskoczyli do samochodu. Kierowca wcisnął pedał gazu i biały samochód ruszył z piskiem opon.

W środku siedzieli agenci Mosadu, którzy właśnie wykonali wyrok na Alim Hassanie Salamehu zwanym „Czerwonym Księciem”. Przywódcy słynnego Czarnego Września, organizatorze szeregu krwawych zamachów terrorystycznych. Tak się przynajmniej wydawało Izraelczykom. Nazajutrz, ku swemu przerażeniu, dowiedzieli się, że zabili niewinnego człowieka.

Ich ofiarą padł Ahmed Bouchiki, kelner marokańskiego pochodzenia. A ponieważ do zabójstwa doszło na obcym gruncie – w górskim kurorcie Lillehammer w Norwegii – oznaczało to



Chalid Maszhal przeżył zamach i stał się później przywódcą Hamasu

FOT. GETTY IMAGES

Czarna lista / Dyletanci – nawet w Mosadzie

Wpadki zabójców

dla izraelskich egzekutorów poważne kłopoty. Tej fatalnej pomyłki dopuścili się 21 lipca 1973 r., a już tego samego dnia norweska policja wpadła na ich trop.

Jedna z sąsiadek Bouchikiego i jego norweskiej żony widziała zabójstwo z okna swojego mieszkania. I zapisała numer rejestracyjny pojazdu zabójców. Nazajutrz dwaj funkcjonariusze operacyjni Mosadu przyjechali do lotniskowej wypożyczalni samochodów, aby zwrócić

białego peugeota. Był to zdumiewający błąd. Oczywiście natychmiast zostali aresztowani.

Przesłuchani przez policję zdradzili adres tajnego mieszkania Mosadu w Lillehammer. Tam policja aresztowała kolejnych dwóch Izraelczyków. Oni również załamali się w śledztwie i wydali kolejnych kolegów. Jeden z nich cierpiał na klaustrofobię i zgodził się zeznawać za... przeniesienie go do większej celi.



skie tajne służby po słynnej masakrze w Monachium w 1972 r. Komando palestyńskich terrorystów z organizacji Czarny Wrzesień zaatakowało wówczas wioskę olimpijską i na oczach zszokowanego świata zamordowało 11 izraelskich sportowców i trenerów.

Izraelska premier Golda Meir uznała wówczas, że tak straszliwej zbrodni nie można puścić płazem, że świat musi zobaczyć, iż nie można już bezkarnie zabijać Żydów. Na jej rozkaz w Mosadzie utworzona została ściśle tajna jednostka zabójców o kryptonimie Kidon, co po hebrajsku znaczy „oszczep”.

W jej skład weszli najlepsi izraelscy komandosi. Zostali wszechstronnie wyszkoleni w metodach sabotażu, walki wręcz i nożem. Potrafili prowadzić każdy pojazd mechaniczny. Przede wszystkim jednak nauczono ich, jak błyskawicznie pozbawić życia człowieka. A następnie pozbyć się ciała.

Członkowie „Kidonu” przez kolejne 20 lat jeździli po świecie i likwidowali bojowników Czarnego Września. Strzelali do nich, podawali im zatrute czekoladki, dusili i wysadzali w powietrze. Jednego z organizatorów monachijskiej masakry, Mohammeda Dauda Aude, znanego jako Abu Daud, „nieznani sprawcy” w 1981 r. sześciokrotnie postrzelili w brzuch w warszawskim hotelu Victoria.

Jednym z dowódców „Kidonu” był zmarły niedawno Rafi Ejtan, legendarny oficer izraelskich tajnych służb.



Kelner Ahmed Bouchiki, który został omyłkowo zabity zamiast przywódcy Czarnego Września Alego Hassana Salmeha FOT. LAFRIQUEADULTE.COM

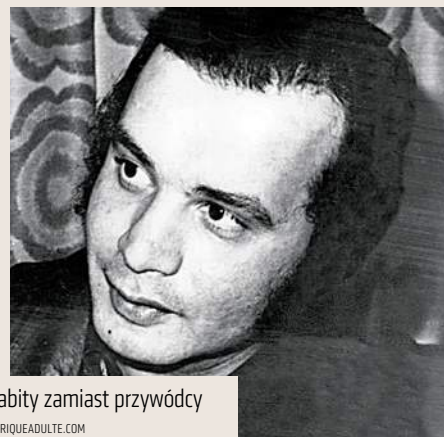
żeby kolejni terroryści zastanowili się dwa razy przed dokonaniem kolejnego ataku.

„Kidon” był – i jest – niezwykle skuteczny oraz bezwzględny. Nie ma miejsca na świecie, w którym wrogowie Izraela mogliby czuć się bezpiecznie. Na temat kolejnych brawurowych operacji Mosadu krążą legendy. Kręci się o nich filmy, pisze książki sensacyjne. W akademiach służb specjalnych całego świata szczegółowo omawia się ich akcje.

Zdecydowanie mniej uwagi poświęca się zaś wypadkom Mosadu. Czyli takim operacjom jak zabójstwo Bogu ducha winnego kelnera w Lillehammer. A przecież nawet najlepsi czasem się mylą. Tak jest też z izraelskimi tajnymi służbami. Chociaż bez wątpienia należą one do światowej czołówki, im również czasem powinno się noga.

Antidotum dla terrorysty

Jedną z największych wpadek Mosadu był zamach na prominentnego działacza Hamasu Chalida Maszala, do którego doszło 25 września 1997 r. O ile sprawa zabójstwa w norweskim kurorcie Lillehammer ma wymiar tragiczny, o tyle ta bardziej przypomina komedię pomyłek. Jedną z parodii przygód agenta 007 z „Jasiem Fasolą” w roli głównej.



Człowiek, który w 1960 r. wprowadził z Buenos Aires Adolfa Eichmanna. – To, co robiliśmy, nigdy nie było prymitywną zemstą – mówił mi w jednym z wywiadów. – Chodziło nie tylko o to, żeby winni zapłacili za swoje zbrodnie, lecz także

Otóż agenci Mosadu postanowili uderzyć w Ammanie, gdzie na stałe mieszkał Maszal. Szkołę w tym, że Jordania jest jednym z niewielu państw arabskich żyjących w pokoju z Izraelem. Mało tego, jordańskie służby często współpra-

„Gniew Boży”

Zabójstwo w Lillehammer było elementem operacji „Gniew Boży”, czyli akcji odwetowej podjętej przez izrael-

■ cują z izraelskimi w walce z Palestyńczykami. Mimo to Mosad postanowił podjąć ryzyko. Do Ammanu wyjechało kilkusobowe izraelskie komando, które wzięło pod obserwację Maszala.

Pomysł był prosty. Palestyński terrorysta miał zostać otruty za pomocą zabójczego spreju wyprodukowanego w jednym z tajnych izraelskich laboratoriów biochemicznych. Wystarczy kilka kropel tej groźnej substancji, by wysłać człowieka na tamten świat. A objawy są mniej więcej takie same jak w przypadku zawału. Wydawało się więc, że ludzie z „Kidonu” czeka czysta, gładka robota.

Na wszelki wypadek w jednym z hoteli w jordańskiej stolicy umieszczono jednak izraelską lekarkę z antidotum. Miało ono zostać podane agentom Mosadu, gdyby któryś z nich przypadkowo miał kontakt z trucizną. Lekarzka nie domyślała się jednak, że w całej aferze odegra zupełnie inną, nieoczekiwaną rolę.

Wróćmy jednak do samej akcji. Izraelczycy planowali zaatakować nad ranem, gdy Maszal będzie wchodził do biura Hamasu w Ammanie. Jeden z zabójców miał niepostrzeżenie rozpylić mu truciznę na karku, mijając go na schodach budynku. Maszal miał się przewrócić, a Izraelczycy niepostrzeżenie się oddalić.

Nic jednak nie poszło zgodnie z planem. Maszal tego dnia nieoczekiwanie wziął do samochodu dwoje swoich dzieci, które jego kierowca miał odwieźć do szkoły. Gdy uzbrojony w truciznę Izraelczyk zbliżał się do ofiary, córeczka Maszala wybiegła z samochodu i zaczęła wołać ojca. Terrorysta zawrócił.

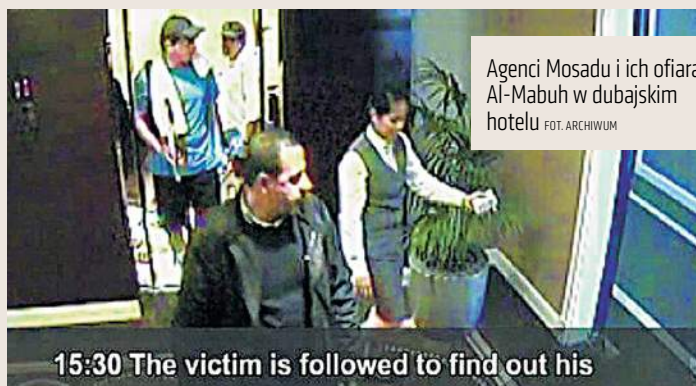
W efekcie zaskoczony egzekutor z Mosadu rozminął się z Maszałem i żeby dosięgnąć go trucizną, musiał do niego doskoczyć. I choć udało mu się psiknąć nią w ucho Palestyńczyka, jego gwałtowny ruch dostrzegł szofer Maszala. Rzucił się on na ratunek szefowi. Doszło do walki, do której włączył się jeszcze jeden członek Hamasu.



18:41 A new surveillance team arrives to relieve the existing teams.



20:24 The victim returns to the hotel.



Agenci Mosadu i ich ofiara Al-Mabuh w dubajskim hotelu. FOT. ARCHIWUM

15:30 The victim is followed to find out his

Egzekutor i ubezpieczający go agent zdołali się wyrwać i wskoczyć do czekającego na nich samochodu. Po kilku przecnicach postanowili jednak uciekać piechotą. Bali się, że ludzie Maszala zapisali numery rejestracyjne ich auta. Był to fatalny błąd. Wspomniany bojownik Hamasu biegł bowiem za samochodem i teraz rzucił się na wysiadających Izraelczyków.

Znowu wybuchła zacięta bójka. W ruch poszły pięści, wymierzano sobie kopniaki. Natychmiast zbiegł się tłum gapiów, który otoczył trzech szamoczących się mężczyzn. Co bardziej krewcy Jordańczycy dołączyli do walczących. Uliczną awanturę przerwał dopiero przyjazd jordańskiej policji. Groźni zabójcy z Mosadu grzecznie wsiedli do radiowozu i pojechali na komisariat razem z poturbowanym przez nich hamasowcem.

Tam zapewnili funkcjonariuszy, że nie mają nic wspólnego z zamachem na Maszala. Są tylko zwykłymi kanadyjskimi turystami. Na dowód pokazali paszporty.

Jordańska policja skontaktowała się z ambasadą Kanady, która przysłała na komisariat dyplomata. Wówczas sprawa oczywiście się wydała. Okazało się, że obaj „turyści” nigdy nie widzieli swojej „ojczyzny”. I że ich paszporty zostały sfałszowane.

Król Jordanii Husajn na wieść o tym, że Mosad dopuścił się zamachu w jego kraju, wpadł w szal. Uznał to za osobisty akt obrazy. Dowód nielojalności i perfidii Żydów, którzy nie potrafili uszanować jego majestatu. Rozwścieczony monarcha zapowiedział, że każe uśmiercić schwytanych agentów. I zaatakować ambasadę Izraela, w której schronili się pozostali uczestnicy operacji.

W efekcie do Ammanu, aby przebłagać monarchę, musiał w ekspresowym tempie przylecieć śmigłowcem sam premier Benjamin Netanjahu. Król ostentacyjnie go nie przyjął. Izraelski przywódca spotkał się tylko z jego bratem. W wyniku długotrwałych negocjacji udało się osiągnąć satysfakcjonujące Jordańczyków porozumienie. Do łóżka konającego Maszala sprowadzono wspomnianą izraelską lekarkę, która podała pacjentowi antidotum. Żydówka uratowała od pewnej śmierci arabskiego terrorystę, śmiertelnego wroga swojego narodu.

Na tym jednak upokorzenia strony izraelskiej się nie skończyły. Premier Netanjahu musiał solennie przeproszać swoich jordańskich sojuszników, a w zamian za wypuszczenie schwytanych w Ammanie agentów Mosadu i zwolnić kilkudziesięciu arabskich więźniów. Na czele z niewidomym demonicznym starcem na wózku inwalidzkim, przywódcą Hamasu szajkiem Ahmadem Jasinem.

Skutki operacji były więc opłakane. Nie dość, że poważnie nadszarpnęła ona stosunki państwa żydowskiego z Jordanią, to jeszcze wylansowała Chalida Maszala na palestyńskiego bohatera narodowego. Po śmierci szajka Jasina – w 2004 r. zginął w eksplozji izraelskiej

rakiety – Maszał stanął na czele Hamasu. I jest obecnie uznawany za wroga numer jeden Izraela.

– Umrę wtedy, gdy zdecyduje o tym Allah, a nie Mosad – powiedział Maszał w jednym z wywiadów.

Zabójstwo w pokoju 230

Mahmud al-Mabuh znajdował się na samym szczycie izraelskiej listy poszukiwanych terrorystów. Dlatego gdy 19 stycznia 2010 r. zameldował się w pięciogwiazdkowym dubajskim hotelu Al Bustan Rotana, poprosił o klimatyzowany pokój bez balkonu z zastrubowanymi oknami. Nie zwrócił jednak uwagi na dwóch mężczyzn w strojach tenisowych i z raketami w rękach, którzy weszli z nim do windy. A następnie opuścili ją na tym samym piętrze co on. Mężczyźni ci dyskretnie sprawdzili numer pokoju, w którym się zatrzymał. Był to pokój numer 230. Po chwili do recepcji zadzwonił „turysta”, który zarezerwował znajdujący się na przeciwko pokój numer 237.

Mahmud al-Mabuh tymczasem wyszedł na zakupy, a do hotelu przybyło czterech mężczyzn. Skierowali się oni prosto do pokoju numer 237. Przeprogramowali elektroniczny zamek w drzwiach pokoju Al-Mabuha i weszli do środka.

Gdy tylko Al-Mabuh wrócił do hotelu i przekroczył próg, rzuciło się na niego czterech napastników. Doszło do desperackiej walki o życie. Al-Mabuh był jednak na straconej pozycji. W czasie szamotaniny jeden z napastników zrobił mu zastrzyk.

Mężczyzna zwałił się na ziemię. Substancja chemiczna zadziałała w ten sposób, że Al-Mabuh nie mógł się poruszać, ale zachował pełną świadomość. Doskonale zdawał sobie sprawę, co się z nim dzieje... Mordercy zaciągnęli go na łóżko. Tam udusili go poduszką i na wszelki wypadek potraktowali paralizatorem. Przez jego głowę przepuszczona została potężna dawka prądu.

Upewniwszy się, że ofiara nie żyje, egzekutorzy opuścili pokój. Zawiesili na kłamek kartkę z napisem: „Nie przeszkadzać” i pojechali prosto na lotnisko. Mahmud al-Mabuh, jeden z najgroźniejszych palestyńskich terrorystów, założyciel zbrojnego skrzydła Hamasu, Brygad

Izraelski pistolet maszynowy Uzi FOT. ARCHIWUM



Ezedina al-Kasama, został wyeliminowany z gry.

Chociaż Izrael nigdy do tego oficjalnie się nie przyznał, to wyrok w luksusowym dubajskim hotelu wykonali agenci Mosadu. Skoro operacja w Dubaju się powiodła, to dlaczego znalazła się w tym rozdziale? Dlatego, że to, co najciekawsze, wydarzyło się w kolejnych dniach.

Jednym z powodów, dla których Mosad wybrał arabski emirat na miejsce ataku, był lekceważący stosunek izraelskiej służby do miejscowej policji. Jednak dubajska policja pod wodzą charyzmatycznego gen. Dahiego Khalfana Tamima zabrała się poważnie do roboty. Tamim zorganizował wkrótce konferencję prasową, podczas której na oczach całego świata ośmieszył Mosad.

Okazało się, że Izraelczycy popełnili wręcz szkolne błędy. Do Dubaju przyjechali w małych grupkach z różnych krajów świata, zamieszkali w rozmaitych hotelach i używali podrobionych paszportów Wielkiej Brytanii, Irlandii, Francji, Australii i Niemiec. Wszyscy używali jednak kart MasterCard wydanych przez spółkę Payoneer. Spółkę tę założył zaś... znany były agent izraelskich służb specjalnych.

Mało tego, Izraelczycy wszystkie połączenia komórkowe na terenie Dubaju wykonywali za pośrednictwem tego samego numeru w Austrii. W efekcie namierzenie 27 izraelskich agentów biorących udział w zabójstwie Palestyńczyka było dla dubajskich służb dziecinne proste. Podczas konferencji prasowej – która była w zasadzie pokazem multimedialnym – Tamim ujawnił nagrania z lotniskowych i hotelowych kamer, na których znajdowali się Izraelczycy. I krok po kroku zrekonstru-

ował całą operację. Poinformował, że agenci mieli przyklejone sztuczne brody i wąsy, nosili peruki i kape-lusze. Używali rozmaitych przebrań.

Zabójcy podzielili się na pięć zespołów. Łączność zabezpieczały im szyfrotory. Cztery zespoły miały się zająć obserwacją i ubezpieczeniem, piątą zaś – wykonaniem wyroku. Tym samym ujawnione zostały ściśle tajne metody działania Mosadu. Mało tego, Tamim

przekazał dziennikarzom skany paszportów zrobione na dubajskim lotnisku. Tym samym „spalił” najlepszych izraelskich zabójców, których żmudne szkolenie zajęło całe lata. Był to dla tej służby potężny cios, po którym długo musiała się podnosić. Pomijając już gigantyczne koszty i straty osobowe, poważnie ucierpiał również prestiż Mosadu. Rzekomo niepokonani izraelscy agenci – szydził Tamim – okazali się amatorami i nieudacznikami.

Ośmieszony został również sam Izrael. Afera doprowadziła do kryzysu w relacjach z państwami, których podrobionych paszportów Mosad użył podczas operacji. Brytyjczycy z hukiem wyrzucili z Londynu jednego z izraelskich dyplomatów, a w rzeczywistości szefa miejscowej rezydentury Mosadu.

Sprawa jest o tyle drażliwa, że Mosad już wcześniej używał do swoich zagranicznych akcji paszportów należących do Izraelczyków z podwójnym obywatelstwem. Na ogół potomków ofiar Holokaustu. Państwa Zachodu, kierując się wyrzutami sumienia i polityczną poprawnością, dokumenty takie wydają bardzo łatwo. A Mosad bez skrupułów wykorzystuje tę słabość.

„Nie ma zadań niewykonalnych” – brzmi jedno z haseł izraelskich służb. Jak widać, nie jest to prawda. Takie zadania istnieją.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

1914–1916 / Chwała I Brygadzie!

„Józef Piłsudski wkracza ze strzelcami na teren Królestwa Polskiego”, obraz Jerzego Kossaka

FOT. ARCHIWUM

Najdzielniejsi z dzielnych



Marek Gałęzowski

Do ataku szli jako pierwsi. Wycofywali się jako ostatni. Oficerowie Legionów wspięli się na wyżyny bohaterstwa

Drugiego dnia świąt była bardzo gęsta mgła. Leżało nas kilku na skraju wąwozu. Cały czas strzelaliśmy w stronę Moskali. Naraz widzimy, że stoi nad nami kilku Moskali – chłop w chłopu. Jeden z tych wielkoludów woła do nas »sokoliki zdawajtesia«, a my poturlaliśmy się w tym wąwozie i zniknęliśmy im z oczu. Zaczęli za nami strzelać w linii prostej, a więc pociski szły nad nami. Na szczęście po drugiej stronie wąwozu był las. Dotarliśmy do tego lasu, a tam już byli nasi, leguny. [...] Który z Rosjan zeszedł do wąwozu, już z niego nie wychodził. Kiedy jeden z naszych oficerów został

ranny w policzek, wydobyl swoją szablę i krzyczał »do ataku«. [...] Jego okrzyk »do ataku« poskutkował, bo taktycznie ruszyliśmy do ataku i Rosjanie uciekali przed nami” – tak Józef Wojnarski wspominał bitwę pod Łowczówkiem, stoczoną przez legionistów I Brygady w święta Bożego Narodzenia 1914 r.

„Kuba” bojowiec

Tym dzielnym oficerem krzyżującym „do ataku” był późniejszy gen. Władysław Bortnowski, we wrześniu 1939 r. dowódca Armii „Pomorze”. Ciężko ranny, wrócił do I Brygady w czasie walk na

Wołyniu. Pamiątką po otrzymanej ranie, jak wspominał Wojnarski, była „bardzo zniekształcona twarz, a szczególnie usta”. Bortnowski mógł jednak mówić o szczęściu, wyszedł bowiem cało z bitwy, w której poległo wielu żołnierzy I Brygady Józefa Piłsudskiego, w tym ośmiu oficerów. Wśród nich – Kazimierz Bojarski ps. Kuba.

„Każe I batalionowi zająć folwark na górze. Bojarskiemu, dowódcy batalionu, tłumacząc położenie, nakazuje ostrożność i stałe obserwowanie całego terenu naokoło. Spodziewam się nieprzyjaciela od wschodu, więc właśnie na nim, na Bojarskim, spoczywa odpowiedzialność za spokój i odpoczynek, którego tak potrzebujemy. Żadnej niepotrzebnej strzelaniny! Strzelać tylko do takich patroli, które wyraźnie do Uliny zmierzają, i to przypuszczając je możliwie blisko. Ludzi ukryć tak, by z daleka nie mogli być zaobserwowani, żadnych patroli na zewnątrz, nikogo z ludności nie wypuszczać, wszystkich nadchodzących przysyłać do mnie do zbadania. Meldunki o najmniejszych spostrzeżonych rzeczach! Bojarski

salutuje, wypowiada sakramentalne – »Według rozkazu!« i podkręca czarnego wąsika. Jestem spokojny. Bojarski jest służbiście, nie zawiedzie».

Ten, który według oceny Piłsudskiego nie zawodził, był weteranem Organizacji Bojowej PPS i uczestnikiem licznych akcji bojowych, na czele ze słynną ekspropriacją w Bezdanach, ostatnią akcją OB PPS, dokonaną w 1908 r. Osiadł potem we Lwowie. Nadal uczestniczył w akcjach bojowych na terenie zaboru rosyjskiego, a jak pisał Stefan Pomarański, „stał się jako jeden z wybitniejszych oficerów Związku [Strzeleckiego] bliskim współpracownikiem [...] Józefa Piłsudskiego i z jego polecenia odbywał częste potajemne ekspedycje do Królestwa w sprawach organizacyjnych”. Z nim też wyruszył przeciw Moskalom, zawsze mężny i w pierwszej linii. Zapamiętał go legionowy kapelan, ojciec Kosma Lenczowski: „[...] porucznik (pseudo Kuba) siedzi w stodole i zajada chleb. Trafia granat, burzy stodołę, a Kuba wychodzi spod belek cało”. To samo zdarzenie odnotował Józef Bellert: „[...] wy dostał się sam, wyjął lusterko i przyczesuje włosy. Przy oku ma mauzer – śmieje się”.

Przyszło w końcu zetrzeć się z żołnierzami rosyjskimi pod Łowczówkiem. „Kuba” dowodził 1. Batalionem 1. Pułku Piechoty i „osobiście prowadził kontrataki w celu odebrania okopów zajętych przez nieprzyjaciela. Siły nieprzyjaciela były po wielokroć przeważające, a przeprowadzał swe ataki z nadzwyczajnym uporem, wprowadzając za każdym razem coraz to nowe siły. W takich warunkach utrzymanie linii możliwe było tylko przez osobiste poświęcenie się [d]owódcy baonu kpt. Kazimierza Bojarskiego, który przez cały czas był na linii, osobiście prowadził akcję i kierował odpowiednio kontrataki rozstrzygane za każdym razem walką wręcz. Przy ostatnim kontrataku, późnym już wieczorem, gdy oddziały nasze rozbiły już nieprzyjaciela, padł od kuli nieprz[yjaciela], ugodzony [w] śmiertelnym postrzale w pierś”. Tak pisano o męstwie kpt. Kazimierza Bojarskiego we wniosku o odznaczenie go – pośmiertne – Orderem Virtuti Militari.

Wśród oficerów poległych pod Łowczówkiem był też Władysław Kędziński ze Lwowa, jeden z organizatorów IV Drużyny Strzeleckiej w dzielnicy Kleparów. „Był duszą tej Drużyny, organizował

i werbował robotników do pracy wojskowej” (z wniosku o odznaczenie Krzyżem Niepodległości). W czasie uderzenia Rosjan na pozycje legionistów drugiego dnia bitwy „spozregłszy, że cały baon cofa się w odwrocie panicznym z powodu nagłości natarcia i z powodu mgły (rozkaz odwrotu miał właśnie nadejść), rzucił 2. i 3. pluton, jakie miał przy sobie, na wzgórze, gdzie znajdowała się poprzednio w wiejskiej zagrodzie komenda baonu, by stamtąd ostrzeliwać się przeciw atakującym i osłaniać odwrot. Gdy ostatni opuszczał okop i chciał pobiec do swoich, został zraniony ciężko, prawdopodobnie w piersi. Pomimo tej rany – szedł naprzód, lecz osłabiony z nadmiaru upływu krwi zatrzymał się, by tchu zaczerpnąć. Podbiegł wówczas i chwycił go w ramiona [d]owódca 4. plutonu Oset Winiarski, już również ranny, podążający za swoim plutonem. Omdlewając, nie mogąc słowa wymówić, dając jedynie przeczące znaki ruchem głowy, a wskazując na piersi w odpowiedzi na naglenia, by szedł, i na szarpanie, by otrzeźwiał, padł pp[o]r. Kędziński na rękach pp[o]r. Winiarskiego ugodzony śmiertelnie w szyję”. Tacy to ludzie byli oficerami I Brygady Legionów Polskich.

W maju 1915 r. I Brygada stoczyła bitwę pod Konarami, „w której zginęło

kilku wspaniałych oficerów”, wybitnych działaczy irredentystycznych organizacji strzeleckich, działających przed wybuchem I wojny światowej.

Śmiercionośny tomik wierszy

Jednym z tych oficerów był kpt. Kazimierz Piątek „Herwin”, śmiertelnie ranny w natarciu na las pod Kozinkiem. Dwa dni później jego przyjaciel, por. Mikołaj Szyszłowski „Sarmat”, ponownie uderzył na pozycje rosyjskie w tym miejscu i również tam zginął. „Dopiero brawurowy atak podpułkownika Śmigłego zmusił Rosjan do ucieczki z tego upiornego lasu pełnego drzew popalonych i przypominających szkielety” – pisał malowniczo Bohdan Urbankowski. Pod Konarami został ranny także por. Franciszek Pększyć „Grudziński”. Uciekł jednak ze szpitala i ponownie dołączył do Brygady. Nie minął tydzień, kiedy poległ w czasie patrolu pod Modliborzycami.

Wszystkich trzech – poza przyjacią – łączył tomik poezji Juliusza Słowackiego, który Piątek miał zawsze przy sobie. Odziedziczył go po nim „Grudziński”, ale przekazał „Sarmatowi”. Kiedy „Sarmat” poległ, książeczkę znalazł przy jego ciele przejął znów „Grudziński”. „Ów śmiercionośny tom wierszy”, jak podaje legenda legionowa, a którą przywołuje Urbankowski, ostatecznie pochowano wraz z Pększyćm.

Jednak poległ w kilkudniowej bitwie pod Konarami także mniej znani niż ci trzej oficerowie wielkich nadziei, choćby Tadeusz Dąbrowski. Nosił pseudonim „Marynarz”, ponieważ wcześniej, po maturze zdanej w 1914 r. w jednym z lwowskich gimnazjów, służył w marynarce wojennej Austro-Węgier. „Dnia 22 maja 1915 r., w czasie ataku na Przepiórów, ppor. Marynarz-Dąbrowski Tadeusz z komp[anii] por. Oseta [Kwiecińskiego] jako [d]owódca plutonu otrzymuje rozkaz [...] wspierania atakującej kompanii. W czasie ataku z powodu wielkiego wawozu biegnącego prostopadle do pozycji nieprzyjacielskiej traci bezpośrednią łączność z resztą atakujących, co widząc, Rosjanie otwierają silny ogień karab[ino]wy z flanki i przygotowują się do kontrataku. Ppor. Marynarz-Dąbrowski, zdany na własne siły, nie traci przytomności, ■



General Władysław Bortnowski
zaczynał wojskową karierę
w Legionach

FOT. WIKIPEDIA



Józef Piłsudski z Kasztanką FOT. NAC

■ tylko świecąc przykładem męstwa i zimnej krwi, porywa swój pluton do ataku, zmuszając Rosjan do ucieczki. W swym dalszym natarciu z flanki [...] zostaje ppor. Marynarz-Dąbrowski ugodzony kulą w głowę, ponosząc śmierć. Pluton jednak, zagrzany przykładem męstwa i bezgranicznego poświęcenia swego d[owód]cy, natarcie swoje przeprowadza do końca, umożliwiając w ten sposób udanie się akcji wspólnej”.

Zwłoki ppor. „Marynarza” odnaleziono 31 maja 1915 r. i pogrzebano na miejscowym cmentarzu. Pośmiertnie został odznaczony *Virtuti Militari* i Krzyżem Niepodległości. „Poległy śp. Tadeusz jest potomkiem w prostej linii po generale Janie Henryku Dąbrowskim [...], którego następcy, śp. Jan z synem swoim Tadeuszem, walczyli w powstaniu 1830/[1831] – następnie syn Tadeusza, śp. Ignacy, walczył w 1863 r.” – pisał jego ojciec Jan.

„... którzy już nie wrócą”

Bitwa pod Konarami była tylko jedną z wielu krwawych bitew, które I Brygada stoczyła z Rosjanami. Do największej doszło niemal dwa lata od wymarszu z Krakowa kompanii kadrowej, w pierwszych dniach lipca 1916 r., pod wołyńską Kostiuchnowką. Żołnierze wykazali się w niej niezwykłym męstwem, okupując je śmiercią kolejnych wybitnych oficerów. „Ciężkie straty poniósł nasz

batalion. W II zginął tylko jeden oficer, Moch-Janicki, a u nas nie ma kpt. Sława, ppor. Warskiego, ppor. Bończy, ppor. Nehringa, ppor. Bussego, którzy już nigdy nie wrócą” – pisał Roman Starzyński, uczestnik bitwy, starszy brat wielkiego prezydenta Warszawy, również legionowego oficera.

Kapitan „Sław” – Stanisław Zwierzyński, dowódca I Batalionu 5. Pułku Piechoty, otoczony na Polskiej Górze, „przebił się na bagnety do drugiej linii obronnej. Wobec ustawicznych ataków nieprz[y]ciela, a następnie wobec zupełnego wyczerpania żołnierzy dwutygodniowymi zaciętymi walkami, na czele oficerów swoich z pistoletem w rękę, z okrzykiem »oficerowie w tyraljery« – ruszył do kontrszturmu, porywając

przykładem wszystkich żołnierzy; dwukrotnie śmiertelnie ranny, poległ śmiercią bohaterską” (VM). O jego bohaterskiej śmierci pisał w „Sprawozdaniu z boju pod Kostiuchnowką” Józef Piłsudski: „[...] kpt. Sław-Zwierzynski, widząc odcięty odwrót i wzięty w ogień ze wszystkich stron, decyduje się wyprowadzić baon z okopów i z bagnetem w rękę przebić się w kierunku na Polski Las. Decyzję swą uskutecznił, przy czym sam pada zabity”.

Gdy poległ kpt. Zwierzyński, „ppor. Busse chwycił ciężko rannego swego dowódcę baonu i usiłował wynieść go na rękach z linii ognia, przy czym otrzymał kulę w głowę i padł” (VM). „Busse”, czyli Stanisław Guzowski, pochodził z Włocławka, był studentem Szkoły Politechnicznej we Lwowie, absolwentem kursu oficerskiego Związku Strzeleckiego. Wybuch wojny zastał go w zaborze rosyjskim, lecz w grudniu 1914 r. zdołał przedostać się do Legionów. Był oficerem 5. Pułku Piechoty I Brygady...

Inny ze wspomnianych, ppor. Aleksy Nehring, w połowie Estończyk, „charakterem wyróżniał się w szeregu. Był skromny i spokojny, ale zdecydowany, i cechy te zachowywał w boju od pierwszych dni wojny. [...] W walkach pod Limanową i Łowczówkiem [...] w dużym stopniu przyczynił się do utrzymania ładu i spokoju w szeregu podczas najkrytyczniejszej dla pułku sytuacji. Pod Konarami, gdzie batalion jego z powodu zachowania się sąsiedniego pułku czeskiego znalazł się w trudnym położeniu, inicjatywą i determinacją wywiązał się z narzuczonego dlań zadania osłony” (VM).



Legioniści pod Konarami FOT. ARCHIWUM

Te straty dotyczyły jedynie dwóch batalionów 5. Pułku Piechoty I Brygady. Kapitan Tadeusz Furgalski „Wyrwa” z tegoż samego pułku odnotował zaś w swoim dzienniku: „[...] szalenie ciężkie straty; moje 5. i 6. kompanie prawie zupełnie zniesione”, wśród poległych wymieniając m.in. wybitnego artystę rzeźbiarza Włodzimierza Koniecznego, Zaliwskiego, Charzewskiego, Chmurę – ciężko rannego.

Ten Zaliwski, który pseudonim wzięty od jednego z przywódców spisku podchorążych z czasów nocy listopadowej, „dzięki swej brawurowej odwadze i nigdy nieopuszczającego go humoru, którym zapalał [...] swych podwładnych do walki”, był już wcześniej ranny w walce o Beradź w maju 1915 r. W czasie bitwy pod Kostiuchnowką „kilka jeszcze razy przechodzi do ataku na bagnety, odrzuca ścigającego go nieprzyjaciela – jednak tutaj zostaje zabity. Śmiałym tym atakiem wstrzymał ppor. Zaliwski silny atak nieprzyjacielski, umożliwiając wycofanie się w porządku komp[anii], jednak sam ponosząc śmierć bohaterską na polu chwały” – pisano we wniosku o odznaczenie Virtuti Militari Tadeusza Sowy, bo tak naprawdę się nazywał ten 23-letni w chwili śmierci oficer.

Porucznik Stanisław Charzewski, „odznaczał się zawsze spokojną i zdecydowaną odwagą i męstwem, nawet w najkrytyczniejszych momentach”. Był jednym ze starszych wiekiem oficerów I Brygady, absolwentem studiów prawniczych na Uniwersytecie Lwowskim. Przed wojną działał w Związku Strzeleckim w Brzozowie. Ponadto, jak pisano we wniosku o odznaczenie go Virtuti Militari, „w Baligrodzie założył pierwszy w powiecie leskim Związek Strzelecki i jakkolwiek nie było to zbyt łatwo, zorganizował go tak, że w chwili wybuchu wojny wyszedł z Baligrodu na czele legionistów uzbrojonych w zupełności” i dotarł na mobilizację strzelecką do Krakowa.

Ostatni z wymienionych, Stefan Chmura z Nowego Targu, niestety również nie wyszedł żywy z tej bitwy. „W czasie ognia huraganowego pod Kostiuchnowką (w rezerwie w Łasku Polskim), kontuzjowany ciężko granatem, który upadł w ziemiankę, zabijając i raniąc jedenastu legionistów, nie stracił ani przytomności

umysłu, ani zawsze cechującej go odwagi, lecz pozostał w linii, a prowadząc brawurowo swój pluton następnego dnia rano do szturm na zdobyte przez Moskali pozycje, poległ od kuli karabinowej, ugodzony w serce przed pozycjami nieprzyjacielskimi” (wniosek o Virtuti Militari). Kiedy wybuchła wojna, przerwał naukę w gimnazjum, by wstąpić do Legionów. Maturę zdał eksternistycznie w nowotarskim gimnazjum. Rok później już nie żył.



Kapitan Kazimierz-Herwin Piątek (na pierwszym planie, leży) FOT. NAC

A „Wyrwa”, który wspominał o tych poległych kolegach? Ten wspaniały oficer, jeden z najbliższych Piłsudskiemu, dokonał w cytowanym dzienniku jeszcze tylko jednego zapisu. Poległ trzy dni później, w czasie odwrotu spod Kostiuchnowki, w przypadkowym starciu z kozackim patrolem. Żegnał go Komendant tymi słowy: „Najboleśniejszą naszą stratą jest zabity mjr Wyrwa-Furgalski, który tyle sławy nam przysparzał, tylu żołnierzy wychował, a tylu upadających moralnie swym humorem i tężyzną podtrzymywał. Był jednym z najlepszych naszych oficerów”.

Czyn legionowy nie był zatem, jak chcą niektórzy, mało rzeczywistą „wojenką”,

do której później obóz piłsudczyków w czasie swoich rządów w okresie międzywojennym „dorobił” legendę. Był twardą, wymagającą poświęceń służbą, którą tylko ludzie małostkowi i nieuczciwi mogą traktować lekceważąco. W trwających dwa lata bojach poległo lub zmarło 127 oficerów Legionów Polskich, z których zaledwie kilku nie zginęło w bezpośredniej walce z zaborcą. Czyn ich wszystkich, poniesiona ofiara

życia, tworzył nie legendę, ale fundament polskiego wojska, dowodząc, że niepodległość nie została darowana, że trzeba było się o nią bić. Cena była wysoka. Wiedział o tym najwybitniejszy legionowy poeta, Stanisław Długosz, który poległ pod Samokłeskami na Lubelszczyźnie, dokładnie w pierwszą rocznicę wymarszu kompanii kadrowej Legionów:

[...]
– w daleką odchodzę drogę,
a tak mi Życia żal!...
Odchodzę w dalekie kraje
przez szlaki gwiazdnych dróg,
serce Ci, Sprawo, oddaję,
rzucając życia próg.

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Żydowski oddział partyzancki FOT. ARCHIWUM

Partyzantka na Białorusi / Konflikt żydowsko-polski w Puszczy Nalibockiej

Żydowski oddział Zorina



Mikołaj Iwanow

**Giersz Smolar –
komunistyczny komisarz
getta w Mińsku –
skierował do partyzantki
sowieckiej kilka tysięcy
Żydów**

Udział Żydów w sowieckim ruchu partyzanckim przybierał w czasie ostatniej wojny różne formy i miał różne przyczyny. Niewątpliwie głównym bodźcem do tego udziału był terror niemiecki prowadzący do całkowitego zniszczenia narodu żydowskiego. Dla wielu Żydów wstąpienie do partyzantki sowieckiej było jedyną drogą ratunku. Uczestnictwo Żydów w partyzantce sowieckiej na

Białorusi było za czasów istnienia ZSRS prawie zupełnie pomijane. Tematem tabu był również udział Polaków w wojnie partyzanckiej przeciwko armii niemieckiej, nie mówiąc już o toczącej się w lasach północno-wschodnich województw II Rzeczypospolitej zacieklej wojnie między Armią Krajową a partyzantką sowiecką.

Żydzi partyzanci w tej wojnie walczyli po stronie sowieckiej. Kim byli ci leśni żołnierze? W jaki sposób dostali

się do partyzantki sowieckiej? Jak walczyli i jak przeżyli? Częściową odpowiedź na te pytania spróbujemy dać na podstawie analizy dokonań jednego z największych żydowskich oddziałów partyzanckich pod dowództwem Szłoma (Siemiona) Zorina.

Żydzi z Polski i Sowietów

Sowiecki oddział partyzancki nr 106 powstał w połowie 1942 r. jako zaplecze komunistycznego podziemia mińskiego getta. Oddział ten rozlokowano w Puszczy Nalibockiej, na najbliższym w okolicach Mińska wielkim obszarze leśnym, ale znajdującym się przed wojną na terytorium II Rzeczypospolitej. Tutaj w rozsiadniętych wokół puszczy wsiach przeważała ludność polska, popierająca Armię Krajową. Żydowscy partyzanci Zorina mieli z tą ludnością stosunki bardzo napięte, na pograniczu otwartej wojny. Udział partyzantów Zorina w spalaniu 15 maja 1943 r. polskiej wsi Naliboki i wymordowaniu jej mieszkańców stanowi przykład ludobójstwa, charakterystycznego dla polsko-sowieckiej wojny partyzanckiej w lasach Białorusi pod okupacją niemiecką. Kim byli partyzanci Zorina? Dlaczego stanowczo wypowiedzieli się po stronie sowieckiej w tej wojnie? Jaki los ich spotkał?

Przed rozpoczęciem II wojny światowej północno-wschodnie kresy II Rzeczypospolitej były prawdopodobnie jednym z najgęściej zaludnionych przez Żydów regionów Europy. Prawie we wszystkich miastach i miasteczkach regionu ludność żydowska stanowiła większość. Na wsi Żydów też było sporo. Po agresji sowiecko-niemieckiej na Polskę większość tych terenów przyłączono do sowieckiej Białorusi. W BSRS mieszkało ponad milion Żydów. Z tym że były tam dwa odrębne światy żydowskie. W większości bardzo religijni, nie tyle wrodoży, ile nieufni wobec nowej władzy Żydzi II RP oraz w większości niereligijni, wrośnięci w społeczeństwo sowieckie Żydzi sowieccy. Spotkał te dwa światy żydowski również zupełnie inny los w okresie Holokaustu. Żydzi polscy zginęli w wirze zagłady prawie w 95 proc., spośród Żydów sowieckich ocalała prawie połowa. U podstaw takiego paradoksalnego zjawiska leży kilka przyczyn. Po pierwsze, Żydzi wschodnie

Białorusi mieli więcej czasu na ucieczkę w głąb Związku Sowieckiego. Po drugie, wiele rodzin żydowskich na wschodzie objęła tzw. planowa ewakuacja, zorganizowana przez władze sowieckie dla pracowników wielkich zakładów przemysłowych i urzędników sowieckich. I po trzecie, a zarazem jest to najważniejsza przyczyna – na wschodzie polityka internacjonalistyczna bolszewików doprowadziła do zniszczenia bariery izolacji Żydów w społeczeństwie sowieckim. W latach 20. polityka narodowościowa bolszewików była wyraźnie prożydowska, skierowana na aktywny udział Żydów w budowaniu nowego ustroju społecznego. Dlatego Żydzi wschodu byli o wiele bardziej mobilni i zdolni do postaw przedsiębiorczych w obronie własnego życia.



Szłomo (Siemion) Zorin

FOT. ARTSANDCULTURE.GOOGLE.COM

Ta specyfika Żydów sowieckich wyraźnie przejawiała się w warunkach istnienia getta w Mińsku, jedynego getta utworzonego przez Niemców poza przedwojenną granicą II RP. Ani w Kijowie, ani w Odesie, ani w Charkowie – miastach z bardzo dużym odsetkiem ludności żydowskiej – gett nie zakładano. Uważano to za zbędny luksus dla „podludzi”. Miejscowi Żydzi przeważnie szli na rzeź bez zbędnych ceregieli. Z Mińskiem było inaczej. Tutaj zaplanowano zarówno wykorzystanie Żydów w przemyśle, jak i utworzenie swego punktu przeładunkowego dla Żydów z Europy Zachodniej. W utwo-

rzonym pod Mińskiem obozie zagłady Trościaniec mordowano Żydów z Holandii i Niemiec.

W historii Holokaustu getto w Mińsku zapisało się jednym wyjątkowym „osiągnięciem”. Ze 100 tys. zamkniętych w tym getcie ludzi udało się uratować co najmniej 5 tys. osób. Niektórzy historycy twierdzą, że uratowało się dwa razy więcej Żydów – ok. 10 tys. Jest to prawdopodobnie najwyższy wskaźnik uratowanych z Holokaustu w gettach całej Europy. Działo się tak dzięki prężnie działającemu tu podziemiemu komunistycznemu. Początkowo nawet wszystkie struktury rozbudowanego komunistycznego podziemia w stolicy Białoruskiej SRS były skoncentrowane w getcie. Tutaj działała podziemna typografia, tu podziemie urządzało nielegalne składy broni, tu urzędował podziemny miejski i obwodowy komitet partii, na czele z Isajem Kozincem, również Żydem.

Dopiero w połowie 1942 r. gestapo udało się zniszczyć tę miejską siatkę komunistyczną i powiesić Kozinca. Podziemie działało jednak nadal. Na jego czele stanęli dwóch przedwojennych działaczy komunistycznych Michał Gebielew i Giersz Smolar. Pierwszy odgrywał rolę dowódcy podziemia, drugi – komisarza. Gebielew zginął na szafocie jesienią 1942 r., natomiast Smolar (ojciec dwóch znanych polityków polskich: Aleksandra i Eugeniusza Smolarów) stanął na czele podziemia i szybko zupełnie zmienił taktykę walki. Zamiast dalszego rozwoju podziemia postawił na ratowanie życia ludzkiego przez wyprowadzenie ludzi do lasu i tworzenie oddziałów partyzanckich.

W odróżnieniu od innych gett europejskich w działalność konspiracyjną było zaangażowane kierownictwo Judenratu na czele z jego szefem Ilją Muszkinem. Trudno w to uwierzyć, ale w getcie reperowano broń dla partyzantów, zbierano i kierowano do lasów ciepłe ubrania, medykamenty. Aktywną rolę w kontaktach z lasem odgrywała policja żydowska getta na czele ze Ziamą Sierebriańskim.

Czołową rolę w tej taktyce Giersza Smolara miał odegrać oddział partyzancki Szłoma Zorina. Sytuacja nie pozwalała na tworzenie dużych oddziałów partyzanckich, dlatego zdecydowano się na organizowanie mniejszych oddziałów. Niemal każdego dnia z getta wychodziło kilkudziesięciu ludzi, przeważnie mło-

dych, zdolnych walczyć w partyzancie, a specjalnie wyszkoleni przewodnicy prowadzili ich do Zorina. Tutaj odbywała się segregacja uciekinierów. Naczelne dowództwo sowieckiego ruchu partyzanckiego stale zgłaszało do Zorina zapotrzebowanie na specjalistów w tej czy innej dziedzinie. Do różnych oddziałów partyzanckich kierowano lekarzy, specjalistów chemików, drukarzy, szewców i innych fachowców. Niemających zawodów, po krótkim przeszkoleniu u Zorina, kierowano jako szeregowych żołnierzy do oddziałów na całej Białorusi.

Niektóre oddziały tworzone od początku. W ten sposób powstało 10 nowych oddziałów: imienia Kutuzowa w Drugiej Mińskiej Brygadzie Partyzanckiej (250 żołnierzy), im. Dzierżyńskiego (Brygada im. Frunze), im. Lazo, im. Budionnego, im. Frunze, im. Parchomenko (brygada Czapajewa), im. Szczorsa, im. 25-lecia BSRS, oddział nr 406 i 1. Batalion 208. Pułku Partyzanckiego. W ten sposób przez Zorina z getta mińskiego do lasów przeprowadzono kilka tysięcy osób.

Oddział nr 106

Giersz Smolar został inicjatorem przekształcenia oddziału Zorina nr 106 w oddział rodzinny. Wielu przyszłych partyzantów przychodziło do Zorina razem z rodzinami, natomiast dowódcy docelowych oddziałów odmawiali przyjmowania kobiet, dzieci i starszych ludzi. Musieli oni pozostawać u Zorina. Aby znaleźć dla tych wszystkich ludzi zajęcie, za zgodą dowództwa partyzanckiego oddział Zorina przekształcił się w swoiste gospodarcze zaplecze ruchu partyzanckiego. Tutaj powstał znany na całą Puszczę Nalibocką szpital leśny, do którego kierowano rannych z innych oddziałów. W obozie pracowały piekarnia na potrzeby wielu oddziałów, rusznikarnia. Tutaj reperowano i szyto ubrania. Mówiono, że w butach od Zorina chodziła cała prosowiecka Puszcza Nalibocka.

Giersz Smolar pozostawał w getcie do ostatniego momentu, organizując ucieczki do lasu. Dopiero zimą 1943 r. dołączył do Zorina. Wkrótce dowództwo skierowało go jako komisarza oddziału im. Lazo. Redagował partyzancką gazetę, wydawał ulotki, w tym w języku jidysz.

W odróżnieniu od innego znanego żydowskiego oddziału partyzanckiego

– braci Bielskich – który powstał samorzutnie z chaotycznie uciekających z gett kresów II RP Żydów i dopiero później przyłączył się do partyzantki sowieckiej, oddział nr 106 utworzono celowo przez centralny sztab ruchu partyzanckiego w celu wciągnięcia Żydów do komunistycznej partyzantki. Potocznie w szeregach partyzanckich oddział Bielskich nazywano „oddziałem polskim”, a zorinowców traktowano jako swoich, sowieckich.

Jeden z żołnierzy Zorina – Leonid Okuń – tak scharakteryzował różnicę między oddziałem Zorina a tym Bielskich: „Zorin był osobą wyjątkowo prawdomówną, który często mówił innym dowódcom oddziałów partyzanckich, co o nich myśli. Dlatego stosunki zorinowców z innymi partyzantami nie zawsze były poprawne. Natomiast nikt z partyzantów Puszczy Nalibockiej nie ryzykował konfliktu z Bielskimi. »Polski oddział« nikomu niczego nie wybaczał. Bielscy byli w stanie w każdym momencie zmobilizować do 1500 bezlitosnych żołnierzy i walczyć z każdą sowiecką brygadą partyzancką w wypadku jakiegokolwiek agresji przeciw nim. Komisarze w oddziale Bielskiego byli swoistą dekoracją, nic więcej... Bielskich się bano, ich oddział miał »ostre zęby«, jego podporowcy żołnierze-zbóje, żydzi polscy nie wyróżniali się zbyt sentymentalnością. Pamiętam mnóstwo przypadków, jak partyzanci Bielskich wychowywali swych sąsiadów”.

W lasach Białorusi walczyło kilkadziesiąt żydowskich oddziałów partyzanckich. W innych licznych oddziałach partyzantki sowieckiej Żydzi stanowili poważny odsetek. Na początku 1944 r. w okręgu Baranowicze Żydzi stanowili 12 proc. ogólnej liczby 8492 partyzantów sowieckich. W ludzkim regionie (4892 partyzantów) Żydów było 28 proc.

Według oficjalnych statystyk Żydzi stanowili ok. 5,7 proc. stanu osobowego wszystkich sowieckich oddziałów na terenie BSRS. Szacuje się, że w szeregach partyzantów sowieckich walczyło ponad 20 tys. Żydów. Niektórzy badacze mówią o 30 tys. Żydów partyzantów. Jednak i ta liczba zupełnie nie odzwierciedla wpływu Żydów. Na stanowiskach dowódczych udział Żydów był znacznie większy. Według daleko niepełnych



Sowiecki pistolet maszynowy PPSz (pepesza)

FOT. WIKIPEDIA

danych 134 Żydów zajmowało stanowiska dowódców, komisarzy i kierowników sztabów w oddziałach oraz brygadach partyzanckich. Również znaczny był udział Żydów w aparacie propagandy sowieckiego ruchu partyzanckiego – redaktorów gazet i innych wydawnictw.

Wśród wielu różnorodnych przyczyn konfliktu polsko-żydowskiego podczas II wojny światowej istotną rolę odgrywała świadoma, prowokacyjna działalność zarówno niemieckich władz okupacyjnych, jak i partyzantów sowieckich. Znane są przypadki, że Niemcy, udając AK-owców, napadali na żydowskie oddziały partyzanckie i mordowali ukrywających się Żydów. Są w archiwach również relacje o tym, jak partyzanci sowieccy niszczyli polskie wsie kresowe, udając żydowskich partyzantów.

Historia tragicznej polsko-żydowskiej walki okresu II wojny światowej jeszcze czeka na swych wnikliwych badaczy. Do dziś obraz stosunków polsko-żydowskich na kresach litewsko-białoruskich jest zmatowany, pełen niedomówień i przemilczeń. Nieznany jest również bilans strat po obu stronach.

Żydzi w szeregach partyzantki sowieckiej i żołnierze AK byli skazani na wzajemne zwalczanie się w wojnie partyzanckiej. Był to zbrojny konflikt spowodowany głównie niemiecką polityką Holokaustu i sowieckim niszczeniem polskości kresowej. Walka ta toczyła się według zasady: „Wróg mojego wroga jest moim sojusznikiem”. Dla Armii Krajowej na północno-wschodnich kresach

II RP ta zasada nie działała. AK mogła liczyć jedynie na własne siły. Próby niektórych dowódców AK nawiązania współpracy zarówno z Niemcami, jak i z partyzantką sowiecką miały izolowany charakter i w gruncie rzeczy nie powiodły się.

Polsko-żydowski konflikt z okresu ostatniej wojny na polskich kresach północno-wschodnich zostawił ślad w zbiorowej pamięci obu narodów. Do dziś trwają spory o istotę tego konfliktu i poszukiwanie winnych w licznych popełnionych przez obie strony zbrodniach. Cierpienia i ofiary Żydów oraz Polaków w tym konflikcie mają różny kształt, wymiar oraz nasilenie i jedynie wnikliwe, rzetelne i prowadzone na podstawie faktów badania istoty tego konfliktu

mogą sprzyjać zagojeniu się ran spowodowanych ostatnią wojną.

Zarówno Żydzi, jak i Polacy stali się ofiarami śmiertelnej walki między dwoma potężnymi totalitaryzmami: sowieckim i niemieckim. Ofiarami nierównymi. Dla Żydów ta walka oznaczała zagładę. Dla Polaków – klęskę wojskowo-polityczną i stratę niepodległości. Żydzi partyzanci od Zorina byli zakładnikami tego konfliktu. Zapisali się boleśnie w historii polskości kresowej, natomiast bohaterstwo w historii własnego narodu. Szłomo Zorin został inwalidą wojennym, stracił nogę w ostatniej walce oddziału latem 1944 r. W 1971 r. wyjechał do Izraela i był przyjęty jako bohater narodowy. Zmarł w 1974 r. Został pochowany z honorami wojskowymi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Krzyż w Koniuchach, upamiętniający mieszkańców wsi zamordowanych przez sowieckich partyzantów FOT. WIKIPEDIA

REKLAMA

BRAWUROWA AUTOBIOGRAFIA ASTRONAUTY, LEKARZA I ALPINISTY

Inspiracja dla przyszłych pokoleń; aby
realizować marzenia za wszelką cenę.

John Glenn

Pierwszy amerykański astronauta na orbicie okołozemskiej

Henryk Sienkiewicz FOT. DESA.ART.PL

Lata 90. XIX w.

Czy autor „Trylogii” okazał się impotentem?

Kobiety Sienkiewicza



Sławomir Koper

Noblista był żonaty trzy razy, a jego drugie małżeństwo wywołało ogromny skandal i zostało ostatecznie unieważnione przez Watykan

W życiu Henryka Sienkiewicza było pięć kobiet, a każda z nich miała na imię Maria. Najważniejszą z nich była jego pierwsza, ukochana żona, Maria Szetkiewiczówna. Urodziła pisarzowi dwoje dzieci, niestety zmarła na gruźlicę w wieku zaledwie 31 lat. Sienkiewicz bardzo przeżył jej śmierć, jednak osiem lat później postanowił po raz kolejny wstąpić w związki małżeńskie. Sienkiewicz miał wówczas lat 46 i po wydaniu „Trylogii” był u szczytu sławy. Wtedy poznał dziewczynę, która zawróciła mu w głowie tak, że zaczął planować małżeństwo. Była nią Maria Romanowska, adoptowana córka Konstantego i Heleny Wołodkowiczów.

Piękność z Odessy

Była to niezwykle zamożna rodzina osiadła w Odessie, Wołodkowicz dorobił się ogromnych pieniędzy na ukraińskich cukrowniach i gorzelnianach. Jego żona marzyła o dobrej partii dla ich przybranej córki i Sienkiewicz wydawał się łatwą ofiarą.

Marynuszka (jak ją nazywano w rodzinie) była o 27 lat młodsza od pisarza. Bez wątpienia była bardzo urodziwa, ale bezwolna w rękach matki – intrygantki. Pan Henryk jednak właściwie nie zdążył jej dobrze poznać – widywał się z nią w Krakowie tylko przez 10 dni. Plotki jednak już się rozchodziły, a gdy w Zakopanem znajomi pytali go o zamiary wobec dziewczyny, milczał „jako Sfinks przy księżycu”.

W jednym z listów stwierdził, iż „nie wierzy, że ktoś mógł się naprawdę zająć

taką starą i żółtą małpą jak on”. Miał rację, gdyż w postępowaniu Marynuszki i jej matki było tylko zimne wyrachowanie. Jednak zdecydował się i na początek polecił wysłać do Odessy komplet swoich dzieł „w oprowie”, a w grudniu sam ruszył nad Morze Czarne. Cel był jasny – zamierzał się tam oświadczyć.

Przepych odeskiej willi Wołodkowiczów oszołomił pisarza. Wielki, bogato urządzonej dom stał na urwisku nad morzem, otaczał go piękny ogród, a właścicielom usługiwała liczna służba. Sienkiewicz oświadczył się i został przyjęty, rezerwę zachował tylko przyszły teść. Wołodkowicz zauważył w rozmowie z córką, że Sienkiewicz nie jest właściwym mężem dla niej, gdyż będzie mu musiała „co wieczór gotować rumianek”. Natomiast pani Helena była w swoim żywiole. Zaproponowała, że wraz z pisarzem i córką wyjadą do Włoch, a ślub miał się odbyć w marcu w Rzymie. Sienkiewicz zgodził się na termin i miejsce, nie chciał jednak wcześniejszego pobytu w Italii. Widział bowiem, że Wołodkowiczowa nie liczyła się zupełnie z pieniędzmi, a jako przyszły zięć powinien pokryć przynajmniej większość kosztów eskapady i ślubu.

Ostatecznie matka i córka pojechały do Nervii koło Genui, natomiast Sienkiewicz udał się do Krakowa, a następnie do Warszawy. Jednak pod koniec lutego pojawił się w Italii i przez trzy tygodnie przebywał z paniami w Nervii, a potem

wybrał się z nimi do Rzymu. Dojechał też tam Wołodkowicz, a pisarza coraz bardziej przerażało postępowanie przyszłych teściów. A właściwie teściowej. Głównie pod względem finansowym. Wołodkowiczowie zamieszkali bowiem w Hotel de Rome, gdzie płacili „Bóg wie ile”. Skoro jednak był to ulubiony hotel Czarotoryskich czy Radziwiłłów, to potentaci cukrowi z Ukrainy nie mogli zatrzymać się w innym miejscu. Sienkiewicz wynajął pokój w znacznie tańszym Hotelu Angielskim, na domiar złego miał „okropny katar, prawie influenzę” [grype – przyp. S.K.], a do tego „bolała go łapa” i zastanawiał się, czy to nie jest przypadkiem „początek paraliżeczkę”.

To jednak było nic w porównaniu z zachowaniem pani Heleny, z którą kłócił się nieustannie. Wiedział wprawdzie już wcześniej, że ma trudny charakter, a swoją przybraną córkę kochała do szaleństwa, ale w Rzymie dochodziły jeszcze gorszące kłótnie na tematy finansowe. Powodem ich było oczywiście „skąpstwo” pisarza. Pani Helena przypomniała przyszłemu zięciowi, że jej córka ma zagwarantowany posag w wysokości 9 tys. rubli rocznie (ponad 100 tys. euro), i zażądała, by z tej kwoty przeznaczył tysiąc rubli rocznie (12 tys. euro) na jej „drobne wydatki”. Sienkiewicz uznał to za absurd i stwierdził, że nie dopuści, by jego żona dysponowała taką kwotą. W tej sytuacji Wołodkowiczowa stwierdziła, że jej podopieczna umrze z nędzy po roku takiego traktowania.

Pisarz jednak nie rezygnował, przystąpił do informowania, że teściową „musi trzymać krócej”, ale chyba zaczął zdawać sobie sprawę z tego, że było to właściwie niemożliwe do osiągnięcia. Pozostawał natomiast pod coraz większym urokiem narzeczonej, ale chyba w ogóle jej nie rozumiał. Nazywał dziewczynę „lilowym majestatem”, z czego tak naprawdę zgadzał się tylko kolor. Maria faktycznie lubiła stroje o tej barwie, ale do majestatu było jej daleko. Była całkowicie podporządkowana władczej matce.

Do tego doszły jeszcze problemy ze ślubem we Włoszech. W tym kraju ślub kościelny miał także charakter cywilny i potrzebne były dodatkowe dokumenty narzeczonych. Pani Wołodkowiczowa uznała to za absurd, twierdząc, że do zawarcia małżeństwa wystarczy tylko zgoda jej i męża. Wyrażała oburzenie, że dokumenty muszą być przetłumaczone



■ na włoski i poświadczone przez konsulatory w Odessie i Warszawie. Poza tym była zawiedziona, że ślubu nie udzieli „co najmniej sam papież” i ostatecznie zgodziła się na uroczystość w kraju. Uzgodniono, że ślub odbędzie się w czerwcu w Krakowie i Wołodkowiczowie powrócili do Odessy. W tym całym zamieszaniu trzeźwe spojrzenie zachował tylko ojciec Marynuszki, który przytomnie zauważył, że „pan Sienkiewicz powinien pluć na wszystko”...

Tymczasem przyszły pan młody wybrał się do ulubionego Kaltenleutgeben pod Wiedniem, gdzie zaczął pisać „Rodzinę Połanieckich”. Nie miał zresztą specjalnego wyboru, we Włoszech zdążył już niemal całkowicie roztrwonić zaliczkę, jaką dostał za tę książkę. Tam też otrzymał list z Odessy, który wprawił go w osłupienie. Pani Wołodkowiczowa zrywała bowiem narzeczeństwo córki.

Przyczyną były finanse, teściowa uznała, że Sienkiewicz nie zapewni Marii takich warunków, do jakich dziewczyna była przyzwyczajona. Pisarz jednak głęboko przeżywał zerwanie, podobno nie spał przez 10 dni, zaprzestał też pracy. Od razu wysłał długą depeszę do Odessy, nie zgadzając się z decyzją teściów, poinformował także o wszystkim przyjaciół. Tymczasem z Odessy przyszedł kolejny list oskarżający go, że podczas pobytu w willi Wołodkowiczów miał romans z jedną z tamtejszych służących. W sprawę włączyły się wówczas przyjaciółki pisarza z krakowskiego towarzystwa, wstawiając się za nim u matki Marynuszki. Przyniosło to pewne efekty. Sienkiewicz odbierał kolejne listy i depesze od Wołodkowiczów, a wreszcie został zaproszony do Gastein, gdzie przebywała była naręczona z matką, i tam doszło do pogodzenia. Termin ślubu wyznaczono w Krakowie na 11 listopada 1893 r.

Tajemnica nocy poślubnej

Okazało się jednak, że nawet ten termin był zagrożony. Zgodnie z prawem kościelnym powinny zostać ogłoszone zapowiedzi w parafiach naręczonych, a w przypadku Sienkiewicza w parafii, na której terenie przebywał co najmniej przez sześć tygodni. Jednak pisarz od lat prowadził koczowniczy tryb życia i nigdy właściwie nie przebywał tak długo w jed-



Żony Sienkiewicza: Maria Szetkiewicz, Maria Babska, Maria Romanowska

FOT. WOLABYSTRZYKA.FOTOGRAFIE.BLOGSPOT.COM, PIK.KIELCE.PL

nym miejscu. W tej sytuacji z pomocą pospieszył Antoni Zaleski, który w Warszawie „wyrobił w konsystorzu świadectwo”, że Sienkiewicz „może być podciągnięty pod kategorię wagabundów”.

Ślub faktycznie odbył się w sobotę, 11 listopada 1893 r., w prywatnej kaplicy księcia biskupa krakowskiego, kard. Albina Dunajewskiego. Dostojnik osobiście połączył młodożeńców, po czym błogosławiąc ich, nawiązał do jednej z powieści pana młodego: „Z dogmatem idźcie w świat”.

Następnie odbyło się uroczyste śniadanie (ślub był o godz. 11) w hotelu Grand na 60 osób. Przemówienie wygłosił hrabia Tarnowski, odczytano telegram od kard. Ledóchowskiego zawierający błogosławieństwo od papieża (!), Leona XIII. Sienkiewicz był jednak

w kiepskiej formie, cierpiał na gripę, a przyjacielom zwierzał się, że „nie będzie z nią szczęśliwy”. I miał rację.

Przyjęcie zakończyło się ok. godz. 16 i nowożeńcy wyruszyli w podróż poślubną. Trasa prowadziła przez Wiedeń i Wenecję, po czym planowali kilkumiesięczny pobyt w Nervii. Podróżowali wagonem sypialnym i właśnie wydarzenia tego wyjazdu niebawem szeroko komentowano nad Wisłą.

Jeszcze na peronie Sienkiewicz pokłócił się z teściową, która uznała, że podczas śniadania wszyscy za dużo mówili o Sienkiewiczu, a prawie wcale nie wspominali o niej. Pisarz wściekły wszedł do wagonu i swoją złość wyładował na żonę. A potem było już tylko gorzej.

Chociaż Sienkiewicz był chory (podobno miał gripę), to poczuł się głodny



Dwór Sienkiewicza
w Obłęgorsku FOT. WIKIPEDIA

i sięgnął po jakąś kanapkę. Jego młoda żona z niesmakiem obserwowała, jak jadł, „siorbiąc, charcząc, sapiąc”, a z nosa „zwisła mu kapka od kataru” (E. Szermentowski, „Marynuszka”, „Wiadomości”, nr 51–52/1957). Po czym chciał objąć partnerkę, ta jednak odsunęła go delikatnie. W tej sytuacji wpadł w jeszcze gorszy nastrój i wreszcie zasnął samotnie na górnym łóżku przedziału.

Małżonkowie zatrzymali się na kilka dni w Wiedniu, pisarz wciąż źle się czuł, a co gorsza – nie był zdolny fizycznie dopełnić małżeństwa. Problemem nie była tylko grypa, ale głównie następstwa malarii przebytej podczas podróży po Afryce. Zapewne cierpiał na *impotentia virilis psychopatica*, schorzenie spowodowane wyczerpaniem organizmu po przebytych chorobach. Potrzebne mu były wypoczynek i odpowiednia terapia, pisarz jednak nie chciał czekać. Już w Wiedniu „biegał do lekarzy i przynosił flaszeczki z podejrzanej treści zawartością”, a także „pudełka szalibierczej maści, która miała go postawić na nogi” (E. Szermentowski, „Teściowa Sienkiewicza”, „Wiadomości”, nr 5/1961). Bez efektu.

Zdenerwowany zaczął wreszcie obarczać winą żonę, a jeszcze bardziej pieniał się na teściową, która ściagała ich listami i depeszami. Nie wiadomo, czy Wołodkowiczowa wiedziała już wówczas o nieudanych próbach konsumpcji

małżeństwa, być może Marynuszka za plecami męża przekazała jej informacje na ten temat. Pisarz irytował się jednak coraz bardziej, gdy żona odbierała od matki „po pięć depesz średnio dziennie”, a do tego dochodziły jeszcze „dwa lub trzy listy”. Też codziennie...

Zanim dojechali do Nervii, sytuacja była już mocno napięta, szczególnie że teściowa też raczyła napisać do zięcia. I nie był to miły list, chociaż nie wiadomo, czy wspominała coś o niedyspozycji pisarza. Jednak i bez tego Sienkiewicz był coraz bardziej sfrustrowany z powodu własnej niemocy i coraz ostrzej oskarżał żonę. Po kilku nocnych awanturach Marynuszka wezwała na pomoc matkę, a pani Helenie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Po jej przyjeździe (wraz z mężem) doszło do gorszących scen, a chociaż niebawem Wołodkowiczowie wyjechali do Rzymu, Marynuszka wymusiła na mężu, by ruszyć śladem rodziców. Sienkiewicz przystał na to, chociaż mieli w Nervii pozostać do końca lutego.

W Rzymie zamieszkali w tym samym hotelu co Wołodkowiczowie. I pewnej nocy „jej liliowy majestat” zniknął, po czym przenosząc się do rodziców. Od ślubu minęło zaledwie sześć tygodni...

Dla pisarza była to klęska nie tylko osobista, lecz także finansowa. Podobno wydał na całą imprezę aż 4 tys. rubli (48 tys. euro), co wydaje się całkiem

prawdopodobne. Zapewne zapłacił z góry za kilkumiesięczny pobyt w Nervii, a teściowa przy nim nie miała zwyczaju regulować za siebie rachunków. Oczywiście nie dostał też nic z obiecanego posagu, a pani Wołodkowiczowa natychmiast zaczęła snuć plany rozwodowe.

W Galicji nie było jednak rozwodów cywilnych i pozostawała wyłącznie droga unieważnienia małżeństwa. Najprostszym rozwiązaniem byłoby znalezienie jakiegoś uchybienia formalnego, dlatego też Wołodkowiczowa za pomocą krakowskich przyjaciółek próbowała wysondować kard. Dunajewskiego. Podsunęła sprawę braku zapowiedzi w parafii zięcia, ale hierarcha oburzył się i stwierdził, że „jak już coś robi, to robi porządnie”. A do tego niepotrzebne mu było zezwolenie „jakiegoś prowincjonalnego plebana”.

Przebywający wciąż w Rzymie Sienkiewicz oswajał się z myślą o rozpadzie związku, wybuchnął jednak irytacją, gdy dowiedział się, że teściowa zaczęła badać możliwość unieważnienia małżeństwa z powodu jego impotencji. W listach do przyjaciół kategorycznie twierdził, że skonsumował związek, a Wołodkowiczową nazywał: „starą małpą”, „niepoczytalną wariatką”, „kanalią odeską” i „głupią gęsią”. A do szczególnej pasji doprowadziło go to, że teściowa opowiadała, jakoby był sadystą i miał zwyczaj rozbijać na jej głowie (!) jajka na twardo.

„Stara małpa” uparła się jednak udowodnić, że zięć jest impotentem, i poddano Marynuskę badaniu ginekologicznemu. Nie przyniosło to jednak rozstrzygnięcia, uznano, że „małżeństwo mogło być niespełnione, ale pani była zadraśnięta, tak, że można było mieć złudzenie, że było spełnione”. Potwierdzono tylko, że pisarz faktycznie starał się dopełnić fizycznie związek, ale z powodu choroby do końca mu się to nie udało...

Sprawę rozwiązała śmierć kard. Dunajewskiego w czerwcu 1894 r. Małżeństwo oficjalnie unieważniono w grudniu następnego roku. Oficjalnym powodem był brak zapowiedzi w parafii pana młodego. Sienkiewicz nie zapomniał o upokorzeniu. W pisanej wówczas „Rodzinie Połanieckich” pojawiła się postać Linetty Castelli i jej ciotka, pani Broniczowa. Wszyscy wiedzieli, że w ich postaciach przedstawiono Marynuskę i jej matkę, a nie był to pochlebny obraz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Świadek historii

/ Z Janem Podhorskim, weteranem NSZ



rozmawia Piotr Włoczyk

W piekle katowni UB

Jan Podhorski FOT. EAST NEWS

PIOTR WŁOCZYK: Jakie ślady tamte lata pozostawiły na pańskim ciele?

JAN PODHORSKI: Jest tego trochę. Lekarze zawsze zadają mi to samo pytanie: Jak to możliwe, że ja nie mam paznokci u nóg? Krótko wyjaśniam im wtedy, że to pamiątka z czasów zaprowadzania w Polsce „ludowych” porządków. Tyle razy miałem miażdżone stopy ubeckimi buciorami, że w końcu palce zamieniły się w krwawe miazgi.

Na głowie mam sporo guzów, ale więcej chyba ich mam z powodu gestapo niż UB. No i bardzo nieprzyjemny reumatyzm – nabawiłem się go jeszcze jesienią 1939 r., kiedy byłem trzymany w niemieckiej niewoli na lodowatej kamiennej posadzce.

Walka z niemieckimi dywersantami, udział w wojnie obronnej, niewola i ucieczka, działalność w NSZ, powstanie warszawskie, znowu niemiecka niewola i wreszcie po „wyzwoleniu” udział w podziemiu antykomunistycznym, aresztowanie, katownia UB, wyrok i stalinowskie więzienie. Dużo jak na jedno CV. Jak się zaczął ten ostatni rozdział?

Ubecy przyszli po mnie nocą z 12 na 13 grudnia 1946 r. Prawdę mówiąc, ta wizyta nie wyglądała jakoś strasznie brutalnie i nic nie zapowiadało horroru, który na mnie czekał. Studiowałem wtedy w Poznaniu leśnictwo i mieszkałem u ciotki. Równolegle aresztowana została cała czołówka Młodzieży Wszechpolskiej (MW). Nasza organizacja momentalnie się rozleciała, zaczynając od góry. Za kratki trafili moi najbliżsi koledzy z antykomunistycznej konspiracji, m.in. Stanisław Wład i Andrzej Bartsch. Komuna uderzyła w ten sposób w Stronnictwo Narodowe, którego członków jeszcze chwilę wcześniej mamiono perspektywą swobodnej działalności. To była pułapka zastawiona przez czerwonych.

Młodzież Wszechpolska była przed wojną potężną organizacją, nie ma co jej porównywać do jej obecnego wcielenia...

Szeregi narodowców, do których do dziś się zaliczam, były przed wojną bardzo liczne. Szczególnie u nas w Wielkopolsce. Po wojnie ludzie ze Stronnictwa Narodowego podjęli decyzję o reaktywacji MW. Organizacja była podzielona na dwa piony – polityczno-społeczny i wojskowy. Ja miałem w Poznaniu zorganizować właśnie pion wojskowy. Jednak jesienią 1946 r. widać już było, że

„władza ludowa” tak okrzepła i ma tak potężne wsparcie ze strony Sowietów, że walka zbrojna oznaczałaby dla nas tylko śmierć. W związku z tym „zamroziłem” pion wojskowy. Plan był taki, żeby czekać na moment, kiedy opór zbrojny będzie miał sens – kiedy komuniści z jakichś względów osłabną albo dojdzie do wojny Wschód-Zachód.

Kto był w tym pionie?

Sami antykomuniści (śmiech). Wprawieni w bojach żołnierze podziemia niepodległościowego, którzy nie potrzebowali już żadnych szkoleń. Pion wojskowy MW bazował na żołnierzach Pułku NSZ im. Władysława Sikorskiego zwanego pułkiem „Sikora”, który brał udział w powstaniu warszawskim. Szczególnie na moim wydziale rolno-leśnym Uniwersy-

Ubecy bili nas gdzie popadnie, a przodował w tym Młynarek.

W jednej ręce miał kłódkę, a drugą zaciskał w pięść i walił na odlew

tetu Poznańskiego nie brakowało ludzi, którzy wiedzieli, czym jest walka, i byli gotowi stawiać opór czerwonym.

Każda organizacja o charakterze wojskowym potrzebuje jednak broni...

Mieliśmy całkiem sporo broni. Kiedy po kapitulacji powstania warszawskiego mój pluton szedł do niewoli, każdy miał w ręku jakiś złom, z którego tylko teoretycznie można było wystrzelić. Zdaliśmy Niemcom tylko takie pistolety i karabiny, które do niczego się nie nadawały. Nasze prawdziwe uzbrojenie dobrze ukryliśmy natomiast między ul. Wiejską a Al. Ujazdowskimi. Po wojnie wywiozłem tę broń z Warszawy.

Część ukryłem w Poznaniu, a część w mojej rodzinnej miejscowości Rakoniewice. Niestety, w czasie tej operacji mój bardzo bliski kolega popełnił niewybaczalny błąd. Andrzej Bartsch, z którym walczyłem w powstaniu i działałem w MW, wziął wtedy ze sobą – nie wiedzieć czemu – znajomego. I właśnie



„ten trzeci” nawalił. On również został aresztowany przez UB w grudniu 1946 r., ale po kilku dniach bicia nie wytrzymał i opowiedział ubekom o naszym składzie broni.

Muszę przyznać, że zmroziło mnie, kiedy przesłuchujący mnie funkcjonariusz ni stąd, ni zowąd pogratił mi... lutowania. Wiedziałem już, że zarzut przynależności do nielegalnej organizacji o charakterze „antypaństwowym” zostanie poszerzony o dodatkowy zarzut, za który Bóg tylko raczy wiedzieć, ile mi wlepią.

Gdzie pana trzymali?

Początkowo zamknęli mnie w maciupeńskiej celi pod schodami. Klaustrofobia można się było tam nabawić. To była ich „zmiękczarka”. Od tej ciasnoty gorzej chyba na moją psychikę działało jednak co innego. Stoi człowiek z nosem przy ścianie i widzi wyryte w ścianie pożegnania więźniów, którzy byli tu trzymani przede mną. Boże jedyny, co ci ludzie musieli przeżywać, pisząc te słowa? Chcieli pozostawić na tej ścianie świadectwo, że byli myślami z bliskimi, prosili Boga o litość. To były najbardziej wstrząsające słowa, jakie kiedykolwiek w życiu przeczytałem.

Potem trafiłem z izolatki do celi 20-osobowej, pełnej członków organizacji niepodległościowych. Spałem wtedy na jednej pryczy z działaczem PSL. Pamiętam te noce bardzo dobrze – ten chłop ważył co najmniej 100 kg, więc spałem na samym kancie pryczy. To właśnie wtedy, w sylwestra 1946/1947, przeżyliśmy iście piekielną noc.

Wydawałoby się, że w dni świąteczne nawet oprawcy działają na trochę „zwolnionych obrotach”.

Wszystko zaczęło się właśnie od tego, że strażnicy zdrowo sobie „gólnęli” z okazji sylwestra. Któryś z nich tak niedbale zamknął drzwi do naszej celi, że wcale ich nie zamknął. Tymczasem mieliśmy u siebie kilku ludzi, którym zasądzono kary śmierci. Oni nie mieli już nic do stracenia... Wyskoczyli z celi i rzucili się, bez żadnego planu, przed siebie.

Pan został w środku?

Tak, bo stwierdziłem, że ta „ucieczka” nie ma żadnego sensu. Nie byłem po prostu aż tak zdesperowany jak ludzie z wyrokami śmierci. Po drodze potur-



bowali strażnika. Kiedy okazało się – co było oczywiste – że nie są nawet w stanie wyjść z piętra, wrócili do celi, położyli się na pryczach i udawali, że nic się nie stało...

Jak wyglądała kara?

Okolo pierwszej w nocy pojawiło się w nasze celi samo naczalstwo – niesławny Jan Młynarek, kierownik aresztu śledczego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu. Przyszedł z żoną, bo najwidoczniej bawili się akurat gdzieś na mieście. Rozpętało się istne piekło, które trwało dobrą godzinę. Ubecy bili nas gdzie popadnie, a przodował w tym sam Młynarek. W jednej ręce miał kłódkę, a drugą zacisnął w pięść i walił na odlew. Każdy od niego dostał.

Którą ręką pan dostał?

Tą bez kłódki, ale stojący obok mnie kolega dostał tym żelastwem prosto w nos, z którego została tylko miazga. Młynarek wpadł po prostu w szał. Tych, którzy się przewrócili, z całej siły kopął w nerki. Po jakimś czasie biedakowi stopy spuchły od tego kopania. Narzekając, zdjął buty i dalej bił ludzi. W końcu żona odciągnęła go, bo chyba sama widziała, że jeszcze chwila i kogoś zabije. Ten sylwester był niezapomniany. Jeszcze kilka dni później niektórzy koledzy z celi sikali na czerwono...





Jan Podhorski podczas powstania warszawskiego FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Jak ustalili historycy, Jan Młynarek osobiście dokonywał egzekucji więźniów politycznych.

Ten bandyta czasem zabijał ludzi w sposób nieregulaminowy nawet w warunkach komunistycznego terroru, nie czekając na oficjalne pozwolenie. Proszę sobie wyobrazić, że Młynarek został niedługo potem wyrzucony z UB za „nadużycia”. Ciężko jednak powiedzieć, żeby Polska Ludowa jakoś specjalnie go prześladowała. Nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie, a po „karierze” w UB trafił na odpoczynek na fotel dyrektora Powiatowego Zakładu Mleczarskiego.

Był to dopiero trzeci tydzień śledztwa w pańskiej sprawie. Jak wspomina pan ten czas?

Zapamiętałem to jako bardzo monotony okres – cały czas bicie. Jedyną odmianą było to, że raz pała była drewniana, a raz gumowa. Chociaż po drodze były pewne momenty zaskoczenia, np. wtedy, kiedy okazało się, że przesłuchuje mnie młodszy kolega z gimnazjum w Wolsztynie nazwiskiem Lenzion.

W miarę grzecznie ze mną rozmawiał, namawiał mnie na współpracę, pytał: „Po co płynąć pod prąd?”. Kiedy wytłumaczyłem mu, że z prądem płyną tylko zdechłe ryby, dał sobie spokój. Przyszedł inny śledczy i znowu zaczęło się bicie.

Do momentu rozprawy, czyli do 7 kwietnia 1947 r., byłem bity za każdym razem. W sumie przeżyłem ponad trzy miesiące katowania. Ubecy nie przekraczali jednak pewnej granicy – ani razu nie zemdlałem. Przytomność na skutek bicia straciłem tylko raz, na gestapo w 1939 r.

Pół roku po aresztowaniu usłyszał pan wyrok – siedem lat więzienia.

Na szczęście nie dokopali się do mojej przeszłości w NSZ, bo w przeciwnym razie groziłaby mi czapa. Wiedzieli oczywiście o moim udziale w powstaniu warszawskim, co było wykorzystywane nawet przez obronę jako okoliczność łagodząca, ale oni wszyscy myśleli, że ja byłem AK-owcem. Jestem dumny z mojej wojennej przynależności do NSZ i uważam, że ta organizacja bardzo przysłużyła się walce o niepodległość Polski, ale dziękuję Bogu, że prawda o mojej działalności w NSZ nie wyszła wtedy na jaw.

W jakim stanie trafił pan do więzienia we Wronkach?

Po tych sześciu miesiącach tortur na UB ważyłem 50 kg. Sama skóra i kości, chociaż zdarzało mi się już ważyć mniej. Kiedy Ruscy wyzwolili stalag, do którego trafiłem po powstaniu warszawskim, ważyłem 43 kg. Musiałem tam jeszcze przeleżeć dwa miesiące, żeby jakoś dojść do siebie.

We Wronkach nie było jednak taryfy ulgowej. Od razu po przekroczeniu progu więzienia rozebrali nas, zrewidowali i kazali się gimnastykować, czemu oczywiście towarzyszyło bicie. Po tej ceremonii powitalnej, zważywszy na mój stan zdrowia, zostałem wysłany do więziennego oddziału szpitalnego.

Zajęli się panem po ludzku?

A skąd! Na „dzień dobry” wskazali na drzwi i oznajmili mi, że ostatniej nocy „zdechł” pod nimi mój poprzednik. To była perfidna gra. Dali mi do zrozumienia, że jeżeli nie będę współpracował, to nie mam co liczyć na lekarstwa i opiekę. Przenieśli mnie potem na salę z gruźlikami.

Przecież to zbrodnia...

Ale co ich to obchodziło? To cud, że mając tak osłabiony organizm, nie zaraziłem się tą straszną chorobą. Byłem w takim stanie, że gruźlicy dzielili się ze mną jedzeniem. Dzięki nim przybrałem na wadze i wróciłem do jakiegoś takiego zdrowia.

Potem, kiedy zostałem już wypisany z oddziału szpitalnego, wykorzystywałem ten gruźliczy epizod do samoobrony. Kiedy tylko w celi pojawiał się człowiek, który wyglądał na szpicla, kaszlałem w jego stronę, a on momentalnie prosił o przeniesienie do innej celi (śmiech). Chciałem się dalej uczyć, przygotować się w więzieniu do kontynuowania studiów leśniczych, ale oczywiście nie było mowy, żebym dostał zezwolenie na posiadanie specjalistycznych książek. Nauka nie była dla takich „bandytów” jak ja.

Poprosiłem więc na początek o książki do nauki... języka rosyjskiego. Nie mogli mi tego odmówić, bo to był przecież bratni język. I tak krok po kroku dostałem w końcu od naczalstwa na drzwi celi karteczkę z napisem: „Zgoda na książki naukowe”. Z siedmiu lat wyroku przesiedziałem trzy – objęła mnie amnestia.

Ile razy odmawiali panu potem zatrudnienia?

Skrupulatnie to dokumentowałem. Pokazałem potem prokuratorowi 30 odmów – na piśmie! – przyjęcia do pracy. Brakowało wtedy w Polsce robotników, ale tacy jak ja byli wypchnięci poza margines. Dopiero po śmierci Stalina przeszkody w znalezieniu pracy zaczęły powoli zniknąć, ale UB, a potem SB nie przestawały mnie nękać. PRL-owska безпеka miała mnie na celowniku aż do lat 80.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jan Podhorski (ur. 1921 r.)

jest weteranem wojny obronnej 1939 r., byłym żołnierzem Narodowych Sił Zbrojnych, powstańcem warszawskim, skazanym w okresie stalinowskim na siedem lat więzienia za działalność niepodległościową.



Arkadiusz Karbowski

/ Hiszpania nie przystąpiła do wojny po stronie Hitlera. Na froncie wschodnim przeciwko bolszewikom bili się jednak hiszpańscy ochotnicy

Ambasador III Rzeszy Eberhard von Stohrer zadzwonił rankiem 22 czerwca 1941 r. do szefa hiszpańskiej dyplomacji, informując go o wybuchu wojny między Niemcami a ZSRS. Niedługo potem minister Ramón Serrano-Súñer udał się do El Pard, rezydencji, gdzie przebywał gen. Francisco Franco, by przekazać mu tę wiadomość. W czasie spotkania minister spraw zagranicznych zasugerował caudillo pomysł wysłania na front wschodni hiszpańskich ochotników. Późniejszy regent pomimo pewnych wahań wyraził zgodę. Udział Hiszpanów w wojnie z ZSRS miał być swoistym rewanżem za pomoc udzieloną nacjonalistycznym powstańcom przez niemiecki Legion Condor podczas toczącej się w latach 1936–1939 wojny domowej.

24 czerwca 1941 r. odbyła się w Madrycie wielka manifestacja zorganizowana przez SEU (El Sindicato Español Universitario, Falangistowskie Stowarzyszenie Studentów). Do zgromadzonego tłumu przemówił z balkonu siedziby Falangi, znajdującej się przy ul. Alcalá 81, Ramón Serrano-Súñer: „Towarzysze, to nie jest godzina odpowiednia do dyskusji, ale odpowiednia chwila, aby Falanga sformułowała oskarżenie: To Rosja jest winna! Rosja jest winna naszej wojny domowej! Jest winna śmierci naszego ukochanego założyciela José Antonia, naszego ukochanego założyciela! I jest winna śmierci tych wszystkich towarzyszy i żołnierzy poległych na tej wojnie za przyczyną komunizmu”.



1941–1943

Hiszpańscy żołnierze Hitlera

Błękitna Dywizja

Ponieważ pomysł powstania dywizji szczególnie intensywnie propagowali falangiści, w armii pojawiły się wobec tej koncepcji głosy krytyczne. Ich wyrazicielem był karlista gen. José Valera. Wydał on żołnierzom hiszpańskim zakaz wstępowania do tej jednostki, uznając, że sama inicjatywa ma charakter partyjny (falangistowski), a nie państwowy. I choć generał bez wątplenia mylił się w tej materii, to rzeczywiście na powstanie dywizji nazywanej potocznie błękitną (División Azul – od koloru koszul Falangi) olbrzymi wpływ wywarły środowiska falangistowskie. Franco, mając tego świadomość, nie zamierzał pozbawić jednostki profesjonalnej wojskowej kadry dowódczej. 28 czerwca 1941 r. hiszpański sztab generalny wydał dyrektywę o utworzeniu División Española de Voluntarios. W poszczególnych okręgach wojskowych powstały biura werbunkowe. Własne biura utworzyła też Falanga. Do dywizji zgłaszali się różni ludzie bez względu na polityczną proveniencję: karliści, konserwatywni republikanie, chadecy. Werbunek dość szybko wstrzymano, bo zgłosiło się aż 70 tys. ochotników.

Wśród wolontariuszy trafiali się czasami bardzo młodzi ludzie, którzy – tak jak 15-letni Juan Sanz – zatajali swój wiek, byle tylko móc się zaciągnąć. Obok nich do dywizji wstępowali także szacowni obywatela, choćby późniejszy szef hiszpańskiego MSZ prof. Fernando Casteilla, od 1939 r. członek Międzynarodowego Trybunału w Hadze, który jako zwykły szeregowiec służył w 15. Kompanii Zwiadu 262. Pułku. Umundurowanie ochotników stanowiły błękitne koszule, czerwone (karlistowskie) berety i oliwkowe bryczesy Legii Cudzoziemskiej.

250. Infanterie División

Naturalnie te mundury znajdowały się w użyciu do momentu wyjazdu do Niemiec. Od chwili znalezienia się na bawarskim poligonie Grafenwöhr Hiszpanom – już jako żołnierzom 250. Infanterie División (250. Dywizja Piechoty), bo taką oficjalną nazwę otrzymała jednostka – przydzielono standardowe sorty mundurowe Wehrmachtu. O narodowej identyfikacji noszących je żołnierzy świadczyła

noszona na prawym ramieniu oraz po prawej stronie hełmu tarcza w hiszpańskich barwach narodowych; na ramieniu z napisem „España”.

13 lipca 1941 r. w Madrycie odbyła się uroczystość pożegnania pierwszych wyjeżdżających wolontariuszy. Żegnał ich w następujących słowach Ramón Serrano-Súñer: „Będziecie walczyć w obronie przyszłości cywilizacji, aby zniszczyć nieludzki, barbarzyński i przestępczy system rosyjskiego komunizmu. Będziecie brać udział w tworzeniu Zjednoczonej Europy i zapłacicie za to swoją krew. Będziecie walczyć u boku najlepszych żołnierzy świata, ale jesteśmy pewni, że zdobędziecie dla Hiszpanii chwałę, dorównując im duchem i odwagą”.

Dywizja składała się z czterech pułków (trzech pułków piechoty o numerach: 269, 263, 262 i jednego 250. Pułku Artylerii) oraz batalionów: rezerwowego, rozpoznawczego, przeciwpancernego. W składzie jednostki znaleźli się przedstawiciele wielu narodowości. Najliczniejszą grupę stanowili Portugalczycy, których według różnych danych było ok. 200. Drugi w kolejności byli biali Rosjanie w liczbie 28. Byli to w większości dawni białogwardziści służący w różnych frankistowskich formacjach w okresie hiszpańskiej wojny domowej. Zazwyczaj przydzielono im obowiązki tłumaczy. Jeden z nich – chor. Konstantin Gonczarenko-Czudow, tłumacz II Batalionu 263. Pułku Piechoty – poległ w boju 21 marca 1942 r.

Ciekawym przypadkiem ochotnika obcokrajowca walczącego w szeregach División Azul był por. Erich Rose, urodzony w alzackim Strasburgu w rodzinie zasymilowanych Żydów. Jego ojciec, oficer kajzerowskiej armii podczas wielkiej wojny, jako monarchista przestrzegał syna: „Bolszewizm jest wrogiem naszego świata numer jeden”. Te słowa zapamiętał sobie na całe życie wychowany w duchu konserwatywnym Erich. Idąc w ślady ojca, wstąpił do weimarskiej Reichswehry. Niestety, wojskowa kariera w Wehrmachcie szybko się zakończyła, bo został zwolniony z wojska niedługo po dojściu do władzy narodowych socjalistów. Po wybuchu wojny domowej jako ochotnik Legionu Condor znalazł się



w Hiszpanii. Tam wstąpił do Hiszpańskiej Legii Cudzoziemskiej (Legión Extranjera Española). Po zakończeniu wojny powrócił do Niemiec i podjął próbę wstąpienia do niemieckich sił zbrojnych, ale z przyczyn rasowych został odrzucony. Generał Rudolf Schmundt referujący sprawę o przyznaniu mu aryjskiego certyfikatu kanclerzowi Hitlerowi, usłyszał: „To dobry żołnierz... Gdyby był półkrewi Żydem, zro-

biłbym z niego Aryjczyka, ale podanie 75-procentowego Żyda muszę odrzucić”. Te absurdalne narodowosocjalistyczne ograniczenia nie przeszkodziły na szczęście por. Rosemu wstąpić do Błękitnej Dywizji. Walcząc w jej składzie, otrzymał 30 kwietnia 1942 r. Krzyż Żelazny II klasy. Porucznik Erich Rose, załamany śmiercią swoich bliskich, którzy zmarli w niemieckich obozach koncentracyjnych (ojciec w Theresienstadt, matka w Oświęcimiu), szukał żołnierskiej śmierci i znalazł ją 10 lutego 1943 r. w bitwie z Armią Czerwoną o Krasnyj Bor.

Zanim to nastąpiło, 31 lipca 1941 r. wraz ze swymi kolegami z dywizji złożył przysięgę wierności wodzowi Hitlerowi. Po uroczystości mianowany dowódca dywizji sekretarz generalny Falangi gen. Agustín Muñoz Grandes (zastąpiony na tym stanowisku 12 grudnia 1942 r. gen. Emilio Estebanem-Infantesem) wygłosił do legionistów przemówienie: „Ochotnicy hiszpańscy! Żołnierze honoru mojej ojczyzny! To jest jedna z najszcześniejszych chwil w naszym życiu, że pod sławnymi sztandarami Niemiec i Hiszpanii przysięgaliście prędzej umrzeć, niż tolerować bolszewickie barbarzyństwo”. 19 dni później 250. Dywizja Piechoty rozpoczęła długi marsz w kierunku linii frontu.

Podróż przebiegała przez okupowane terytoria II Rzeczypospolitej. Hiszpanie mieli zupełnie odmienny niż Niemcy stosunek do zamieszkującej na tych obszarach ludności cywilnej. Różnice w postępowaniu najlepiej ukazuje relacja zamieszczona w konspiracyjnym dwutygodniku środowiska ONR-ABC „Szaniec”: „Do Grodna przybyła hiszpańska brygada ochotnicza... Stosunek ich do Polaków



Oddział Błękitnej Dywizji FOT. WIKIPEDIA

■ był zupełnie przyjazny, dużą sympatię okazywali również Żydom, co już świadczyło o niezupełnym przyswojeniu sobie kardynalnych zasad hitlerowskiej polityki.

Jaskrawym przykładem niezgodnienia światopoglądów było starcie w Grodnie. Oddział hiszpański, maszerując ulicą, napotkał pędzonych przez Niemców jeńców sowieckich, którzy błagali o żywność. Jakaś kobieta rzuciła im spoza parkanu kilka paczek. Gdy jeden z konwojentów Niemców strzelił do kobiety, a inny rzucił się z kolbą na podnoszących paczki, Hiszpanie złamali szeregi i wyciągnąwszy sztylety, pospieszyli bolszewikom na pomoc. Wywiązała się formalna bitwa niemiecko-hiszpańska. W rezultacie jeden Niemiec zasztyletowany, sześciu rannych”.

W walce do końca

Po ponad 50-dniowym marszu divisionarios dotarli nad rzekę Wołchow. Tam objęli prawie 40-kilometrowy odcinek frontu ciągnący się od Nowogrodu do miejscowości Miasnoj Bor. Na tym obszarze Hiszpanie zaczęli budować

umocnienia. Sztab dywizji rozmieścił się w miejscowości Grigorjewo położonej 40 km za frontem. Pierwszym poległym legionarios był długoletni członek Falangi należący do tzw. starych koszul, sierż. Javier García-Noblejas. Zginął on 10 października 1941 r. od ostrzału artyleryjskiego. To zdarzenie miało szczególny wymiar ze względu na tragiczne losy rodziny poległego. Po powrocie do kraju w wypadku samochodowym 10 sierpnia 1942 r. zginął jego brat, weteran División Azul – Ramón García-Noblejas. Był ostatnią ofiarą rodzinnego horroru, który rozpoczął się wraz z wybuchem frankistowskiego powstania. Dwa dni po jego wywołaniu 20 lipca 1936 r. w więzieniu Montaña zamordowany został starszy brat wspomnianego podoficera, falangista José García-Noblejas. W listopadzie ten sam los spotkał w Madrycie najmłodszego z braci Salvadora García-Noblejasa. Z kolei 4 grudnia 1936 r. w słynnej masakrze dokonanej przez czerwonych w Paracuellos de Jarama od kul czerwonych morderców padł ojciec rodziny, również członek Falangi, Salvador García-Noblejas. Rok później poległ na froncie w czasie walk o Brunete Jesús García-Noblejas...

Do końca roku 1941 r. liczba poległych legionistów wyniosła 1381 żołnierzy. Na tak duże straty wpłynął wysoki poziom determinacji, jaki wykazywali oni w walce. Doskonały przykład poświęcenia Hiszpanów stanowią wydarzenia, jakie rozegrały się w miejscowości Wzwad. Tam 543 niemieckich żołnierzy z 290. Infanterie División, a dokładnie z batalionu niszczycieli czołgów dowodzonych przez kpt. Günthera Pröhla, zostało okrążonych przez czerwonoarmistów. Zadanie dotarcia do otoczonych otrzymali właśnie divisionarios. Z misją ratowniczą wyruszył wraz z 206 ludźmi kpt. José Ordás. Temperatura powietrza spadła do -56 stopni Celsjusza. Po drodze do Hiszpanów dołączyła grupa 40 Łotysz z 81. Infanterie División. Po zaciętych walkach, także wręcz, kpt. Ordás wysłał do gen. Agustína Muñoz Grandesa meldunek, w którym informował: „Oddział wszedł dziś rano na teren wsi Małoje Utczo. Garnizon niemiecki wyszedł naszym ludziom na spotkanie. Uściskali się na skutym lodem jeziorze...”. Za udział w tej akcji 32 uczestników odznaczono Krzyżami Żelaznymi I i II klasy.

Posiadając informacje o bohaterskiej postawie Hiszpanów, Hitler powiedział

do jednego ze swoich oficerów: „Hiszpanie nigdy sami nie oddają ani centymetra terenu. Nie można sobie wyobrazić bardziej walecznych od nich. Nasi żołnierze są zadowoleni i bardziej zdeterminowani, mając za sąsiadów Hiszpanów w walce”.

Divisionarios potwierdzili tę opinię swoją postawą zaprezentowaną 10 lutego 1943 r. Wtedy to trzy dywizyjne batalionu piechoty z 262. Pułku wraz z kilkoma oddziałami pomocniczymi i pięcioma bateriami artylerii stawili czoło 38 batalionom Armii Czerwonej dysponującym wsparciem 80 czołgów i 150 baterii. Na zajmowane przez Hiszpanów pozycje w Krasnym Borze spadło 150 tys. sowieckich pocisków. Stany osobowe poszczególnych kompanii spadły do poziomu 30–40 żołnierzy. Natomiast 3. Kompania I Batalionu broniąca stacji kolejowej została wybita w pień. W ciągu 24 godzin uporczywych walk zginęło, zaginęło lub zostało rannych 2252 żołnierzy. Stanowiło to 25 proc. wszystkich poniesionych do tej pory na froncie wschodnim strat.

Podczas krwawych walk frontowych istotna rola przypadła do odegrania 65 dywizyjnym kapelanom. Pod Krasnym Borem jeden z nich – José Cortozar – w ogniu walk spowiadał żołnierzy, a także pomagał jako sanitariusz w ewakuacji rannych z pola walki. Kapral Rafael Martinez tak zapamiętał innego kapelana – Santosa Ascarza: „Rzeczywiście było to bardzo niebezpieczne, ale nasz kapelan biegał pomiędzy okopami. Pomimo że nasz dowódca rozkazał mu, aby się wycofał, ten odmówił”. Poświęcenie kapelanów docenili sami Niemcy zwierzchnicy, pięciu z nich odznaczając Krzyżami Żelaznymi. Dwóch kapelanów, w tym Katalończyk o. Victoriano Marsall, poległo, wykonując do końca swą kapłańską posługę.

11 października 1943 r. hiszpańscy legionści po raz ostatni starli się z Sowietami. Dzień później wycofano ich z linii frontu. Z resztek dywizji utworzono Błękitny Legion. Po kilku miesiącach także tę jednostkę wycofano do kraju. Generał Francisco Franco, stojąc w obliczu prawdopodobnego zwycięstwa aliantów znajdujących się w sojuszu z ZSRS, nie chciał już przedłużać pobytu hiszpańskich ochotników na froncie wschodnim. Wiedział, że budzi to irytację Brytyjczyków i Amerykanów oraz narusza

neutralną pozycję Hiszpanii w toczącym się konflikcie.

Boje niedobitków

Nie wszyscy divisionarios zdecydowali się wykonać rozkazy swych przełożonych i powrócić na stałe do ojczyzny. Właśnie oni zaciągali się do różnych niemieckich formacji wojskowych. Tak uczynił falangista, weteran wojny domowej oraz były porucznik Błękitnej Dywizji Rufino Luis García-Valdajos. Nawiązał kontakt we Francji z Sipo (policja bezpieczeństwa) i rozpoczął służbę w podlegającej Wehrmachtowi Einsatzgruppen „Pyrenäen”, jednostce antypartyzanckiej przeznaczonej do zwalczania francuskich maquis. Jesienią 1944 r. spotkał się z SS-Sturmabführerem Léonem Degrellem, dowódcą 5. SS-Sturmbrigade „Wallonien”, w berlińskim hotelu Aldon, proponując akces Hiszpanów do walońskiej jednostki. Pomocy w poszukiwaniu chętnych do służby Hiszpanów udzielili Degrellowi dwaj dawni żołnierze legionu walońskiego Alphonse van Horembeke i Paul Kahren, obaj posiadający hiszpańskie obywatelstwo z racji służby w oddziałach frankistowskich podczas wojny domowej.

Dzięki ich wysiłkom hiszpańska kompania osiągnęła stan 240 żołnierzy. Ponieważ mianowany jej dowódcą SS-Obersturmführer Luis García-Valdajos praktycznie przebywał poza jednostką, załatwiając sprawy administracyjne w Berlinie, w jego imieniu dowodzenie nad 3. Kompanią (hiszpańską) I Batalionu 70. Pułku Dywizji „Wallonien” objął, poległy w 6 marca 1945 r., a urodzony w Argentynie, biegle mówiący po hiszpańsku Belg, SS-Untersturmführer Rudi Bal. Jego następca – Walończyk SS-Untersturmführer Albert Steiver – tak opisywał dokonania bojowe hiszpańskich ochotników: „Wykazywali nadmierne zuchwalstwo, zawsze robiąc więcej, niż im to było polecone... Pewnego razu Hiszpanie zaatakowali grupę czołgów T-34, używając pancernych pałków, i niszczyli je jeden po drugim, dopóki

pozostałe czołgi nie zdecydowały się wycofać”.

Zaciekle walki dywizji na Pomorzu, szczególnie o Stargard, przeżyło ok. 60 hiszpańskich esesmanów. Wszyscy oni znaleźli się w Berlinie w składzie podlegającego formalnie 11. Dywizji Grenadierów Pancernych SS „Nordland” „Einheit Ezquerra”, czyli 150-osobowego oddziału dowodzonego przez SS-Obersturmbannführera Miguela Ezquerre Sáncheza, weterana Błękitnej Dywizji. Wraz z Łotyszami z 15. Batalionu Fizylierów SS Hiszpanie bronili gmachu ministerstwa lotnictwa oraz terenów położonych w pobliżu kina Excelsior. Właśnie tam 28 kwietnia 1945 r. został wzięty do niewoli SS-Untersturmführer

Alferez Ocañas.

2 maja 1945 r. w dniu kapitulacji Berlina „Einheit Ezquerra” rozwiązano. Jej członkowie otrzymali cywilne ubrania i paszporty oraz fałszywe dokumenty cudzoziemskich robotników.

Żołnierze „Ezquerry” nie byli jedynymi Hiszpanami walczącymi z bolszewikami na froncie wschodnim. Ich koledzy stawiali opór nacierającej armii

sowieckiej w strukturach 3. Gebirgs-Division, 357. Infanterie Division, Panzer Grenadier Division „Brandenburg” (8. kompania II batalionu 3 pułku) i 24. Waffen-Gebirgs-Division der SS Karstjäger (ok. 100 żołnierzy służyło w 2. Kompanii II Batalionu 59. Pułku Strzelców Górskich SS), włoskiej 29. Waffen-Grenadier-Division der SS „Italia”, SS-Freiwilligen Polizei Bataillon Bozen (21–30 policjantów), SS-Sonderregiment Dirlewanger (sześciu żołnierzy).

Generalnie w antybolszewickiej krucjacie zdecydowało się wziąć udział 45,5 tys. Hiszpanów. Aż 4954 z nich pozostało na zawsze na rosyjskiej ziemi. Niektórzy dostali się do sowieckiej niewoli. Ci, którzy mieli szczęście i ją przeżyli (co najmniej 107 zmarło w sowieckich łagrach), zostali zwolnieni i 2 kwietnia 1954 r. na statku „Semiramis” przybyli do Barcelony, kończąc swoją wojenną epopeję.

© Wszelkie prawa zastrzeżone





Dworzec Główny
w Hamburgu. Obok: ausweis
Leskiego na fałszywe
nazwisko FOT. ALAMY, AAN

II wojna

Legenda znakomitego oficera wywiadu AK

Generalska mystyfikacja



Mariusz Olczak

**Kazimierz Leski
twierdził, że jeździł po
Europie w mundurze
niemieckiego generała.
Nie ma na to żadnych
dowodów**

Jeden z najciekawszych i najzdolniejszych oficerów wywiadu i kontrwywiadu Armii Krajowej, Kazimierz Leski – władający kilkoma językami, uzdolniony na wielu polach, z istic renesansowymi umiejętnościami – pod koniec życia zdecydował się publicznie opowiedzieć o wyjątkowej „general-skiej” akcji, w której miał brać udział

w okresie wojny. We wrześniu 1939 r. jako pilot samolotu Lublin R-XVIIIIF walczył przeciwko wojskom sowieckim. Po zakończeniu walki, ucieczce z niewoli i powrocie do Warszawy szybko trafił do konspiracji i do prowadzonej przez inż. Stefana Witkowskiego organizacji Muszkieterowie, w której kierował kontrwywiadem i komórką wywiadu komunikacyjnego. Stamtąd trafił z kolei do struktur wywiadu i kontrwywiadu AK. Latem 1944 r. kierowana nie bez kłopotów przez Leskiego „Bradla” komórka 997 Wywiadów Obcych przygotowała kartotekę, która jest chyba najdokładniejszym analitycznym zestawieniem osób będących pod obserwacją kontrwywiadu KG AK.

Jeden jednak element działalności wywiadowczej Leskiego nie potwierdza się, moim zdaniem, w rzeczywistości. Leski przedstawił w swoich wspomnieniach książkowych, prasowych oraz w nagrywanych relacjach informację, że podró-

żował z terenu Generalnego Gubernatorstwa do okupowanej Francji przez teren Niemiec w mundurze generała wojsk technicznych Juliusa von Hallmanna, a następnie gen. Karla Leopolda Janse- na. Tenże gen. Hallmann miał zdobyć plany niemieckich umocnień tzw. Wału Atlantyckiego. Po uzyskaniu zgody przełożonych z AK, tj. szefa Oddziału II KG AK Mariana Drobika ps. Dzieciół, miał stawić się w Paryżu, w Wirtschaftstab VII, jako specjalista od budowy umocnień, i zaofero- rować pomoc w przygotowaniu poszczególnych projektów.

W taki sposób Leski jako von Hallmann miał zdobyć plany, co z kolei miało pomóc przy przygotowywaniu planów inwazji alianckiej. To o krok od bezpo- średniego wkładu w wygranie wojny. Hallmann na koniec swej misji miał jeszcze z niemieckiego sztabu pobrać za- liczkę w wysokości 500 marek, a następ- nie opuścić Paryż. Powrócił do stolicy Francji jako gen. Karl Leopold Jansen,



jednak jego charakteryzacja okazała się na tyle słaba, że został rozpoznany przez francuskiego pracownika hotelu, w którym wcześniej miał kwaterę. To miało spowodować rezygnację z dalszych generalskich misji.

Archiwa milczą

Nie poznałem osobiście Leskiego, ale miałem okazję poznać jego żonę Marię Leską i przejąć za jej pośrednictwem do AAN archiwum „Bradla”. Zainspirowałem również w 2009 r. kolejne wydanie jego wspomnień. Już jednak przed laty zaczęła mnie nurtować opisana przez Leskiego ta właśnie jego „generalska” wyprawa. Przede wszystkim brak jest jakichkolwiek raportów Leskiego z wypraw w mundurze generała oraz informacji o budowie Wału Atlantyckiego. Zgodnie z procedurami musiał takie składać. Nie ma kompletnie żadnego śladu przygotowań do takiej wyprawy, odpowiedniego zadaniowania Leskiego przez przełożonych. Nie zachowały się w żadnym z archiwów krajowych ani londyńskich. Sam akceptujący wedle Leskiego jego wyprawę szef Oddziału II Marian Drobik ps. Dziecióło zginął w czasie wojny.

Gdyby Leskiemu udało się zdobyć plany Wału Atlantyckiego, to nawet w przypadku zniszczenia jego raportów taka informacja pojawiałaby się w zestawieniach przygotowywanych w kraju. Brak jest w zachowanych, oryginalnych

dokumentach AK jakiegokolwiek śladu wypraw generalskich Leskiego. Próbowaliśmy ich ślad odnaleźć w zestawieniach, rachunkach i innych dokumentach finansowych Oddziału II KG AK, których sukcesunkowo dużo zachowało się do naszych czasów. Pojawiają się tam „Bradl” i jego komórka, ale kwoty, jakie są podawane, nie różnią się od standardowych. Mogą co prawda zastanawiać potwierdzone przez „Dziecióło” w kwietniu 1943 r. dotacje dla „Bradla” w wysokości 5 tys. zł przy budżecie komórki w wysokości 8445 zł, jednak nie mają one opisu przeznaczenia i na pewno nie dziwią przy potwierdzeniach, nazwijmy to „niegeneralskich”, kurierskich wyprawach Leskiego na zachód. Dla porównania kierowany przez „Bradla” Referat 997 otrzymał w grudniu 1943 r. dotację aż 52 190 zł, z czego zresztą się nie rozliczył na czas, o co dowództwo miało do Leskiego uzasadnione pretensje.

Przygotowując takie wyprawy, Leski musiałby współpracować z wieloma osobami. Przełożeni musieliby otrzymać odpowiednie raporty, które sami w razie takiego sukcesu przesłaliby do władz w Londynie. Takie wspomnienia wydali i napisali Tadeusz Bór-Komorowski, Kazimierz Iranek-Osmecki czy Józef Garliński. Taki też sukces wywiadowczy Leskiego zostałyby nagrodzony na pewno odpowiednim odznaczeniem lub awansem. Nic takiego jednak nie nastąpiło ani w okresie okupacji, ani po wojnie.

Zachowane wnioski i rozkazy dla Leskiego są standardowe. 23 sierpnia 1943 r. we wniosku awansowym z Wd69 o „Bradla” napisano: „Bradl ppr. rez. lotnictwa, nom. III 1939. W konsp. od XI

1939 w grupie Januszajtisa Lwów, kierownik KW »Mu« od II 1942 w P.Z.P. w WD 69 jako ref. kol. od I 1943. W Wd 69 jako kier. działu 997. Opinia: inteligentny, bardzo ruchliwy, z inicjatywą, dobry organizator, trochę chaotyczny i rozdrabniający się”. Z kolei rozkazem z 19 lutego 1944 r. komendant Sił Zbrojnych w Kraju nadał „Bradlowi” po raz pierwszy Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, o czym zawiadamiał „Heller” „Honoratkę” pismem z 4 kwietnia 1944 r. W uzasadnianiu napisano: „Kierownik referatu

997 – ppor. rez. lotn., w konspiracji od listopada 1939, w PZP od lutego 1942. Inteligentny, ruchliwy, pracowity, poświęcający się zupełnie”. Ani słowem choćby ogólnie nie wspomina się o sukcesie wywiadowczym, za który zresztą musiałby Leski otrzymać wyższe odznaczenie niż Srebrny Krzyż Zasługi.

Nie można tłumaczyć wszystkiego zakonspirowaniem informacji. O Leskim dowiadujemy się z dokumentów również przy innych okazjach związanych z pracą w referatach 997 i 998. Leski był nietrzymającym się zasad podwładnym, a w dodatku bardzo krytycznie ocenianym szczególnie od grudnia 1943 r. aż do okresu powstania. Jak pisał z wyrzutem do Leskiego szef kontrwywiadu w piśmie z 4 stycznia 1944 r.: „Niewykonywanie poleceń jest u Pana notorycznym zjawiskiem. Sobie więc w pierwszym rzędzie przypisać Pan musi nie dość sprawne funkcjonowanie aparatu kierowanego przez siebie. [...] Działalność aparatu 997 robi wrażenie działalności niesterowanej i niekontrolowanej”. Leski, jak przypuszczano, zajmował się „innymi sprawami” niezwiązanymi z działalnością 997. Miesiąc później wręcz zagrożono rozwiązaniem 997.

Mimo tych kłopotów na początku 1944 r. po aresztowaniu Józefa Garlińskiego z polecenia „Oskara” Leski objął nadzór nad Referatem 998, który z czasem musiał przekazać „Vigilowi”, co też nie obyło się bez konfliktu. Mimo takich bieżących problemów z przełożonymi Leski cieszył się zaufaniem. Zwracam jednak uwagę tymi cytataми, że informacji i dokumentów o pracy Leskiego w strukturach Oddziału II KG AK zachowało się całkiem sporo. Brak



Niemieccy oficerowie na Wale Atlantyckim

FOT. WIKIPEDIA/BUNDESARCHIV BILD

■ jednak choćby najmniejszej wzmianki, sygnału, tropu, słowa dotyczącego jego „generalskich” zasług.

Pytania bez odpowiedzi

Również po wojnie Leski o swojej generalskiej wyprawie nie mówił ani znajomym, ani podczas przesłuchań. Szczególnie zastanawia brak tego elementu w jego zeznaniach i zeznaniach innych członków konspiracji – Bernarda Zakrzewskiego, Stefana Rysia, a szczególnie kolegi z komórki 666 Tadeusza Jabłońskiego. Ktoś musiał o szczegółach przygotowania wiedzieć. W samym akcie oskarżenia, w życiorysach, w tych obszernych zeznaniach Leskiego nie ma nic o interesujących nas wyprawach. Tadeusz Jabłoński w zeznaniach w MBP przedstawił historię swoich i Leskiego wypraw w latach 1940–1943, kiedy wielokrotnie wyjeżdżał do Francji w celu zorganizowania dróg łączności dla Oddziału II KG ZWZ-AK. Miał Leski posiadać rozległą sieć kurierów oraz dużo kontaktów na terenie Francji.

Pamiętajmy również, że wspomnienia Leskiego „Życie niewłaściwie urozmaicone” zostały napisane stosunkowo późno, bo w drugiej połowie lat 70., ukazywały się początkowo w prasie, a następnie wydano je po raz pierwszy dopiero w 1989 r., czyli już po śmierci wysokich dowódców AK i wywiadu AK – Tadeusza Bora-Komorowskiego ps. Bór (zm. 1966 r.), Tadeusza Pełczyńskiego ps. Grzegorz (1985 r.), Kazimierza Iran-

ka-Osmeckiego (zm. 1984 r.), Bernarda Zakrzewskiego ps. Oskar (zm. 1983 r.), Stefana Rysia ps. Fisher (zm. 1975 r.) i innych. W 1988 r. zrealizowano film w reżyserii Jacka Bławuta pt. „Byłem generałem Wehrmachtu”.

Nie jest na pewno wytłumaczeniem, że Leski o pewnych sprawach dotyczących wywiadu i kontrwywiadu nie mógł mówić podczas zeznań w MBP. W jego zeznaniach pojawiają się bowiem podobne informacje o pracy w wywiadzie i nie można powiedzieć, aby był jakiś powód, dla którego akurat o tym fragmencie swojej pracy konspiracyjnej nie mógłby mówić. Wręcz przeciwnie, szczególnie że w swoich zeznaniach koncentrował się na pracy przeciwko Niemcom, unikając ze zrozumiałych względów na UB akcji wymierzonych w komuny i NKWD. Także w piśmie do Bieruta z 3 lutego 1948 r. Leski, chcąc się ratować, nic nie mówi o generalskiej misji.

Aby poruszać się kolejami, nie potrzeba było wcale dokumentów generalskich ani jakichś specjalnych. Leski zresztą odbył kilka podróży jako porucznik czy podporucznik Wehrmachtu. Na awans „generalski” zdecydował się, jak później wyjaśniał, chcąc poprawić komfort podróży, gdyż jako zwykły oficer podróżujący pociągami osobowymi musiał przez wiele godzin stać w korytarzach. Zmiana charakterystyki wyglądu z porucznika na generała Wehrmachtu rodziłaby jednak wiele problemów dla organizatorów wypraw Leskiego. Połączenie wyglądu -wieku-munduru wraz z dystynkcjami -dokumentami musiało wymagać trochę pracy od komórki legalizacyjnej.

W Bristolu oraz innych odwiedzanych przez generałów lokalach siatki konspiracyjne były na tyle silne, że nie było problemem zdobycie jakiegoś wzoru, a następnie uszycie odpowiedniego munduru, ale już zdobycie odpowiednich dokumentów osobistych i wyjazdowych mogło nie być łatwe w wykonaniu. Mundur porucznika i generała Wehrmachtu według relacji Leskiego miał wykonać poznany przez kontakty PPS-owskie krawiec z ul. Lipowej, który także szył mundury niemieckie i miał dostęp do dystynkcji oraz oznaczeń. Dochodziło do tego zbudowanie odpowiedniej legendy i przystosowanie fizycznego wyglądu, co też nie było proste, zwłaszcza że Kazimierz Leski miał w czasie swoich wypraw 31–32 lata. Musiano by więc pokonać kilka trudnych kwestii tylko dlatego, że Leskiemu nie chciało się podróżować w korytarzu pociągu. Śmiem wątpić, aby zgodzili się na to jego bezpośredni przełożeni.

Były zresztą łatwiejsze sposoby podróżowania. Wspomina o nich w powojennych zeznaniach właśnie w kontekście Leskiego „Brom”, który na początku 1942 r. w Wojskowej Komendaturze Placu w Paryżu po zgłoszeniu zagubienia dokumentów osobistych na podstawie papierów volksdeutscha uzyskał dokumenty uprawniające do podróży pociągami wojskowymi. Co ważne, w pociągach tych były kontrole, ale nie było już rewizji. Istotne też, że nie wymagały one noszenia żadnego uniformu ani munduru. Jak zeznał, dokumenty te oddał na wzór właśnie Kazimierzowi Leskiemu, który szybko zdołał wykonać z nich wiele kopii. Sam Leski został dyplomowanym inżynierem ze stopniem Reichsbahn-bersekretär.

I tutaj, wydaje mi się, leży klucz do generalskiej legendy. Otóż urzędnicy Ostbahn byli umundurowani, a ich mundury były stylizowane na wzór tych typowo wojskowych. One też były o wiele łatwiejsze do zdobycia, uszycia, zalegnowania itd. Wreszcie komórka „Agaton” oraz inne komórki legalizacyjne dokumentów Ostbahn wykonywały duże ilości i różnych typów. Inna sprawa, że warte uwagi jest to, iż w wewnętrznej recenzji wspomnień Leskiego napisanych przez Stanisława Jankowskiego ps. Agaton nie podważa on tego fragmentu wspomnień ani nie wypiera się wykonania fałszywych dokumentów

dla gen. „Bradla”. Jednakże trudno się dziwić, aby tak chwalony przez Leskiego „Agaton” nie zdementował tego fragmentu. Warto zwrócić również uwagę, że w samych wspomnieniach „Agatona” wydanych w 1980 r. wspomina on Kazimierza Leskiego jako gen. Hallmanna. Jest to jednak efekt informacji zaczerpniętych z artykułów prasowych samego Leskiego, a nie wiedzy pozyskanej w czasie wojny, kiedy nie posługiwano się nazwiskami i identyfikacjami zwłaszcza przy przygotowywaniu fałszywych dokumentów przez legalizację. Zarówno Stpiczyński, jak i sam Jankowski powtarzają prawie w całości opowieść Leskiego, jednocześnie nie dorzucając od siebie uzupełniających informacji o pomocy legalizacyjnej w zorganizowaniu generalskich wypraw.

Inna sprawa, że w samym archiwum „Agatona” – tym osobistym i tym wojennym – nie natrafiłem na jakikolwiek ślad, informację ani raport o wytwarzanych dla Leskiego generalskich dokumentach. Fałszowaniem francuskich Carte d’identité „Agaton” się chwalił, a wykonaniem generalskich już nie. Nie padają nazwiska Hallmann ani Jansen. Zresztą nie spotkałem innych fałszywych dokumentów na poziomie generała czy nawet pułkownika wytwarzanych przez komórkę „Agatona” lub inną komórkę legalizacyjną. Znając zasady i procedurę wykonywania dokumentów na zamówienie przez komórkę „Agatona”, bezwzględnie musiałyby być one wykonane na podstawie zdobytego oryginalnego wzoru. O niczym takim jednak nie słyszymy w żadnym ze znanych źródeł z terenu KG AK. Swoją drogą to komórka „Agatona” poradziłaby sobie technicznie także z takim zamówieniem. Podobnie w przypadku dokumentów dla Stpiczyńskiego, o których „Agaton” w ogóle nie wspomina.

Kolejnym argumentem jest sam wiek Leskiego, który w 1943 r. miał dopiero 31 lat, więc trudno byłoby nawet przy odpowiedniej charakterystyce wyglądać na oficera starszego o kilkanaście lub kilkadziesiąt lat. Na pewno mogłoby tu wzbudzać podejrzenia przy kontroli

dokumentów, zwłaszcza że Leski tę charakterystykę musiałby robić sam w czasie długich podróży. Co prawda najmłodszym niemieckim generałem był starszy jedynie o dwa lata generał Waffen-SS Kurt Meyer, rocznik 1910, jednak był to wyjątek, a zdecydowana większość kadry niemieckich generałów była urodzona jeszcze przed 1900 r. Zwiększało to więc ryzyko dekonspiracji przy niemal każdym kontakcie z niemieckimi oficerami, i to nie tylko podczas kontroli dokumentów.

Zwróćmy uwagę jeszcze na zeznania osobistej sekretarki Leskiego z okresu okupacji Anny Janiny Sitkowskiej z domu Jułkowska ps. Molle 997, urodzonej w 1920 r., która w swoich zeznaniach na

zostać włączona w zorganizowanie takiej wyprawy. Inni zeznający z siatki Leskiego w ogóle o przebieganiu się w jakimkolwiek mundur nie wspominali. Zwróćmy uwagę, że sam Leski zaczął mówić o tym z jednej strony już, a z drugiej strony dopiero w latach 60. W doniesieniu agenturalnym z 1968 r. TW „Wiktor” zwrócił uwagę, że Leski „im bardziej oddala się od okresu okupacji, tym bardziej w jego wyobraźni rośnie jego rola. Opowiada, że w latach okupacji w mundurze generała niemieckiego jeździł z ważną misją do Paryża. To jest miara jego chorobliwej wyobraźni”. Dlaczego akurat dopiero od tego czasu Leski poruszył tę kwestię, trudno już dzisiaj wyjaśnić, ale wydaje się, że była to niepotrzebna mu zupełnie autofikcja. Innych zasług z konspiracji ma wystarczająco dużo, aby dzisiaj uważać go za bohatera. W kulturze masowej Leski rozpoznawany jest obecnie jako ten właśnie przebrany w generalski mundur wywiadowca. Dotychczas nie podważano generalskiej legendy Leskiego. Jedynie Władysław Bułhak we wstępie do 3 tomu komiksu „Bradł” z 2018 r. zwrócił uwagę, że informacje o niej pochodzą jedynie od Leskiego.

Co zatem stoi za Leskim i jego opowieścią oprócz jego własnego wspomnienia? Na pewno najmocniejszym potwierdzeniem są wydane w 1981 r. wspomnienia jednego z kurierów komórki 666 Aleksandra Stpiczyńskiego ps. Wilski, do których zresztą Leski napisał wstęp. Bliski współpracownik „Bradla” Stpiczyński występujący jako płk Arnold von Lückner wspominał spotkanie z Leskim jako gen. von Hallmannem w Paryżu. Podobnie jak w przypadku „Agatona” jest to jednak powtórzenie opowieści samego Leskiego.

Mam nadzieję, że jeszcze natrafimy na jakieś namacalne dowody generalskich wypraw Leskiego.

Szczerze życzę tego sobie i innym badaczom. Wszystko jednak wskazuje, że jedynymi ich śladami będą słowa samego „Bradla” oraz powstałe ostatnio książki, filmy i komiksy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Mariusz Olczak jest wicedyrektorem Archiwum Akt Nowych.



Tablica pamiątkowa na domu przy ul. Nowy Świat w Warszawie. FOT. WIKIPEDIA

UB w 1953 r. mówiła, że „Leski wyjeżdżał dwa lub trzy razy do Paryża w mundurze gestapowca, gdzie kontaktował się z nieznanymi mi ludźmi” (BU 0259-106, t. 1 – s. 78). Ani jednak słowem nie mówiła o mundurze generała. Była bardzo dobrze zorientowana w różnych sprawach Leskiego i w jakiś sposób musiałaby

Huzarzy / „Śmierć albo chwała”, czyli Brytania na koniu

Wezwijcie kawalerię!



Szarża brytyjskiej kawalerii
pod Balaclawą FOT. GETTY IMAGES



Piotr Semka

Nie tylko Polacy mają wspaniałe tradycje kawaleryjskie. Naszej szarży pod Somosierrą Brytyjczycy mogą przeciwstawić szarżę Lekkiej Brygady

Polacy w dość zadufany sposób są przekonani, że tylko nasz naród łączy jakiś specjalny stosunek do koni i kawalerii. Każdy, kto odwiedził jednak dwie wystawy w National Army Museum w Londynie, poświęcone pasji Anglosasów do koni, szybko zmieni zdanie. Oszczędni w okazywaniu emocji Brytyjczycy i Kanadyjczycy do dziś kochają rasowe wierzchowce i tradycje huzarów.

Wzór z Węgier

National Army Museum położone jest w londyńskiej dzielnicy Chelsea. Tutaj zawsze było wiele koszar. Idąc do muzeum, mija się Royal Hospital Chelsea – dom opieki dla weteranów armii brytyjskiej. Jego leciwi pensjonariusze zadają szyku trójkątnymi kapeluszami i jaskrawo-czerwonymi płaszczami. Tuż obok azylu dla weteranów zbudowano nowoczesny budynek muzeum sił lądowych. Mniej znany od Imperial War Museum, ale nie mniej godny zwiedzenia.

Pierwsza wystawa nosi nazwę „Call in the Cavalry!” („Wezwijcie kawalerię”) i jest hołdem złożonym wyjątkowo elitarniej formacji brytyjskiej jazdy – huzarów Jej Królewskiej Mości.

Ten typ jazdy miał swój pierwowzór w formacjach lekkiej i zwrotnej konnicy powstałych na Węgrzech w XV w. Etymologia słowa „huzar” nie jest specjalnie zaskazująca – wywodzi się od węgierskiego słowa „Huszár” – rozbójnik, choć jak twierdzą inni, pochodzi od łacińskiego określenia „cursarius” – korsarz. Tak czy inaczej ten gatunek kawalerii rozwinął się za rządów króla Macieja Korwina i początkowo skupił wojowników z terenów

serbskich. Nic dziwnego, że londyńską wystawę zorganizowano w kooperacji z węgierskim muzeum wojska w Budapeszcie.

Węgierscy huzarze w służbie Austrii zachwycili Europę swą skutecznością w wojnach XVII i XVIII w., szczególnie w czasie wojen śląskich z Prusami. Gwałtowne szarże odważnych do granic szaleństwa węgierskich jeźdźców często rozstrzygały bitwy. A tytułowe hasło „Wezwijcie kawalerię” brzmiało dla słabnącej piechoty jak wezwanie do zdobycia wszystkich sił.

Swoją rolę w kopiowaniu węgierskich wzorów odegrały też efektowne stroje huzarów – krótkie, obszyte barankiem i haftowane kurtki tzw. dolmany i obcise haftowane spodnie. Do tego efektowna wysoka czapka oraz sumiaste wąsy i bokobrody. Nic dziwnego, że jednostki huzarów tworzone od Wielkiej Brytanii przez Prusy do Rosji. W Polsce jednostki huzarów stworzono w czasie powstania kościuszkowskiego, a potem w armii Księstwa Warszawskiego.

W odróżnieniu od ciężkiej jazdy huzarzy jako jazda lekka mieli przeprowadzać rekonesanse, łapać jeńców i nadzorować

ruchy obcej piechoty. Z tego powodu nazywani byli „okiem i uchem armii”.

Takie wyprawy w pojedynkę lub we dwójkę wymagały bardzo dobrego wyszkolenia we władaniu szablą, zwłaszcza w razie otoczenia przez wrogów. Tylko nadzwyczajne umiejętności szermiercze dawały wtedy szansę na powrót do swoich. Te cechy rębajtów przyczyniały się do kaskadnych opinii o huzarach jako żołnierzach sprawnych w szabli, ale nie grzeszących inteligencją.

W czasie bitew huzarzy mieli za-skakiwać wroga piechotę szybkimi i niespodziewanymi szarżami. Miały one psychologicznie złamać przeciwnika i wprowadzić chaos we wrogich szeregach. Huzarzy używali – na wzór Węgrów – zakrzywionych szabel, które idealnie nadawały się do wycinania jak największej liczby żołnierzy piechoty.

Pierwszą brytyjską jednostką huzarów był 10th Prince of Wales Own Hussars Regiment utworzony w 1806 r. W żargonie wojskowym zwano ją „Shiny 10th” – Błyszcząca Dziesiątka. Rok później, w 1807 r., dawny 7th Queen's Own Regiment of Light Dragoons został przemianowany na jednostkę huzarów.



Szkocki pułk kawalerii szarżuje pod Bałakławą. Obraz Elizabeth Southerden Thompson FOT. GETTY IMAGES



Szybko wysłany został na wojnę z Napoleonem w Hiszpanii, gdzie walczył do sierpnia 1813 r. Huzarzy królowej błysnęli szarżą na polu bitwy pod Waterloo, po której książę Wellington przesłał im osobiste wyrazy szacunku i uznania. W 1837 r. huzarów wysłano do Kanady, gdzie tłumili rebelię francuskojęzycznych mieszkańców Quebecu.

Huzarzy Jej Królewskiej Mości

Sukcesy w użyciu huzarów w pierwszych trzech dekadach XIX w. skłoniły dowództwo brytyjskiej kawalerii do powołania w 1840 r. nowego, 11. Pułku Huzarów (Prince Albert Own) – jednostka szczyliła się eskortowaniem księcia Alberta do ślubu z królową Wiktorią 10 lutego 1840 r. W 1861 r. powstały dwa kolejne pułki huzarów – 14. (Kings Own Hussars) oraz 20. Ci ostatni na zasadzie przekornego kontrastu do Huzarów Króla czy Huzarów Królowej po cichu nazywali się przekornie „Nobody's Own Regiment”, czyli Pułk Niczyj.



Winston Churchill, huzar Queen's Own Regiment

FOT. WIKIPEDIA

Męscy członkowie rodziny panującej uwielbiali nosić stroje huzarów – krajowe i obce. Tym bardziej że okres po pokoju wiedeńskim był początkiem okresu kurtuazyjnego wymienia się honorowymi dowództwami pułków. Szczególnie Wielka Brytania i Austro-Węgry nie miały żadnych pól konfliktu. Wiedeń ani nie rywalizował z Londynem na polu rozbudowy floty, ani nie miał ambicji kolonialnych w Afryce i w Azji. Z tym większą ochotą książę regent Wilhelm (1765–1837) był w latach 1814–1830 honorowym pułkownikiem cesarsko-królewskiego 5. Pułku Huzarów (od 1830 r. panował jako król Wilhelm IV). Książę Albert Edward,

znany potem jako król Edward VII, szefował tytularnie c.k. 12. Pułkowi Huzarów (1888–1910), a książę Artur, diuk Connaught i Strathearn, honorowo dowodził 4. Pułkiem w latach 1893–1914. Ów pułk aż do wybuchu I wojny światowej nosił nazwę Husaren-Regiment Arthur Herzog von Connaught und Strathearn.

Praktycy podbojów serc niewieścich zgodnie twierdzili, że konkury w kapiącym od złotego szamerunku mundurze huzara gwarantowały niemal 100 proc. szans na sukces. To powodzenie huzarów irytowało resztę kawalerii, która huzarów z racji zadzierania nosa szczerze nie znosiła.

Wyczyn na Krymie

Najsłynniejszą akcją huzarów brytyjskich był udział w szarży Lekkiej Brygady jazdy brytyjskiej w czasie bitwy pod Bałakławą w 1854 r., w trakcie wojny krymskiej. Na pewno do tej sławy przyczynił się najpierw poetycki pean wiktoriańskiego wieszczka Alfreda Tennysona „Szarża Lekkiej Brygady”, a potem film o tej samej nazwie z 1968 r. w reżyserii Tony'ego Richardsona.

Sygnal do ataku wynikł z przypadku. Gdy jeden z wojskowych gońców doniósł fałszywie dowódcy Anglików – lordowi Raglanowi – że Rosjanie chcą zabrać z zajętego wzgórza zdobyczne brytyjskie armaty, ten postanowił rzucić do akcji konnicę. Zachowały się słynne słowa obserwującego szarżę francuskiego gen. Pierre'a Bosqueta: „To wspaniałe, ale to nie wojna! To szaleństwo!”.

Stracénca szarża nie była wielkim sukcesem, ale mimo wszystko skłoniła jednak oddziały rosyjskiego gen. Ryżowa do wycofania się. Historycy walczą z opinią, że szarża była jedną wielką masakrą i symbolem obojętności dowódców na ofiary wśród podkomendnych. Przekonanie takie wprowadził film Richardsona, tyle że reżyser nie cierpiał brytyjskiego militarizmu i chciał obnażyć bezduszny dryl w armii. W rzeczywistości nie było tak tragicznie.



Obraz Alfreda Munningsa,
słynnego malarza koni

FOT. CHRISTIES.COM

■ Z 666 kawalerzystów, których skierowano do szarży, śmierć poniosło 110, czyli 17 proc., 161 zostało rannych, z czego 129 zdołało powrócić na pozycje wyjściowe, 58 dostało się do niewoli. Pod ogniem Rosjan padło 375 koni. Lekką Brygadę od masakry uratowała jednak nieporadność rosyjskiej kawalerii. Z ciężkiej sytuacji uratował ich też atak 150 francuskich szaserów afrykańskich, którzy zmusili Rosjan do wycofania się.

Huzarzy brytyjscy zasłużyli się potem w wojnach burskich. W I wojnie światowej na kontynencie europejskim konnica, w tym huzarzy, nie odegrała już większej roli. W 1922 r. cztery pułki huzarów scalono w dwie jednostki i zaczęto ich mechanizację. W II wojnie światowej Prince of Wales Own Regiment i Quenn's Own Regiment były już jednostkami pancernymi. Ten ostatni szczylił się względami na samej górze. Huzarem królowej był w młodości sam premier Winston Churchill, który do końca życia cenił tytuł honorowego pułkownika jednostki.

Munnings jak Kossak

Druga wystawa National Army Museum to ekspozycja dzieł malarza koni Alfreda Munningsa (1878–1959). Tak jak na naszą dumę z szarży pod

Somosierą Brytyjczycy mogą odpowiedzieć dumą z szarży Lekkiej Brygady, tak Piotrowi Michałowskiemu oraz Juliuszowi i Wojciechowi Kossakom, jako genialnym malarzom koni, mogą przeciwstawić swego narodowego malarza „koniarza” Alfreda Munningsa (1878–1959). I rzeczywiście – podobieństw z Wojciechem Kossakiem jest mnóstwo. Bardzo zbliżona paleta kolorów, podobne ruchy pędzla i wyczuwalne doskonale oko do anatomii wierzchowców kawalerskich. Munnings zdobył sławę wystawą w Londynie w 1913 r. „Konie, polowania i życie na wsi”. W 1914 r. po wybuchu wojny w Niemciami malarz zgłosił się do wojska, ale został odrzucony z racji złego stanu zdrowia. W 1917 r. przypomniało sobie o nim ministerstwo wojny Kanady, które zaproponowało mu status oficjalnego malarza frontowego. Munnings miał uwiecznić walki korpusu kawalerii kanadyjskiej wysłanej do Europy. Tak powstał cykl ok. 50 obrazów pokazujących nie tylko walki kawalerzystów z Kraju Klonowego Liścia, lecz także ciężką pracę korpusu drwali kanadyjskich, którzy zluźowali francuskich kolegów po fachu w wyrębie lasów francuskich na potrzeby frontu.

Oprócz koni Munnings malował dowódców brytyjskich i kanadyjskich (oczywiście na koniach) i robił portrety kolegom z frontu. Na wystawie widać, z jakim kultem Anglicy traktują kawalerskie dzieła Munningsa. Nic dziwnego. Stanowią kwintesencję brytyjskiej esty-

my, jaką cieszy się jazda konna. To bardzo długa tradycja.

Wychodząc z wystaw w National Army Museum, przypomniał mi się fragment jednej z powieści Fredericka Forsytha. Opisujący w książce sir Jasper Quigley, wysoki urzędnik Foreign Office, zawsze obserwuje ze swojego okna widowisko wyjazdu oddziału Królewskiej Gwardii Konnej na zmianę warty przed pałacem Buckingham.

„Był to zaiste widok piękny, istna uciecha dla oka. Ileż to poranków spędził sir Jasper w tym oknie, napawając się tym najbardziej angielskim z angielskich widowisk. Czasami wydawało mu się, że sam ten widok, to wspaniałe jeździectwo, rzenie pięknych koni, błysk żelaza i stali w promieniach słońca, zachwyt turystów wyciągających szyje, dźwięk komend, chrzęst zbroi, radosne okrzyki zachwyconego tłumu – wszystko to jest jedyną rekompensatą za długie lata spędzone po ambasadach, w krajach o tyle mniej atrakcyjnych od jego ukochanej Anglii [...]. Gdy tak wpatrywał się w dziarskich jeźdźców królewskich, prostowały mu się ramiona i plecy, a uśmiech niewątpliwej satysfakcji wygładzał mu pooraną twarz” (tłum. Stefan Wilkosz).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Call in the Cavalry!” w National Army Museum w Londynie czynna będzie do 9 czerwca 2019 r. Ekspozycja „Alfred Munnings – Memory. The War Horse and Canadians in 1918” zakończyła się 5 marca 2019 r.



orcheston

prezentują:

GROMEE

—●—

Orkiestra Akademii
Beethovenowskiej

17.05.2019
COS Torwar
Warszawa

Bilety: PRESTIGEMJM.COM

zaprasza mecenas



BUKOVINA RESORT



Prestige
MJMREGENT
WARSAW HOTEL

RMF

RMF MAXXX

RMF Classic

wprost

RZECZY

TV

WP

cgm.pl

4CLUBBERS.PL

Multikino

pap

VIXON

PRESS SERVICE

SCORPIONS

CRAZY WORLD TOUR 2019

21 lipca 2019
Arena Gliwice

23 lipca 2019
ERGO ARENA Gdańsk/Sopot

BILETY: PRESTIGEMJM.COM



Prestige
MJM

GLIWICE

Arena Gliwice

złoteprzeboje

DZIENNIK
ZACHODNIDziennik
Bałtycki

wprost

RZECZY

Gitarzysta

Perkusiasta

WP

mccommunications

trojmiasto.pl

cgm.pl

Multikino

4+ GOLD

STRÖER

VIXON

pap

PRESS SERVICE



Film „Aria dla atlety” Bajona był inspirowany historią Stanisława Cyganiewicza „Zbyszka”. Na zdjęciu: Krzysztof Majchrzak FOT. EAST NEWS

XX w. / Światowa kariera Polaka

Tysiąc zwycięskich walk



Tomasz Stańczyk

/ Stanisław Cyganiewicz „Zbyszko” był najwybitniejszym polskim zapaśnikiem w historii. Zdobywał tytuły mistrza świata

Zapasy są stare jak świat. Przy najmniej jak świat grecko-rzymski. Zanim jednak stały się dyscypliną sportową i olimpijską, przeszły etap cyrkowy. Atlety popisujący

się niezwykłą siłą, zapaśnicy toczący ze sobą walki występowali jako jedna z atrakcji objazdowych cyrków. Ten wędrowny charakter cyrku spopularyzował w XIX w. zapaśnictwo. Można powiedzieć, że zapaśnicy byli artystami cyrkowymi. I byli nimi pionier polskich zapasów Władysław Pytlasiński, zwany „Pytlasem”, a także Stanisław Cyganiewicz, bardziej znany jako Zbyszko-Cyganiewicz lub Stanisław „Zbyszko”. A pseudonim Zbyszko przybrał jako miłośnik „Krzyżaków” Sienkiewicza.

Autor wstępu do „Tajników walki zapaśniczej (francuskiej)”, napisanej przez Pytlasińskiego i wydanej w 1929 r., stwierdzał:

„Z pojęciem »zapaśnictwo« szerszy ogół naszego społeczeństwa łączy prawie zawsze... cyrk. Czerwony dywan,

marsz gladiatorów, uroczysty, aczkolwiek zawsze trochę przypominający maskaradę »parade allé«, cały szereg rekwizytów, akcesoriów itp. sprawiły, że z biegiem czasu o zapaśnictwie zaczęto mówić jak o czymś równoznacznym z akrobatyką czy kłownadą, o czymś mało ze sportem mającym wspólnego. Przyczyniły się do tego niewątpliwie w dużym stopniu inscenizacje aranżerów walk zapaśniczych, którzy zmuszeni częstokroć do tego przez publiczność wymagającą raczej silnych i emocjonujących wzruszeń aniżeli prawdziwej i rzetelnej walki, swoimi kombinacjami podrywają ostatecznie zaufanie widzów”.

Zapasy nosiły nazwę francuskich, bo wywodząc się z tradycji antycznej, zostały zmodernizowane przez zapaśników francuskich.

Władysław Pytłasiński, nazywany „ojcem polskich zapasów”, urodził się w 1863 r. w Warszawie. Był tokarzem. W wieku 19 lat wyjechał najpierw do Wiednia, później zamieszkał w Szwajcarii i we Francji (pracował przy budowie wieży Eiffla). W Szwajcarii należał do towarzystwa gimnastycznego, którego członkowie popisali się siłą, podnosząc ciężary. Nad Sekwaną odniósł pierwszy ważny sukces, zajmując w 1888 r. drugie miejsce w turnieju zapasniczym. W 1890 r. wrócił do Warszawy i w następnym roku zaczął występować jako atleta w cyrku Cinisello. Dwa lata później pokonał atletę Ponsa, co rozpoczęło pasmo jego zwycięstw. Był zapasniczym mistrzem Paryża i Moskwy, gdzie występował wraz z Piotrem Jankowskim „Ursusem” (to kolejne odniesienie do Sienkiewicza), pod firmą... Bracia Pytłasiński.

Mistrz i uczeń

W „Polskim słowniku biograficznym” pisano o Pytłasińskim: „Charakteryzował się harmonijną budową ciała, dużą zwinnością, szybkością i sprytem. Miał opinię atlety dżentelmena”. Pierwsze lata XX stulecia przyniosły Pytłasińskiemu ogromne sukcesy: w 1900 r. został mistrzem świata i cztery lata później ponowił ten sukces. W 1906 r. zajął wysokie czwarte miejsce w walce o tytuł mistrza świata, lecz wówczas, mając już 43 lata, postanowił się wycofać z uprawiania zapasów.

Od tego czasu pracował jako trener – przygotowywał zawodników z Finlandii do udziału w olimpiadzie w Sztokholmie, propagował zapasy w Łodzi, a po odzyskaniu niepodległości był instruktorem wychowania fizycznego w szkole policyjnej. Był też organizatorem i prezesem Polskiego Towarzystwa Atletycznego. Wystąpił w filmie „Bartek Zwycięzca” z 1923 r., w tytułowej roli.

Wychowankiem Pytłasińskiego był niemal 20 lat młodszy od niego Stanisław Cyganiewicz. Uczeń przerósł mistrza i to tak, że uważany jest do dziś za najwybitniejszego polskiego zapasnika. Cyganiewicz urodził się w 1881 r. w małopolskiej Jodłowej. Jego ojciec, góral z pochodzenia, był leśniczym. W autobiografii „Na ringach całego świata. Księga wspomnień” Cyganiewicz, pisząc, że wychował się wśród lasu, stwierdzał: „Nie dziw też, że z dnia na dzień wzbierała we mnie siła, że

wyrastałem na, co się zowie, zdrowego chłopaka”.

Na jego ciężką fizyczną zwrócił uwagę naczelnik towarzystwa gimnastycznego Sokół w Krakowie i dzięki niemu Cyganiewicz poznał zasady i tajniki zapasów – „walki francuskiej”. Postanowił poprobować swych sił już jako gimnazjalista, występując na arenach cyrków objazdowych. Cyrkowi atleci rzucali wyzwanie widzom, by się z nimi zmierzili. Jednym z widzów, skłonnych to zrobić, był Cyganiewicz.

„Stawałem i kładłem ich wszystkich po kolei” – wspominał z dumą.

W cyrku niejakiego Rosencwajga walczył w Stanisławowie z atletą Spechtem. Właściciel cyrku powiedział Cyganiewiczowi, że prosił wprowadzić Spechta, by nie połamał śmiałkowi kości, zarazem jednak radził Polakowi, by się jedynie bronił, gdyż inaczej Specht się wścieknie i może zrobić mu krzywdę. Cyganiewicz wytrzymał w starciu ze Spechtem 10



Władysław Pytłasiński FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

minut, więc Rosencwajg zaproponował kolejną walkę, 15-minutową. Tym razem Cyganiewicz nie ograniczył się do obrony i pokonał Spechta.

W 1901 r., gdy Cyganiewicz zdawał maturę, pod Wawelem pojawił się Władysław Pytłasiński. „Poszedłem do niego i zaprezentowałem moje bicepsy. »Pytłas« w mig ocenił moją fizyczną wartość i otworzył przede mną horyzonty świetnej kariery zapasniczej”. Cyganiewicz stał się uczniem Pytłasińskiego i jego sparing-partnerem.

Jednak pierwsza walka Cyganiewicza na turnieju, w Niemczech, zakończyła się porażką. Był załamany i stwierdził, że nie ma szans na karierę. Pytłasiński, wierząc jednak w swojego wychowanka, zaproponował mu cyrkowe tournée w miastach Królestwa Polskiego. Cyganiewicz się zgodził. Pewnie wówczas nie myślał o zawodowym uprawianiu zapasów, gdyż po maturze zapisał się do Akademii Leśnej w Wiedniu. Zapasy pociągały go jednak coraz bardziej.

W stolicy Austro-Węgier pokonał dwukrotnie atletę-olbrzymia, Tomaszevicza z Chorwacji. Stało się to sensacją w naddunajskiej stolicy. A potem przyszedł turniej w Budapeszcie. Cyganiewicz z dumą wspominał: „Kładłem wszystkich po kolei. Najślawniejsi zawodnicy jak: Calve, Charles Axa, Georg Burghard, Franc Saurer nie mogli mi się oprzeć w walce”.

Pokonany również Bawarczyk Hitzler, gospodarz turnieju, obraził się i nie wypłacił zwycięzcy pełnej gaży.

Tymczasem Cyganiewicz nie zaniedbywał nauki. W 1903 r. zapisał się na prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Komicznym epizodem była jego służba wojskowa w charakterze „jednorocznego ochotnika”, która zakończyła się przed czasem. Minister wojny, wizytujący jednostkę, w której służył Cyganiewicz, przyglądał się musztrze, podczas której zapasnik, ze względu na ponadprzeciętną szerokość ramion, potraçał wciąż kolegów. „Po krótkim namyśle uznali mnie za nienadającego się do służby wojskowej” – odnotował Cyganiewicz we wspomnieniach.

Mógł powrócić do walk. Opracował chwyt, którego bali się rywale, tzw. tylny pas, który stał się jego żelaznym chwytem.

Pojedynek z olbrzymem

W turnieju w Paryżu w 1903 r. zmierzył się z Serbem Antoniczem, olbrzymiego wzrostu, liczącym bowiem 2 metry 14 centymetrów. „Stanąwszy przy nim, skonstatowałem z przerażeniem, że sięgam mu ledwo ramieniem do łokcia. Widok olbrzymia nastroił mnie dość pesymistycznie”.

Także widok innych zapasników nappełniał go czarnymi myślami. Mógł im, jak wspominał, przeciwstawić: „Młodość, ■



Stanisław „Zbyszko”
Cyganiewicz FOT. NAC

■ wielki zapas energii, nieprzepartą chęć wybicia się, doskonale wyrobioną walkę obronną, a z walki zaczepnej mój »tylny pas«. Był to chwyt, przed którym drżeli rywale.

Jednak w pokonaniu Antonicza bardziej chyba pomógł mu dawny menedżer Serba. Poradził Cyganiewiczowi, by podczas walki z rywalem górującym nad nim wzrostem walczył w pozycji pochyłonej, najbardziej jak to tylko jest możliwe. Wtedy Serb będzie musiał się schylać, by użyć swojego chwytu, sforsuje w końcu mięśnie podtrzymujące kregosłup, a wtedy Cyganiewicz dostanie szansę na założenie mu „tylnego pasa”.

Pierwsze minuty walki zapowiadały się dla Polaka źle, bo Serb sprowadził go do parteru i zaczął ścisnąć „dławiącym nelsonem”. Cyganiewiczowi udało się rzucić Antonicza na ziemię, jednak nie zdołał przytrzymać go na łopatkach. Cztery razy Polak ponawiał tę próbę. Walka trwała już 1 godzinę 25 minut, Serb był coraz bardziej zmęczony. Cyganiewicz raz jeszcze zastosował „tylny pas”, rzucił przeciwnika o ziemię i nareszcie go pokonał.

W turnieju o mistrzostwo świata Cyganiewicz zajął trzecie miejsce. A potem można było go zobaczyć w cyrku Devigne na ziemiach polskich. Etatowym atletą tego cyrku był Franciszek Bieńkowski „Cyklop” rodem z Gdańska, syn kowala, niemal rówieśnik Pytlasińskiego.

„Przypominał on tak żywo małpę, że Darwin mógłby go użyć jako dowód swych teorii, jako obraz jednej z faz przejściowych od małpy wyższego gatunku do człowieka” – pisał o nim Cyganiewicz, podkreślając „nieprawdopodobnych rozmiarów, potwornej szerokości tułów, oddzielony zamiast szyi i karku dwoma fałdami skóry od głowy”. Bieńkowski łamał monety i rwał łańcuchy, był „epo-

kowo silnym człowiekiem”. Jednak jeden z popisów siły „Cyklopa” skończył się dla niego tragedią. Podczas rwania łańcucha natężył się tak bardzo, że w rezultacie stracił wzrok.

Po pięciu latach kariery zapaśniczej Cyganiewicz skonstatował, że nie dorobił się na niej, a studiów prawniczych prawa nie ukończył. W 1904 r. wziął udział w turnieju w Hamburgu, lecz zajął dopiero piąte miejsce. Znowu mocno zwątpił w siebie. Jednak w Berlinie w cyrku Buscha pokonał po trzech kwadransach Belga Omera de Bouillona i – jak wspominał – dopiero tym zwycięstwem „urobił sobie wielkie imię między zawodnikami”. W 1906 r. w Paryżu wywalczył swoje pierwsze mistrzostwo świata.

Zmierzył się też z Iwanem Poddubnym, Kozakiem, który mawiał, że trzech jest wielkich i słynnych ludzi w Rosji: pisarz Maksym Gorki, śpiewak Fiodor Szalapin i on – Poddubny. Stoczona w Petersburgu walka, po ponad dwóch godzinach zmagania, była nierozstrzygnięta. Trzy razy Cyganiewicz sprowadzał Kozaka do parteru, ale nie wystarczyło to do pokonania go. Nie był w stanie użyć swojego firmowego „tylnego pasa”. Początek drugiej walki z Poddubnym w 1907 r. w Londynie zapowiadał się dla Cyganiewicza źle. Kozak natarł z impetem, narzucił szybkie tempo i Polak był przekonany, że nie będzie w stanie długo się bronić. Jednak Poddubny, który zaczął tracić siły, postanowił pomóc sobie niedozwolonymi chwytami, wybijając Polakowi zęb, wyłamując palec i kopiąc. Został zdyskwalifikowany.

W USA

Dalsza kariera Cyganiewicza przebiegała w Stanach Zjednoczonych.

Pokonał trzech zapaśników w niecałe pół godziny, zamiast, jak przewidywano, w godzinę. W swoich wspomnieniach Cyganiewicz przyznaje się, że po śmierci ojca popadł w depresję i stracił wiarę w sens kontynuowania kariery zapaśniczej. Z apatii wyrwał go menedżer, przekonując, że pokonanie zapaśnika Gotha da mu sławę i pieniądze. Cyganiewicz czuł respekt przed Gothem, pisał o nim, że to typ „tygrysa w ringu”. Zwycięskie występy Polaka podbudowały mieszkających w Stanach emigrantów. Sława Cyganiewicza niejako spływała na nich, sprawiała, że Amerykanie zaczęli nieco inaczej spoglądać na Polaków, niestojących wysoko w hierarchii społecznej. Był rok 1910. Sala w Chicago, w którym licznie zamieszkiwali Polonusi, była udekorowana flagami polskimi i amerykańskimi. Polacy żądali kolejnego i to wielkiego – gdyż nad renomowanym rywalem – zwycięstwa.

Niestety, w 26. minucie Cyganiewicz musiał uznać wyższość rywala. Z goryczą pisał w swej autobiografii, że z idola Polaków mieszkających w Stanach stał się znienawidzoną osobą. Pod jego adresem wysyłano „chmary obelg” i nawet nie sugerowano, lecz mówiono wprost, że sprzedawł walkę. Tymczasem Cyganiewicz przyznawał, że rywal był po prostu lepszy, a on nie znał dostatecznie amerykańskiego sposobu walki.

Rozgoryczony, wrócił do Krakowa. Dał się jednak namówić na walkę z Hindusem Gamą „Lwem z Pendzabu” w Londynie. Miał dla niego respekt. „Takiej harmonii ciała, tak wspaniale wyrobionych mięśni nóg, ramion i pleców, piersi nigdy nie widziałem”. Była to najdłuższa walka w karierze Polaka. Po półtorej godzinie zmagania postanowił przeprowadzić decydujący atak. Rzucił nawet Hindusa na ziemię, ale zmagania trwały następne półtorej godziny (!) i przerwał je dopiero zmierzch. Walka pozostała nierozstrzygnięta.

Cyganiewicz zdobywał trzykrotnie tytuły zapaśniczego mistrza świata, w Paryżu w 1906 r., w Nowym Jorku w latach 1921 i 1922, a poza tym był w 1925 r. mistrzem świata w wolnoamerykance (catch as catch can). Stoczył ponad tysiąc zwycięskich walk. Od 1924 r. mieszkał w Stanach, kupił farmę. Zmarł w 1967 r. 12 lat później Filip Bajon nakręcił film „Aria dla atlety”, którego tytułowy bohater wzorowany jest na Zbyszku-Cyganiewiczu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MARKA BOWDENA „HUẾ 1968. WIETNAM WE KRWI”**

NAJKRWAWSZA BITWA WOJNY WIETNAMSKIEJ

Huế 1968 to niezwykle plastyczny opis zmagani bojowych w największej z bitew stoczonej przez Amerykanów od czasów zakończenia II wojny światowej. Dzięki bezprecedensowemu dostępowi do archiwów wojennych w USA i Wietnamie oraz wywiadów z uczestnikami obu stron, Bowden opowiada o każdym etapie bitwy z różnych punktów widzenia. Taka wizja amerykańskiego "zwycięstwa" pokazuje nam obraz wojny znanej z wstrząsających obrazów Czasu apokalipsy Coppoli czy Full Metal Jacket Kubricka. Rozgrywana przez miesiąc i kosztująca 10 000 zabitych, bitwa o Hue była zdecydowanie najkrwawsza w całej wojnie. Kiedy się skończyła, amerykańska debata już nigdy nie podjęła tematu wygrania wojny, tylko sposobów wycofania się z niej.

81 zł

oszczędność 96 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 2bade6536e

Wywiad

/ Z dr. Sebastianem Bojemskim, historykiem, autorem książki „Nim Hitler runie, śmierć komunie!”

PIŁS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

PIOTR WŁOCZYK: „Najsprawniej zorganizowany i najbardziej sprężyste dowodzony nielegalny polski związek zbrojny” – tak w swoim raporcie z 1944 r. oceniał NSZ płk Reinhard Gehlen, kierownik niemieckiego wywiadu na wschodzie. Na ile miarodajna była ta opinia?

DR SEBASTIAN BOJEMSKI: Pułkownik Gehlen był bardzo dobrym fachowcem w swojej dziedzinie, więc myślę, że jego ocena jest jak najbardziej miarodajna. NSZ były sprawnie działającą machiną.



rozmawia Piotr Włoczyk

Dyscyplinie i zwartości NSZ bardzo pomagał komponent ideowy. Było to niezwykle mocne spoiwo, które nie występowało w takim zakresie w AK. Oczywiście kierownictwo AK nie było bezideowe, ponieważ środowisko piłsudczykowskie miało dobrze zdefiniowane poglądy, ale w NSZ spoiwość światopoglądowa była jednak dużo większa. Zaplecze polityczne tej organizacji bardzo pilnowało tego specyficznego „sznytu”. Zwróćmy uwagę, że w NSZ niewielu było ludzi z przypadku.

Jeżeli rozmawiamy o sprawności NSZ, to trzeba również podkreślić, że w szeregach tej organizacji było relatywnie niewielu oficerów zawodowych. W dużej

NSZ przeciw czerwonej pajęczynie

części byli to oficerowie rezerwy i można postawić tezę, że wpływało to na skuteczność NSZ.

Oficer rezerwy był wart więcej od oficera w służbie czynnej?

Żołnierz zawodowy przygotowany jest do służby w warunkach garnizony, w regularnych działaniach, ale kiedy w wyniku przegranej wojny struktury państwowe ulegają dezintegracji, liczy się w znacznej mierze improwizacja. Rezerwiści, którzy w życiu zawodowym realizowali się na innych polach niż

Na pierwszy rzut oka może to dziwić, ale praca w służbach przypomina jednak pracę dziennikarską – zbieranie informacji, a następnie analizowanie ich... W kierownictwie wywiadu NSZ służyli ludzie różnych profesji, głównie humaniści, i tylko niektórzy z nich mieli pojęcie o wojsku. Dodajmy, że przełożonym Szperlicha był Witold Gostomski, prawnik, który przed wojną pracował w mediach. Z owoców ich pracy widać jednak, że w czasie wojny liczy się przede wszystkim zdolność do improwizowania i nawet kompletny amator może się szybko stać cenionym profesjonalistą.

„Wywiad prowadzony przez NSZ na odcinku antykomunistycznym stanowił kontynuację działań służb specjalnych II Rzeczypospolitej przed wybuchem wojny” – pisze pan w książce. Jak to wyglądało w praktyce?

Oczywiście nie była to kontynuacja w sensie formalnym. Przed wojną zarówno Oddział II, jak i Policja Państwowa kontrolowały organizacje wywrotowe, czyli głównie skupiały się na zagrożeniu komunistycznym. Każda organizacja komunistyczna była inwigilowana i traktowana jako działająca na



Antoni Szperlich

FOT. ZBIORY SEBASTIANA BOJEWSKIEGO

rzecz Związku Sowieckiego. Te struktury były dobrze rozpoznane przez państwo polskie. Dlaczego Stalin dokonał tak wielkiej czystki wśród polskich komunistów? Jednym z głównych powodów było przekonanie, że skoro to środowisko zostało tak mocno spenetrowane przez polską policję i polski wywiad wojskowy, to trzeba zacząć zupełnie od zera.

NSZ wzorowały się na pracy, którą wykonywały przed wojną „Dwójka”

i Policja Państwowa. Doskonale zdawano sobie w tej organizacji sprawę z tego, że kluczem do obrony przed nadciągającym zagrożeniem sowieckim było rozpoznanie działalności stalinowskiej agentury. To był priorytet dla NSZ.

Jak wynika z pańskiej książki, efekty pracy wywiadowczej NSZ były na tyle duże, że AK czerpała z nich pełnymi garściami...

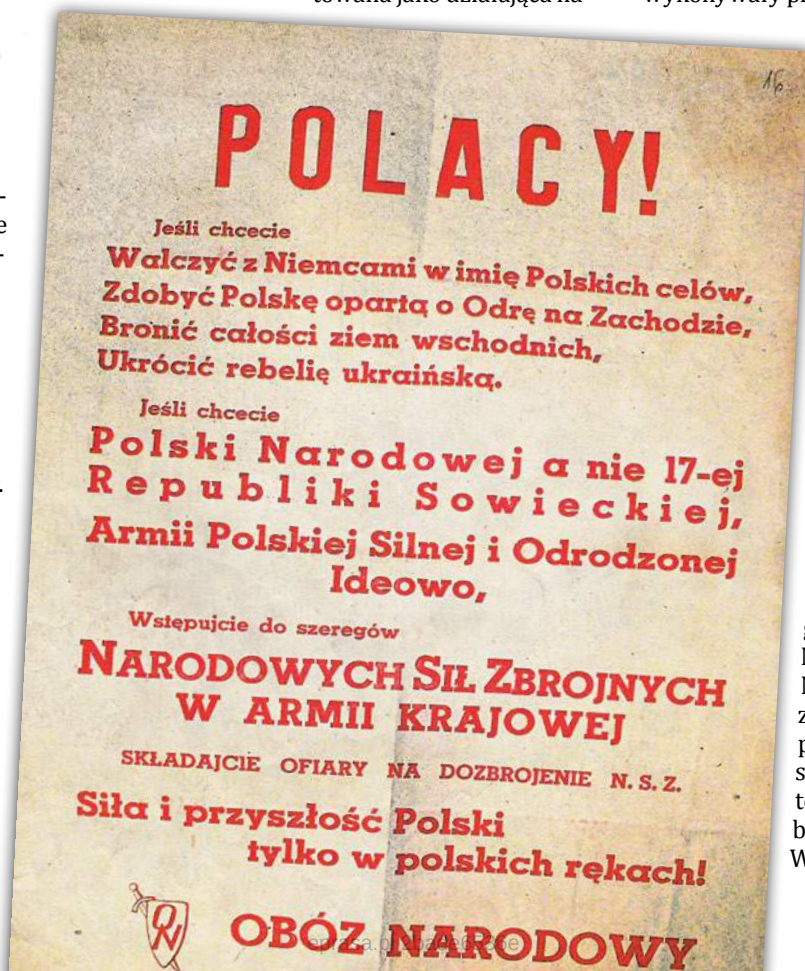
Tak, AK była bardzo zainteresowana współpracą wywiadowczą z NSZ, doceniając osiągnięcia tej organizacji. Mówimy tu o wywiadzie NSZ nakierowanym na zachód – tereny wcielone przez Rzeszę i samą Rzeszę. Tutaj nie było konfliktów, współpraca przebiegała bardzo sprawnie. Wywiad NSZ pracował



wojskowe, siłą rzeczy byli bardziej skłonni do niesza-blonowego myślenia, które jest nieodzowne w warunkach konspiracyjnych.

Myślę, że swoje, jeżeli chodzi o skuteczność NSZ, robiło też to, iż była to znacznie mniejsza organizacja niż AK. W szczytowym momencie NSZ liczyły ok. 72 tys. członków. Mniejsza skala ułatwiała utrzymywanie lepszej kontroli nad strukturami.

Szczególnie ciekawie wygląda w kontekście kadr NSZ sprawa wywiadu tej organizacji. O ile w AK odpowiadali za ten odcinek wojskowi, o tyle szefem wywiadu antykomunistycznego NSZ był Antoni Szperlich, dziennikarz po polonistycie.



na rzecz wywiadu AK i był w znacznej mierze przez ten ostatni finansowany. Ktoś nieorientowany w sytuacji mógłby się zdziwić, natrafiając w dokumentach NSZ na informacje o fabrykach zlokalizowanych na terenie Rzeszy. Po co NSZ były takie informacje? To wszystko było przekazywane AK.

Podobna współpraca, tyle że z Delegaturą Rządu, była na odcinku komunistycznym. Człowiekiem, dzięki któremu ta współpraca została nawiązana, był Henryk Glass, harcmistrz Rzeczypospolitej, jeden z twórców polskiego harcerstwa. Glass działał w Komendzie Głównej AK, w delegaturze, ale był też związany ze środowiskiem NSZ, które wydawało prowadzone przez niego antykomunistyczne pismo. Narodowcy rozpracowywali komunistyczne organizacje działające na terenie kraju i wiedzieli bardzo dużo na temat ich struktur i metod działania. Generalnie rozumieli, co nadciąga ze wschodu i jakie to zagrożenie przyjmuje formy. Delegatura Rządu finansowała te działania wywiadowcze. Pamiętamy, że wobec zbliżającej się Armii Czerwonej NSZ zupełnie otwarcie uważały komunistów za największe zagrożenie dla niepodległości Polski i starały się temu przeciwdziałać.

AK nie miała tu takiej swobody działania. Jak wyglądały w tym kontekście relacje tych organizacji?

AK, w związku z bezpośrednim podporządkowaniem Rządowi RP w Londynie, miała na tym kierunku po prostu związane ręce. Nie mogła sobie pozwolić na jakąkolwiek ostrzejszą akcję wobec sił wspieranych przez „sojusznika naszych sojuszników”. Istnienie NSZ było pod tym względem bardzo wygodne, bo rozwiązywało problemy AK-owców, którzy sami musieli się liczyć z politycznymi ograniczeniami.

Jeszcze w latach 90. rozmawiałem na ten temat z płk. Marianem Gołębińskim z AK, cichociemnym, szefem Kedywu w obwodzie AK Zamość. Pułkownik Gołębiński powiedział mi bardzo ciekawą rzecz. Otóż dogadał się z Leonardem Zub-Zdanowiczem z NSZ (również cichociemnym), że wszelkie antykomunistyczne akcje AK w rejonie będą zapisywane właśnie na konto narodowców.

Idealna sytuacja.

Tak. Co ciekawe, NSZ badały również struktury reszty polskiego podziemia



niepodległościowego, ale nie było to wówczas nic niezwykłego. Wszyscy w podziemiu badali się nawzajem. Oczywiście w orbicie zainteresowań służby informacyjnej NSZ były również mniejszości narodowe zamieszkujące II RP, które traktowano jako potencjalnych przeciwników. Masoneria na ziemiach polskich również była badana przez NSZ. Przy czym należy zwrócić uwagę na to, że zarówno mniejszości, jak i wolnomularze byli również w zainteresowaniu kontrwywiadu AK.

Jak można podsumować osiągnięcia wywiadu NSZ na kierunku antykomunistycznym? Jak dużo udało się działać w tym zakresie?

Wszystko, co zebrały w tej sprawie NSZ, było ogromnym wkładem do przygotowania Polskiego Państwa Podziemnego do walki z komunistami w sytuacji, w której Polska odzyskuje niepodległość,

a komuniści szykują się do przejścia władzy. NSZ miały rozpracowane metody pracy i strukturę organizacji komunistycznych, szykowano nawet – podobnie jak Delegatura Rządu – specjalne obozy dla członków skrajnie lewicowych organizacji. Taka sytuacja jednak nie nastąpiła – Stalin niewolił Polskę równolegle z wypieraniem z niej Niemców. Nie było więc szansy na wdrożenie w życie tych planów.

Do dziś mamy w Warszawie ul. Teodora Dura-cza, działacza komunistycznego, który kierował w PPR Oddziałem Informacji Specjalnej. PPR widziała oczywiście w NSZ śmiertelne zagrożenie. Jak groźne były ataki na NSZ ze strony sowieckiej agentury?

Z zachowanych dokumentów wynika, że w sensie ilościowym komuniści nie zdołali wyrządzić NSZ dużych szkód w czasie wojny. NSZ na bieżąco dbały o zabezpieczenie własnych szeregów. Dane wywiadowcze były do tego niezbędne. Jednak sytuacja wygląda inaczej, jeżeli chodzi o sprawę jakościową. A za taką niewątpliwie należy uznać sprawę śmierci Stanisława Nakoniecznikoffa ps. Kmicic, komendanta głównego NSZ, była inspirowana przez NKWD. W oto-



**SEBASTIAN BOJEMSKI
„NIM HITLER RUNIE, ŚMIERĆ
KOMUNIE. WYWIAD ANTYKO-
MUNISTYCZNY NARODOWYCH
SIŁ ZBROJNYCH POD OKUPACJĄ
NIEMIECKĄ W LATACH
1942–1945”**

WYDAWNICTWO UKSW



złośliwe uwagi, że ONR-owcy tym różnili się od komuny, że wierzyli w Boga.

Przy czym oczywiście to była głęboka i zasadnicza różnica. ONR-owców można śmiało nazywać postępową inteligencją. Uważali bowiem, że należy znacjonalizować banki, sektor finansowy, energetykę, kopalnie... Zdawali sobie sprawę, że dla rozwoju Polski konieczne jest niwelowanie różnic społecznych. Działacze ONR rozumieli, że utrzymywanie nierówności to doskonała pożywka dla komunistów. Dlatego byli dla komuny bardzo dużym zagrożeniem.

Podkreśla pan w książce, że bardzo tajemniczą osobą z kręgu NSZ do dziś pozostaje Hubert Jura ps. Tom. Wokół tzw. organizacji Toma narosło przez lata mnóstwo legend. Można wręcz odnieść wrażenie, że Tom stał się dla niektórych środowisk swego rodzaju pałką na NSZ.

Bardzo niewiele wiadomo o tym człowieku. Wciąż nie jesteśmy w stanie powiedzieć z całą pewnością, dla kogo on tak naprawdę pracował. Był jednym z dowódców partyzantki, jego zgrupowanie rzeczywiście likwidowało komunistów, a on sam utrzymywał bliskie kontakty z Niemcami. Te kontakty mają być kompromitujące, ale pamiętajmy też, że wywiad NSZ prowadził pod koniec wojny dialog operacyjny z Niemcami. I znowu – znamy podobne przypadki w kontekście AK. W końcu niescalona część NSZ postanowiła wykorzystać kontakty Toma i przedostać się na Zachód.

W ten sposób Brygada Świętokrzyska wyszła z sowieckiej strefy.

Tak, i dzięki temu ocalała. Wszyscy, którzy uważają te taktyczne kontakty z Niemcami za coś obrzydliwego i niewybaczalnego, powinni sobie odpowiedzieć na pytanie, czy lepiej by się stało, gdyby 800 żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej trafiło do piachu – bo przecież taki los spotkałby tych żołnierzy, gdyby trafili wtedy w ręce Sowietów.

Nikt nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, jak to się stało, że Tom został przejęty przez wywiad 2. Korpusu, i jak to się stało, że został z niego bez problemów zwolniony. To wciąż temat, który czeka na solidne opracowanie.

W czasach PRL głośne zabójstwo Ludwika Widerszala i Jerzego Makowieckiego, członków wydziału Biura Informacji i Propagandy (BIP) AK,

było przedstawiane jako zbrodnia NSZ. Co dziś o tym wiadomo na pewno?

To kolejna bardzo tajemnicza sprawa. Była ona przedstawiana jako swoisty punkt zwrotny – postępową inteligencją z AK miała wówczas zrozumieć, że komunizm to ratunek przed zagrożeniem „faszyzmem”. Już w latach 60. wiadomo było jednak, że NSZ nie przyłożyły do tego ręki. Realizację w przypadku Widerszala przeprowadził oddział specjalny Delegatury Rządu i AK. Nie znamy powodów, dla których zginęli.

Wiemy, że Widerszał przez całą okupację mieszkał pod przedwojennym adresem i własnym nazwiskiem, co wydaje się rzeczą raczej niezwykłą, jeśli chodzi o znanego przed wojną naukowca pochodzenia żydowskiego...

W drugim przypadku też nie brakuje pytań.

Jeżeli chodzi o Makowieckiego, to mamy jeszcze mniej danych i zasadnicze pytanie: W jakim celu wywieziono go z centrum miasta na Boernerowo i dopiero tam zabito? Przecież można to było zrobić tam, gdzie mieszkał, tj. w kolonii Staszica.

Niezależnie od tych pytań jedno jest pewne – ten dramat rozgrywał się wewnątrz struktur Armii Krajowej. Spodziewam się, że w najbliższym czasie znakomici historycy Mariusz Olczak i Marek Strok opublikują książkę na ten temat.

W przypadku NSZ nie mam śladów, że ta organizacja prowadziła likwidację działaczy skrajnej lewicy na terenie Warszawy. Owszem, były tworzone kartoteki, byli rozpracowywani komuniści, lewicowi socjaliści i przedstawiciele tzw. liberalnej inteligencji. Działo się to z własnej inicjatywy i na zlecenie Delegatury Rządu. Także w tym przypadku zakres rozpracowań nie różnił się od działań podejmowanych przez służbę informacyjną AK.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

czeniu Nakoniecznikoffa pojawił się bowiem Feliks Mazurek, agent NKWD (co wyszło na jaw dopiero po powstaniu warszawskim), i to on zręcznie manipulując „Kmicicem”, doprowadził do wydania na niego wyroku śmierci. To był duży cios dla NSZ.

Chyba można śmiało powiedzieć, że antykomunizm był wbudowany w DNA członków NSZ. Pewne paralele do sytuacji wojennej widać już chyba nawet w okresie przedwojennym?

Jeżeli mielibyśmy wybrać jedno słowo do jak najbardziej trafnego opisu ONR, to z pewnością byłby to konsekwentny i zdecydowany antykomunizm. Infiltracja, rozbijanie środowisk komunistycznych przez ONR zaczęły się przed wybuchem wojny.

Narodowcy mieli we wszystkich warstwach społecznych swoje organizacje. To była bardzo sprawnie działająca machina polityczno-społeczna. Rdzeń był wprawdzie typowo partyjny, ale dookoła widać było w zasadzie cały przekrój społeczny. Działacze narodowi schodzili do dzielnic robotniczych. Nakłaniali do współpracy środowiska robotnicze, które raz zbliżały się do KPP, a raz do ONR, dla nich bowiem zasadniczą kwestią były sprawy socjalne. Zresztą zdarzały się



dr Sebastian Bojowski

jest znawcą historii NSZ, autorem książek: „Narodowe Siły Zbrojne w powstaniu warszawskim” oraz „Nim Hitler runie, śmierć komunie”.



Cadyk Halbersztand ze Żmigrodu ze swoimi sekretarzami podczas kuracji w Truskawcu FOT. NAC

100 lat temu / Projekt posłów Grünbauma i Hirszhorna

Judeo-Polonia



Maciej Rosalak

/ Działacze syjonistyczni w 1918 r. wystąpili z pomysłem stworzenia autonomicznego żydowskiego państewka w Polsce

Terminu „Judeo-Polonia” („Judeopolonia”) zaczęli używać niektórzy publicyści polscy na przełomie XIX i XX w. Na przykład Teodor Jeske-Choiński w książce „Poznaj żyda” pisał o Żydach grożących „zaduszeniem Polaków, jeśli nie zostanie

spełnione ich żądanie utworzenia Judeo-Polonii i narodu Judeo-Polskiego”. Wzorem dla polskich autorów stał się Julian Ursyn Niemcewicz, który w futurologicznej wizji „Rok 3333, czyli Sen niesłychany” widział Królestwo Polskie jako Moszkopolis całkowicie opionowaną przez żywioł żydowski z królem Moszko na czele. Terminem „Judeo-Polonia” szermował również przed I wojną światową publicysta i działacz syjonistyczny z Odessy Władimir Żabotyński, zresztą późniejszy (1935) założyciel Betaru, współpracujący z władzami polskimi w zakresie szkolenia wojskowego członków tej organizacji w Polsce.

I Jeske-Choiński, i Żabotyński rozumie- li pod pojęciem Judeo-Polonii organizm państwowy stworzony na ziemiach polskich, podległy Rosji, ale zarządzany głównie przez Żydów. Jeske-Choiński go zwalczał; Żabotyński doń dążył. Z kolei

syjoniści w Niemczech tym tylko różnili się od syjonisty z Odessy, że na odebranych Rosji ziemiach Rzeczypospolitej chcieli utworzenia Federacji Wschodnioeuropejskiej pod władzą Niemiec, z Żydami jako warstwą uprzywilejowaną. Wątek Żabotyńskiego przypomina Jerzy Robert Nowak w przyczynku „Prawda o Judeo-Polonii” (Wikipedia, 31.03.2010), powołując się na „Pamiętnik I Zjazdu Zjednoczenia Polaków Wyznania Mojżeszowego Wszystkich Ziemi Polskich” z maja 1919 r.

Nowak przytacza m.in. wystąpienie „polskiego patrioty wyznania mojżeszowego”, inż. Kazimierza Sterlinga: „Pierwszy zabrał w tej sprawie głos publicysta rosyjsko-żydowski z Odessy, Żabotinskij – przypominał Sterling – który w wielu artykułach począł dowodzić konieczności uznania na terytorium Królestwa Polskiego dwóch równorzędn-

nych narodowości – Żydów i Polaków, i pierwszy użył nazwy Judeo-Polonii. W ten sposób koncepcja terytorialno-państwowa żydowska przetworzyła się w eksterytorialno-narodową. Naród polski pojął grożące mu niebezpieczeństwo. Idea stworzenia państwa w państwie była tym dla Polski groźniejsza, iż mową znacznej części masy żydowskiej jest żargon [czyli jidysz – przyp. M.R.], który jest niczym innym jak zepsuta niemczyzna, do tego pnia macierzystego w miarę rozwoju powracająca, a mową Żydów – uciekinierów z Rosji – był język rosyjski, wobec tego ten napływowy żywioł przy usiłowaniu rusyfikacji kraju ze strony carskiego rządu mógł – wbrew woli samych Żydów – wywrzeć wpływ fatalny na ludność, tym bardziej że był przez rząd popierany...”

Żądanie posłów

O ile żydowski zjazd zjednoczeniowy jednoznacznie potępił antypolskie projekty Judeo-Polonii, o tyle odbywająca się w dniach 21–22 października 1918 r. w Warszawie Konferencja Syjonistyczna wysunęła postulat przyznania Żydom w odbudowanym państwie polskim konstytucyjnie zagwarantowanej autonomii narodowej. W maju 1919 r., a więc w tym czasie, gdy na zjeździe występował znany inż. Sterling, w polskim Sejmie Ustawodawczym występowali posłowie z Wolnego Zjednoczenia Posłów Narodowości Żydowskiej – Izaak Grünbaum i Samuel Hirszhorn – którzy nawiązali do uchwały syjonistów podjętej pół roku wcześniej.

„My żądamy jednego, ażeby dano możność żydostwu polskiemu do zorganizowania się dla zaspokojenia swoich specyficznych potrzeb, których nikt inny nie będzie mógł zaspokoić. Bo my nie mówimy, że nikt nie będzie chciał tych potrzeb zaspokoić, my mówimy tylko, że nikt prócz żydów samych nie jest w stanie tego zrobić. [...] Żądamy, ażeby można było stworzyć na zasadach konstytucyjnych taką organizację, która byłaby władna czynić zadość specyficznym potrzebom żydostwa polskiego” – oświadczył Grünbaum.

Wsparł go Hirszhorn: „Konstytucja winna zapewnić wszystkim mniejszościom narodowym, a w ich liczbie i żydowskiej, samorząd w dziedzinie kul-

tury, szkolnictwa w języku narodowym, opieki społecznej i dobroczynności, czyli autonomii narodowo-kulturalnej. Ma to być związek o charakterze publiczno-prawnym, wyobrażający osobę prawną i mający za organ lokalny gminę narodowościową, której granice odpowiadają granicom gminy politycznej, a na czele której stoi Naczelna Rada Narodowa, obierana przez wszystkich członków tego związku na zasadzie pięcioprymiotnikowego prawa wyborczego bez różnicy płci”.

Oznaczało to złamanie podstawowej we współczesnym świecie zasady unitarności, a więc jednolitości państwa, w którym wszystkie jednostki administracyjne są tak samo zorganizowane i podporządkowane organom centralnym. Rok później Izaak Grünbaum zaproponował w Komisji Konstytucyjnej artykuł 113 w takim oto brzmieniu: „Ziemie Rzeczypospolitej, zamieszkałe w przeważającej większości przez narodowości niepolskie, stanowiąc będą autonomiczne prowincje, które otrzymają osobne przedstawicielstwo ustawodawcze, wybierane na podstawie wyborów powszechnych, bezpośrednich, równych, tajnych i stosunkowych. Osobne ustawy określą kompetencje tych ciał ustawodawczych oraz stosunek prowincji autonomicznych do Państwa”.

Polacy – którzy po 123 latach niewoli nareszcie odzyskali swą Rzeczpospolitą

– nie mogli się oczywiście na to zgodzić. Gdy w połowie listopada 1920 r. dyskuutowano nad tą propozycją, poseł PPS Mieczysław Niedziałkowski oświadczył: „Jesteśmy gotowi przyznać szerokie prawa dla kulturalnego rozwoju każdej mniejszości, która zamieszkuje nasze Państwo. Ale od tego jest cała przepaść do tego stanowiska, które zajmuje w tej chwili w Polsce pewna część opinii żydowskiej, np. stronnictwo syjonistyczne i pewna część robotniczych stronnictw żydowskich. Stanowczo, zupełnie kategorycznie i również z całym spokojem i z zupełnie czystym sumieniem socjalistycznym odrzucamy wszystkie te koncepcje, które chciałyby z Państwa Polskiego uczynić wspólną własność Polaków i Żydów”.

Posel prawicy ks. Kazimierz Lutosławski zaprotestował, „żeby terytorium było wspólną własnością kilku narodów i żeby organizm państwowy nie był wytworem życia narodu, ale żeby był tylko spółką z ograniczoną poręką, w której kilka narodów wspólnym wysiłkiem tworzy rząd dla zaspokojenia swoich materialnych interesów”. Proponowane rozwiązania „sprowadzałyby do roli pariasów w tym kraju nie kogo innego tylko ludność polską. Bo jakże by to wyglądało? Obywatele narodowości żydowskiej, narodowości rusińskiej, narodowości niemieckiej dzieliliby z ludnością polską wszystkie prawa obywateli, zasiadali by na równi z nią we wszystkich wielkich zbiorowiskach wspólnych, a obok tego mieliby odrębne ciała, w których by przygotowywali swoje solidarne stanowisko dla zbiorowego działania całego państwa. Gdybyśmy tą drogą poszli, musielibyśmy reklamować dla nieszczęsnej ludności polskiej także prawo samorządu narodowego...”



Siedmioramienny świecznik żydowski – kultowy symbol judaizmu FOT. ARCHIWUM

Polska u Singera

Sprawa autonomii żydowskiej wtedy upadła, nie pozostał po niej najmniejszy ślad w konstytucji uchwalonej 17 marca 1921 r., ale reprezentanci różnych środowisk podnosili ją w wypowiedziach publicznych jeszcze nieraz. Ugrupowanie, które reprezentowali w 442-osobowym Sejmie Ustawodawczym Izaak Grünbaum i Samuel Hirszhorn, liczyło zaledwie 10 posłów. Natomiast



Przysięga żołnierzy żydowskich FOT. NAC

■ posłowie żydowskiego pochodzenia z innych ugrupowań mieli często zdecydowanie bardziej pozytywny stosunek do państwa polskiego. Przykładem nie tylko poseł PPS, znany adwokat Herman Lieberman, lecz także konserwatyści z 16-osobowego Klubu Pracy Konstytucyjnej, któremu przewodził marszałek-senior Ferdynand Radziwiłł. Byli między nimi: adwokat Natan Loewenstein, przemysłowiec Henryk Kolischer, doktor praw Ignacy Steinhaus czy browarnik i burmistrz Buczacza – Bernard Stern. Byli zasymilowani ze społeczeństwem polskim i jeszcze przed I wojną reprezentowali go w austriackim Reichsracie. W Sejmie I kadencji (1922–1927) reprezentantów kilku ugrupowań żydowskich, w tym lewicowych, znalazło się jednak więcej, a wojowniczy Grünbaum stanął nawet na czele 66-osobowego klubu mniejszości narodowych, w którym posłów żydowskich było 35.

Mniejszości narodowe stanowiły w odrodzonej Polsce ok. 30 proc. z ponad 27-milionowej ludności – tak wynika ze spisu powszechnego przeprowadzonego w 1921 r. Polacy liczyli niespełna 70 proc., Ukraińcy – 14 proc., a Białorusini i Niemcy – po blisko 4 proc. 8 proc. Żydów oznaczało wtedy ponad 2,1 mln ludzi (10 lat później procent zbliżał się do 9, a liczba bezwzględna przekroczyła 2,8 mln; tuż przed II wojną – ponad 3 mln). Mieszkali oni na ogół w Polsce centralnej i na kresach, a stosunkowo najmniej było ich w dawnym zaborze pruskim (po 1871 r. nastąpił swoisty

Drang nach Westen Żydów z Wielkopolski, ze Śląska i z Pomorza, a ci, którzy pozostali, asymilowali się z Niemcami). Na przykład na Górnym Śląsku Żydzi stanowili 1 proc. mieszkańców, a na Wileńszczyźnie – 12 proc.

Społeczność żydowska, żyjąca niemal wyłącznie w miastach, była szalenie zróżnicowana. Biedota zamieszkująca miasteczka zwane shtetlami oraz zagęszczone dzielnice wielkomiejskie (takie jak warszawskie Nalewki) znała często jedynie jidysz, trwała w religijności chasydzkiej, stosowała się do porządku kahalnego, a świat zewnętrzny obchodziła jedynie wtedy, gdy wkraczał w jej życie z zakazami i nakazami, rzeczywistość czy wymaginowaną groźbą dla żydowskiego życia i mienia.

Z kolei na najwyższym piętrze drabiny społecznej znajdowali się przemysłowcy, finansjści, wydawcy, prawnicy i lekarze, w dużej mierze zasymilowani, niektórzy zaś – zwłaszcza piszący po polsku poeci i pisarze – całkowicie spolonizowani. W warstwach pośrednich dominowali ludzie zajmujący się większymi i mniejszymi interesami, kupcy, rzemieślnicy, studenci i uczniowie, obsługa synagog i kirkutów, z rabinami na czele.

Ciekawy obraz społeczności żydowskiej wyłania się z prozy Isaaca Bashevisa Singera, a szczególnie z autobiograficznej książki „Miłość i wygnanie”. Własny stosunek do polskiego państwa wyraził staraniami o wizę amerykańską oraz głodowaniem, by – wychudzonego – nie zakwalifikowano go jako zdolnego do

służby w polskim wojsku. Lękał się koszarowego życia, zwłaszcza że był kiedyś świadkiem upokorzeń, jakie podróżni żydowscy znosili w pociągu ze strony polskich zdemobilizowanych młokosów. Jednakże o Piłsudskim złego słowa nie powiedział, a mimowolnie chwalił polskie więzienia, gdzie jedna z jego kochanek, zażarta komunistka, mogła spędzić zimę w cieple i najedzona. Notabene Florence Noiville, autorka jego biografii, przypuszcza, że pod postacią owej komunistki Singer opisał matkę własnego dziecka, od której uciekł do Ameryki. Przypadki antysemityzmu Singer odnotowuje zwykle ogólnymi stwierdzeniami o „atakach na Żydów” oraz krytyką publicystyki Adolfa Nowaczyńskiego.

Singer spotykał w Warszawie na ogół syjonistów o lewicowych poglądach oraz komunistów („niemal wszyscy komuniści byli Żydami”), którzy wykonywali rozkazy z Moskwy, spiskowali przeciw Polsce i grozili, że w razie przyjścia Sowieców poderżną mu gardło jako synowi rabina. O chasydach napisał z kolei: „O niektórych z nich wiadomo było, że są oszustami. Bankrutowali co parę miesięcy i zwracali producentom towar za połowę albo trzecią część wartości”. Wyjazdy do Palestyny z syjonistami go nie interesowały; autonomia w Polsce także nie.

Żydzi i Niemcy

W odróżnieniu od Jeske-Choińskiego historyk Feliks Koneczny zwracał uwagę na żydowskie projekty Judeo-Polonii tworzonej w oparciu nie o Rosję, ale o Niemcy, szczególnie podczas I wojny światowej. O Żydach pisał: „[...] gdy Niemcy zajęli Warszawę [w 1915 r. – przyp. M.R.], witali ich entuzjastycznie. Od dawna przymilali się w Berlinie tym, że żargon jest niemieckim dialektem, oni zaś przodownikami germanizacji. Zaraz we wrześniu 1914 roku założono w Berlinie »komitet oswobodzenia Żydów wschodnich«, który za pośrednictwem neutralnej Kopenhagi organizował w prasie europejskiej nagonkę na Polskę. [...] Zmówili się przeciwko Polsce Żydzi zewsząd. Kłamstwem, jakoby w Polsce były »pogromy«...”

Celem miało być właśnie utworzenie żydowskiego państwa kosztem Polski. Tak to oceniał: „[...] w XX wieku miało rozwinąć się świadome i konkretnie

obmyślane dążenie do Judeopolonii terytorialnej, by wyciąć naprawdę »kawał Polski« dla Żydów, na państwo wyłącznie żydowskie. Wytknięto sobie cel śmiały, a przez pewien czas okoliczności tak się składały, iż mimo swej śmiałości zdawał się nietrudnym do urzeczywistnienia. Nie porzucano jednak przez to metody poprzedniej, żeby tworzyć państwo żydowskie na spółkę z tubylcami, z gojami, na całym obszarze ziem polskich, ażeby na miejsce państwa polskiego wsunąć nowy rodzaj państwa żydowsko-polskiego, Judeopolonię oficjalną, uznawaną i przez Polaków, i przez czynniki międzynarodowe”.

Być może najbliżsi urzeczywistnienia tych planów byli Żydzi podczas I wojny światowej. Oto w sierpniu 1914 r. Max Bodenheimer z Niemieckiego Komitetu Wyzwolenia Żydów Rosyjskich ostrzegał władze II Rzeszy Niemieckiej przed irredentą Polaków z trzech zaborów i próbą wskrzeszenia państwa polskiego. Dlatego proponował Niemcom utworzenie na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej, po odebraniu ich Rosji, buforowej Federacji Wschodnioeuropejskiej od Bałtyku do Morza Czarnego. Rządziliby nią Niemcy liczący 1,8 mln. Władcą (z siedzibą w Lublinie, gdzie w czasach I Rzeczypospolitej zbierał się żydowski Sejm Czterech Ziem) byłby książę z dynastii Hohenzollernów. Armia miałaby niemiecki korpus oficerski, a urzędowym językiem byłby niemiecki. Najłatwiej byłoby go używać Żydom, liczącym 6 mln, najbardziej przy tym przyjaznym i lojalnym wobec niemieckich panów. Będąc gorliwymi nosicielami kultury niemieckiej, stanowiliby najlepsze oparcie dla Niemców. Niżej staliby Polacy (8 mln), Ukraińcy (5–6 mln), Białorusini (4 mln), Litwini i Łotysze (3,5 mln).

Wspomniany już Jerzy Robert Nowak powołuje się na emigracyjnego historyka Iwona Cypriana Nowakowskiego, który tak ocenił ów projekt: „[...] nowe państwo buforowe miało być zdominowane przez około sześć milionów żydowskich mieszkańców, podczas gdy inne narodowości byłyby sobie nawzajem przeciwstawiane. Żydzi graliby najważniejszą rolę dzięki ich rozmieszczeniu, kontrolowaniu przez nich handlu i wysokiemu stopniowi wykształcenia, a Polacy mieli »najmniej skorzystać« jako naród na proponowanym przez żydowski komitet nowym niemieckim protektoracie” („Jews in Poland. A documentary history”, New York 1998).

Na szczęście do realizacji owego projektu nie doszło, gdyż Niemcom jeszcze bardziej odpowiadało utworzenie w środkowo-wschodniej Europie pasma wasalnych państweczek narodowych, z Królestwem Polskim włącznie (Mitteleuropa). Storpedowanie zamysłu żydowskiego zawdzięczamy w pewnej mierze majorowi niemieckiego sztabu generalnego, Polakowi z pochodzenia Bogdanowi Hutten-Czapskiemu, a jeszcze bardziej bohaterstwu polskich legionistów pod Kostiuchnowką (lato 1916 r.), które wzbudziło taki podziw gen. Ericha Ludendorffa, że zalecał odtworzenie Królestwa Polskiego i bitnej armii Polaków. Stąd akt 5 listopada 1916 r.

Po dwóch latach, gdy Polacy sami zaczęli budować zjednoczoną, unitarną Rzeczpospolitą, Żydzi w kraju (znowo

100 lat temu zażądali w Sejmie Ustawodawczym autonomii żydowskiej – Samuel Hirszhorn – nie dostał się już potem do Sejmu. Zajmował się tłumaczeniem literatury żydowskiej z jidysz i hebrajskiego na polski. W 1942 r. popełnił samobójstwo w getcie warszawskim, gdy tak lubiani przez Żydów Niemcy rozpoczęli jego likwidację.

Koneczny: W kilka lat potem poczęli pracować metodą drugą, tj. żeby osiąść także państwo odrębne terytorialnie. Promotorem stało się wielkie stowarzyszenie Agro-Joint, które posiadało tytuł własności ziemi, wyznaczonej na żydowskie osady rolnicze na Krymie, w części Ukrainy i Białorusi (osadnicy są tylko stałymi dzierżawcami). Instytucja ta wystąpiła w listopadzie 1927 r., w Chicago, z postulatem żydowskiej kolonizacji Polesia tuż obok



Cmentarz żydowski w Pruszkowie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Grünbaum!) i na Zachodzie usiłowali temu zapobiec oskarżeniami o organizowanie pogromów przez władze polskie. W 1919 r. amerykańska komisja rządu USA pod przewodnictwem Henry’ego Morgenthaua po dwóch miesiącach badań stwierdziła osiem wynikających z warunków wojennych większych ekscesów (nie – pogromów!), których władze polskie nie były inicjatorami, lecz – przeciwnie! – które starały się poskramiać, podobnie jak wszelkie objawy antysemityzmu.

Posel kolejnych kadencji Sejmu, działacz syjonistyczny, adwokat i dziennikarz Izaak Grünbaum wyjechał z Polski w 1932 r., aby zakładać państwo żydowskie w Palestynie. Drugi z posłów, którzy

żydowskich osad po stronie bolszewickiej, oficjalnie i „zupełnie i zdecydowanie” przedstawiono to ambasadorowi polskiemu w Ameryce w grudniu 1930 r. Dziwnie wzmagala się żydowska buta i pewność siebie w stosunku do Polski. Typowe było wystąpienie posła Grünbauma w Sejmie, który po uchwaleniu ustawy o spoczynku niedzielnym pozwolił sobie huknąć na całą salę: „W tej chwili utraciliście Wilno i Lwów!” (Znaczyło to, że jako Żydzi rozporządzają dostatecznymi wpływami, by dokonać zemsty okrojeniem granic państwa polskiego, skoro nie chce być Judeo-Polonią; znaczyło to, że Polska może poczuć, jak dalece na terenie międzynarodowym zawisła jest od Żydów).

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



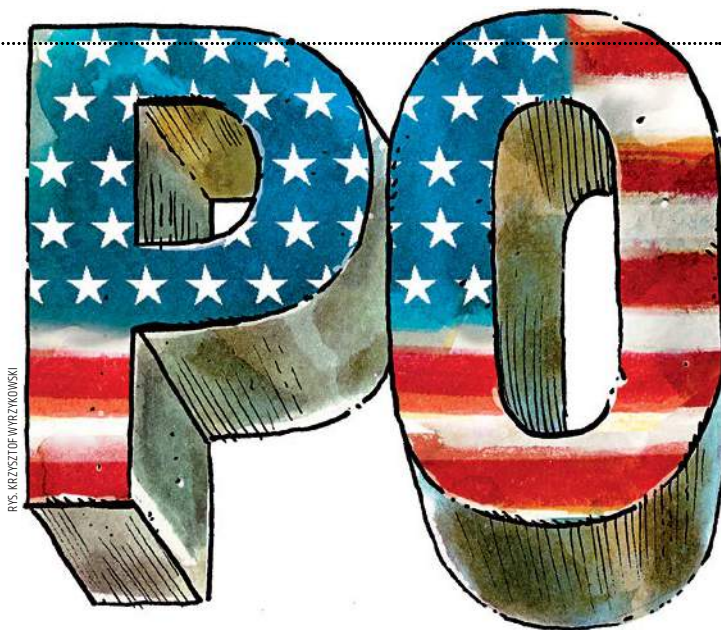
Marian Zacharski

/ Dzięki pomocy byłego agenta GRU Grombach sporządził listę agentów sowieckich w strukturach Office of Strategic Services

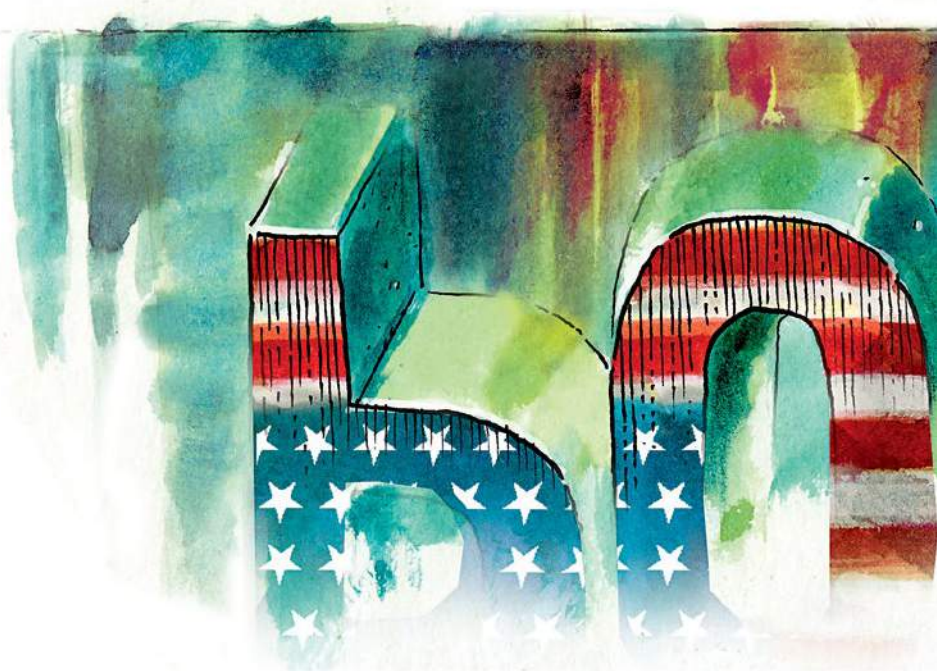
Kiedy wymienia się kolejne amerykańskie służby wywiadowcze, zwykle na tej liście znajdujemy OCL, OSS, SSU, CIA, DIA, NSA itd. Uwadze dyskutantów umyka działająca 13 lat (1942–1955) organizacja, która skrywana była pod nazwą POND. W roku 2001 w zwykłej szopie w Wirginii odnaleziono część zaginionych akt tej organizacji, które z miejsca trafiły w ręce CIA, a z czasem – ale tylko starannie wyselekcjonowane teczki – do jej historyków.

Zbiór ten stał się trudnym do podważenia potwierdzeniem wielu tez zawartych w opublikowanej w roku 1977 książce zatytułowanej „The Great Liquidator”. Jej autorem był pomysłodawca i twórca POND, ppłk John Grombach, z racji pochodzenia (jego ojciec był konsulem francuskim w Nowym Orleanie) znany w środowisku ludzi wywiadu jako „Francuz”.

Urodzony w 1901 r. Jean (po naturalizowaniu John) zaraz po ukończeniu 18. roku życia zrzekł się obywatelstwa francuskiego i podjął studia w słynnej akademii wojskowej West Point. Wiedzę wchłaniał z zapalem. Oprócz dobrych wyników w nauce dał się poznać jako świetny bokser (później napisał m.in. „9000 lat historii boksu”) i lekkoatleta. Charakter miał trudny. Miał kilka przewinień, które spowodowały, że w 1923 r. ukończył akademię z pewnymi ograniczeniami. Wstrzymano mu wydanie patentu oficerskiego. Po latach niektórzy twierdzili, że owe restrykcje były elementem budowania przez armię legendy niezbędnej do wykorzystania jego talentów konspiracyjnych w rozpracowywaniu nieprawidłowości zderających struktury armii. Cierpliwość popłacała i po latach dostał zasłużony patent.

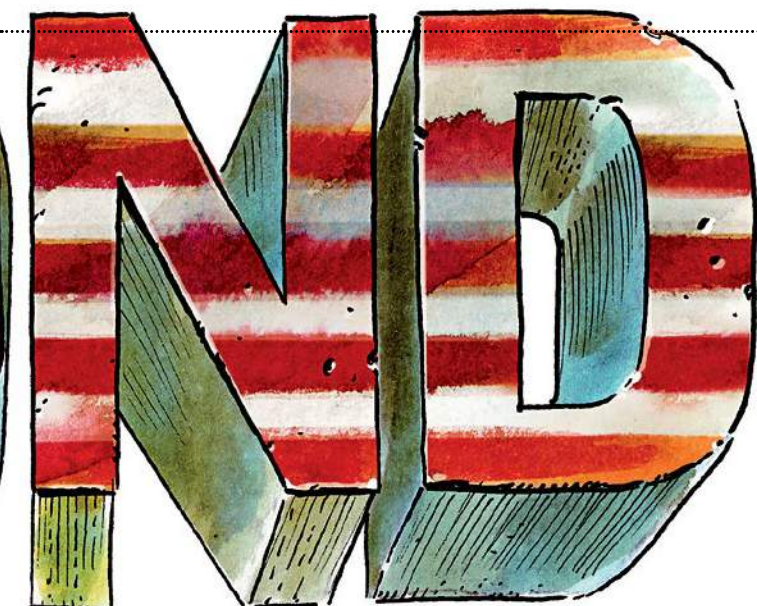


RYS. KRZYSZTOF WARCZAKOWSKI



XX w. / Z dziejów wywiadu USA

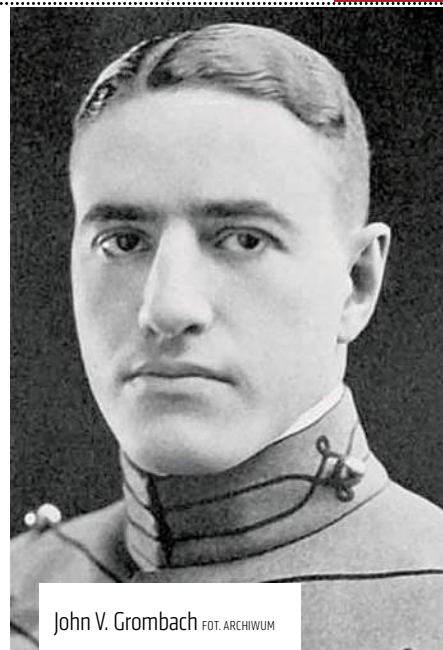
Amerykane kontra agencji KGB



Pierwsze pięć lat służby spędził w żandarmerii wojskowej. Przez pewien czas służył w rejonie Kanału Panamskiego, gdzie otarł się o działalność służb informacyjnych. Piastował funkcję asystenta w strukturach wywiadu G2. Po przejściu do cywila nie zerwał całkowicie więzów z wojskiem, został bowiem członkiem Gwardii Narodowej w Nowym Jorku. Wykorzystując doskonałe biznesowe kontakty ojca, podjął współpracę z kilkoma ważnymi firmami. Uczestniczył też w ściśle tajnym projekcie wywiadowczym, w którym pracowano nad szerokim użyciem techniki radiowej do transmisji informacji wywiadowczych.

Tuż przed japońskim atakiem na bazę w Pearl Harbor na Hawajach powołany

został do służby wojskowej w stopniu kapitana i niemal od razu skierowany do pracy w strukturach Office of the Coordinator of Information (krótko potem nazwa ta została zmieniona na OSS-Office of Strategic Services), którą kierował płk William Donovan. W Bellmore na Long Island miał się zająć organizacją jednostki specjalizującej się w technikach zarówno budowania, jak i łamania kodów oraz szyfrów. Postawione przed nim cele miały się z jego skrytymi planami stworzenia ściśle utajnionej, działającej nieszablono, koniecznie poza biurokracją rządową, organizacji wywiadowczej i kierowania nią. Pomysłem zaraził szefa departamentu wywiadu armii amerykańskiej gen. mjr. George'a Stronga i jego



John V. Grombach FOT. ARCHIWUM

zastępcę, a jednocześnie szefa wywiadu wojskowego w Departamencie Wojny, gen. bryg. Hayesa Kronera. Wszyscy po części mieli dosyć Williama Donovana, który kierując OSS, nieustannie starał się skupiać na sobie wielką uwagę zarówno kręgów decyzyjnych, jak i wielu warstw społeczeństwa. Jednym słowem, mówiąc dzisiejszym językiem, miał parcie na szkło. Chciał być obecny w mediach i koniecznie zauważany oraz podziwiany. Wymyślono nawet nową żartobliwą nazwę dla skrótu kierowanej przez niego organizacji OSS – Oh So Social. Zarzucano mu, że bardzo blisko, dla wielu zbyt blisko, współpracując z Brytyjczykami, nawet nie starał się przejąć od nich twardych zasad ani reguł dyskrekcji, że zatrudniał w szeregach OSS komunistów i że jego rażący brak profesjonalizmu był zagrożeniem dla dochowywania tajności zdobywanych informacji.

Piec sowietofila

Grombach wezwany przez generałów do Waszyngtonu z radością przyjął misję utworzenia nowej, konkurencyjnej dla OSS, najściślej tajnej, realizującej daleko sięgające cele organizacji wywiadowczej. Pierwszy budżet na rok 1942 wynosił 150 tys. dol. Zanim przyjęła się wymyślona przez Grombacha nazwa POND [staw], w odróżnieniu od LAKE [jezioro] oznaczającego cały wywiad armii G2, organizacja ta ukrywana była pod dwoma innymi szyldami: Coverage and Indoctrination Branch, a potem Special Service Branch. ■

■ Przykryciem dla jej funkcjonowania były znane koncerty oraz niektóre zagraniczne placówki Departamentu Stanu.

W strukturach administracji amerykańskiej wiedza o istnieniu POND była ograniczona do prezydenta i jego najbliższych współpracowników oraz kilku wysokich urzędników departamentów wojny i stanu. Ze względu na kaliber i treść zdobywanych informacji Grombach pozostawał także w poufnych kontaktach z kilkoma decydentami Federalnego Biura Śledczego (FBI), a w szczególności z szefem Oddziału Wywiadu Wewnętrznego, Mickeyem Laddem. POND zawarł formalną umowę z Departamentem Stanu, dzięki której uzyskał zgodę na wykorzystywanie oficerów służby zagranicznej do wypełniania funkcji szefów placówek wywiadowczych. Osoby te nie musiały spowiadać się kierownikom placówek, w których wypełniały oficjalne misje, z realizacji tajnych zadań.

Swoboda funkcjonowania wzmocniona była osobnym funduszem operacyjnym. Wysoce nietypowe było to, że oficerowie wytypowani do pracy za granicą przechodzili bardzo krótkie szkolenie i ze strony centrali mieli zagwarantowaną pełną swobodę w doborze metod zdobywania niejawnych informacji. Oceniani byli za wyniki, a nie za zakres wykształcenia czy bon ton (zachowywanie dobrych manier). Osobnym, istotnym kanałem wykorzystywanym przez oficerów POND były firmy handlowe posiadające biura na różnych kontynentach. Najważniejszą lub najbardziej znaną była holenderska N.V. Philips Gloeilampenfabrieken, która po ataku na Pearl Harbor nie pozostała bierna i sama zaproponowała OSS i G2 udzielenie pomocy logistycznej w różnych zakątkach świata, w tym w krajach okupowanych przez państwa Osi. Propozycja została przyjęta i od tego czasu Philips ułatwiał naturalne przykrycie operacyjne oraz wspomagał finansowo ludzi Grombacha. OSS został wyłączony z tej kooperacji na stanowcze życzenie gen. Stronga, który w liście do Donovana w sposób klarowny sprecyzował stanowisko wywiadu G2. Szef OSS podporządkował się woli generała.

Grombach był zdecydowanym antykomunistą. Dużą część swojej działalności skupiał na identyfikowaniu działaczy komunistycznych zaangażowanych w penetrację i działalność wywrotową przeciwko państwom alianckim, z oczy-

wistym naciskiem na Stany Zjednoczone. Wielki wpływ na jego poglądy miała znajomość z oficerem rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU, Aleksandrem Grigorjewiczem Barminem, który w końcu 1935 r. podjął pracę na stanowisku chargé d'affaires w ambasadzie sowieckiej w Atenach. W 1937 r. wzywany do powrotu do Moskwy zdecydował się na ucieczkę przed czystkami stalinowskimi. Początkowo zamieszkał we Francji, a następnie w USA. Swoje losy opisał w książce „One Who Survived”. To głównie dzięki jego pomocy w 1942 r. Grombach mógł sporządzić listę agentów sowieckich pracujących w strukturach OSS.

Informacje te nie zostały należycie odebrane przez światków ówczesnych polityków amerykańskich. Ich zdaniem trudna sytuacja na frontach, siła i wa-

Oficerowie mieli pełną swobodę w doborze metod zdobywania informacji. Oceniani byli za wyniki, a nie za zakres wykształcenia czy bon ton

lecność niemieckiej armii oraz floty wojennej wymagały współpracy, a nie zadrastania relacji z Rosją sowiecką. Pomimo atmosfery panującej w kręgach decyzyjnych Waszyngtonu Grombach nie zamierzał się poddawać. Zdobywał cenne informacje i sporządzał raporty, wierząc, że wreszcie przełamie opór materii w sprawach dotyczących Rosji sowieckiej. Trwało to długo. Po pewnym czasie drogą operacyjną dowiedział się, że niemal trzy czwarte jego raportów na temat działań rosyjskich agentów nie docierało do analityków wywiadu. Okazało się, że tym, który nie dopuszczał do prawidłowego obiegu dokumentacji przekazywanej przez POND, był dyrektor wywiadu G2, płk Alfred McCormack.

Sprytny Grombach zawarł przymierze z sierżantem, który obsługiwał piec do spalania dokumentów. Dzięki temu nie tylko odzyskiwał skierowane do zniszczenia raporty, lecz także, a może przede wszystkim, mógł zaznajamiać

się z komentarzami własnoręcznie wypisanymi na nich przez McCormacka i jego najbliższych współpracowników. Pomimo posiadania niezbitych dowodów na działania McCormacka Grombach pozostawał w arcytrudnej sytuacji, bo jego „przeciwnik” cieszył się pełnym zaufaniem i wsparciem sekretarza wojny Henry’ego Lewisa Stimsona, szefa sztabu armii gen. George’a Catletta Marshalla, a także znanego nowojorskiego prawnika i bankiera Johna McCloya, który po japońskim ataku na bazę Pearl Harbor z dnia na dzień mianowany został na stopień pułkownika i skierowany do pracy na stanowisku asystenta sekretarza Departamentu Wojny.

Trudna współpraca z McCormackiem nie obniżała u Grombacha poziomu nienawiści do komunizmu i jego wyznawców. Chcąc „wyrównać rachunki”, rozpoczął gruntowne badania nad komunistycznymi działaniami o charakterze wywrotowym. Temat ukryty był za kryptonimem Projekt 1641. W końcowym raporcie zamieścił m.in. listę dokumentów już zniszczonych lub przeznaczonych do wrzucenia do pieca decyzjami McCormacka i jego najbliższych współpracowników, wymienił nazwiska amerykańskich komunistów działających, jego zdaniem, na rzecz interesów Rosji. Wśród nich pojawili się Alger Hiss i Carl Marzani. Obawiając się kolejnego zamiatania pod dywan, wspomnianą listę przekazał także FBI.

600 agentów w 32 krajach

Ogólna analiza działalności wywiadu POND wskazuje, że zarówno w okresie wojny, jak i po jej zakończeniu bardzo ważną placówką był Budapeszt. To tam zdobywano wiele informacji pochodzących od przedstawicieli węgierskiego rządu rezydujących np. w Berlinie czy Warszawie. Do centrali docierały via Lizbona, gdzie w placówce POND pracował m.in. oficer służby zagranicznej Edward S. Crocker, koordynujący przepływ poczty. Tą drogą Amerykanie pozostawali również w dyskretny łączności z regentem Węgier, adm. Horthym.

W Lizbonie Grombach podejrzewał asystenta militarnego attaché, a jednocześnie lokalnego (od 1942 r.) szefa pla-

cówki OSS, płk. Johna Solborga (notabene urodzonego w 1892 r. w Warszawie syna generała armii carskiej, który w 1916 r. został wysłany do Waszyngtonu do pracy w rosyjskiej misji dokonującej zakupów broni amerykańskiej), o sabotowanie działalności POND, a nawet o wrogą pracę agenturalną. Coś było na rzeczy, bo wysoki dostojnik MI5, Guy Liddell, w swoich dziennikach pisał wyraźnie: „Niemcy otrzymali pewną ilość informacji od płk. R. Solborga, militarnego attaché USA w Portugalii, którego niedyskrecja jest nam dobrze znana”. To samo powtórzył Nigel West w opublikowanym w 2007 r. „Historycznym słowniku wywiadu w okresie II wojny”, pisząc, że „Robert A. Solborg z OSS był wyjątkowo niedyskretny i według brytyjskiego źródła w lizbońskiej Abwehrze był on jedynym źródłem przecieków do Niemców”. Solborg opuścił Lizbonę w lipcu 1945 r. Tuż przed wyjazdem zaproszony został na 40-minutową audiencję u Salazara, z której sporządził obszerną i bardzo interesującą notatkę. Grombach, nie mając wpływu na obsadę personalną w OSS, na wszelki wypadek przeniósł realizację niektórych operacji poza Portugalie.

Opierając się na dotychczas ujawnionych dokumentach oraz opublikowanych wspomnieniach ppłk. Grombacha, można przyjąć, że kierowana przez niego służba operowała w 32 krajach, w których dysponowała ok. 600 agentami. Trzeba przyznać, że ich dobór był nieszablony. Francuski lekarz Marcel André Henri Petiot oprócz pracy agenturalnej był także seryjnym mordercą. Według Grombacha pan doktor, lecząc zgłaszających się do niego pacjentów, wyciągał od nich cenne informacje. Do stałych bywalców jego gabinetu należeli niedomagający oficerowie Abwehry pracujący na terenie Paryża, a także uciekinierzy z Europy Wschodniej, w tym Polacy. W 1942 r. zdobył i przekazał informacje o masowym mordzie polskich oficerów w Katyniu. O fakcie tym Grombach natychmiast pisemnie zawiadomił centralę w Waszyngtonie, ale McCormack – uważając, że nie należy drażnić tak ważnego alianta, jakim była Rosja – zatrzymał dalszą dystrybucję tej dramatycznej wieści.

W maju 1942 r. dr Petiot poinformował POND o umieszczeniu i funkcjonowaniu zakładów produkujących broń V-1 i V-2 w Peenemünde. Po sprawdzeniu rzetelności tej informacji m.in. przy użyciu

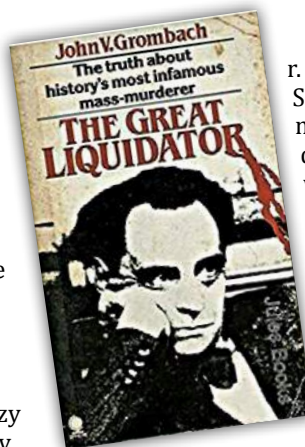
łodzi rybackich, z których miano wykonać wiele zdjęć, całość zebranej informacji przekazano do centrali drogą kurierską via Sztokholm i Londyn. „Od zawsze” na trasie Sztokholm–Londyn kurierami byli Anglicy. Po pewnym czasie Grombach zaczął podejrzewać, że specjalnie pakowana i lakowana poczta była tajnie otwierana w tranzycie lub tuż po dotarciu do Londynu. Analizy specjalistów z FBI potwierdziły jego przypuszczenia. Od tego momentu kurierami obsługującymi pocztę POND byli już wyłącznie Amerykanie.

11 marca 1944 r. sąsiedzi dr. Petiota, narzekając na swąd nie do zniesienia wydobywający się z okolic jego domu, spowodowali najazd policji i straży pożarnej. W piwnicy oraz w ogródku znaleziono szczątki 23 zaginionych osób. Petiot wpadł w ręce policji 31 października na stacji metra w Paryżu. Odmawiał przyznania się do zamordowania osób, którym wcześniej proponował ucieczkę do Ameryki Południowej w zamian za „stosowną” opłatę w wysokości 25 tys. franków od osoby. Zamiast wskazania trasy i łączników do obiecannej wolności klienci doktora byli obrabiani z kosztowności oraz mordowani. Podejrzewano, że miał na sumieniu nawet 60 zabójstw. Skazany został na karę śmierci.

Za ważną agentkę POND uważa się urodzoną w Lipsku jako Elfriede Eisler austriacko-niemiecką komunistkę Ruth Fischer, która z biegiem lat diametralnie zmieniła swoje poglądy polityczne i stała się zagorzałą antykomunistką. Była córką luteranki Marie Edith Fischer i profesora filozofii uniwersytetu wiedeńskiego Rudolfa Eislera. W 1941 r. wyjechała do USA. Wykorzystując m.in. doskonałe kontakty wśród działaczy komunistycznych, pod pseudonimem Alice Miller pracowała przez osiem powojennych lat, głównie na terenie Francji, jako agentka POND. Zmarła w Paryżu w 1961 r.

O związku z POND podejrzewa się również Szweda ratującego Żydów na terenie Węgier, Wallenberga. Potwierdzenie lub zaprzeczenie tej informacji będzie mogło nastąpić dopiero po otwarciu całości zachowanego zbioru dokumentów tej organizacji.

Powojenny okres POND to w dużej części walka o przetrwanie. Od 1946



r. decyzjami gen. Hoyta Sanforda Vandenberg a następowało konsolidowanie działalności wywiadowczej w ramach CIG (Central Intelligence Group). Politykę Vandenberg a kontynuował jego następca, wiceadmirał Roscoe Henry Hillenkoetter. Na przełomie lat 1947 i 1948 do gry wszedł niespodziewanie De-

partment Stanu, oferując POND budżet w wysokości 100 tys. dol. Kropla w morzu potrzeb, ale czytelny sygnał. Jednak szybko znaleźli się ci, którym nie po drodze były współpraca i finansowanie POND. Połączenie tej organizacji z utworzoną w 1947 r. CIA stawało się nieuchronne. Sprytna prowokacja przygotowana przez Angletona za wiedzą Allena Dullesa wywołała w szeregach amerykańskich decydentów przekonanie o nierzetelności Grombacha. W końcu 1954 r., a oficjalnie od 1 stycznia 1955 r., wcielony do CIA POND przestał istnieć jako niezależna organizacja.

Na pociechę Grombachowi pozostały celne spostrzeżenia i ostrzeżenia, jakie stał do waszyngtońskich decydentów. Tak było m.in. w przypadku sprawującego od 4 grudnia 1950 r. funkcję szefa niemieckiego Urzędu Ochrony Konstytucji Ottona Johna, którego oskarżał o brak solidności i stabilności ideologicznej. W kwietniu 1953 r. POND przesłał notatkę do FBI ostrzegającą przed finansowaną przez CIA wizytą Ottona Johna w Waszyngtonie. Jednocześnie w piśmie tym oficerowie POND domagali się zapobieżenia okazania niemieckiemu gościowi tajnych dokumentów amerykańskich. Grombach miał cichą satysfakcję, klasyczne schadenfreude, kiedy dowiedział się, że Otto John w niezbyt odległym czasie od powrotu z USA, gdzie spotkał się między innymi z Allenem Dullesem, 20 lipca 1954 r. przeszedł na drugą stronę i nagle pojawił się na konferencji prasowej w Berlinie Wschodnim. W jej trakcie Otto John m.in. oskarżył Adenauera o politykę remilitaryzacji i mianowanie byłych nazistów w osobach Theodora Oberländera i Reinharda Gehlena na wysokie stanowiska.

Resztę życia Grombach spędził na pisaniu książek.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

„Gniew Felicjana Zacha” / Historia ukryta w obrazie

Soma Orlai Petrich „Gniew Felicjana Zacha”

FOT. WĘGERSKA GALERIA NARODOWA

Tajemnica królowej bez palców



Leszek Lubicki

/ W krwawym zamachu okaleczona została Elżbieta Łokietkówna. Czy zbrodnia była zemstą za haniebne zachowanie jej brata Kazimierza Wielkiego?

Osoby oglądające popularny ostatnio serial „Korona królów”, a mniej znające historię zapewne dziwią się, dlaczego królowa Węgier Elżbieta, siostra Kazimierza Wielkiego, ciągle nosi na dłoniach rękawiczki. Czy był to wyraz jakiejś ówczesnej mody? Nic podobnego. Elżbieta nie miała czterech palców u prawej dłoni i nie był to efekt jakiejś

wady genetycznej. Królewskie palce zostały ucięte szablą. Do zamachu doszło, gdy Elżbieta była już żoną potężnego władcy, króla Węgier, Karola Roberta Andegaweńskiego.

Co mówi płótno

W Węgierskiej Galerii Narodowej w Budapeszcie znajduje się obraz, który namalował w drugiej połowie XIX w. węgierski malarz Soma Orlai Petrich, zatytułowany „Gniew Felicjana Zacha”. Widzimy na pierwszym planie starszego mężczyznę o siwej brodzie i włosach trzymającego obnażoną szablę w prawej dłoni. Lewą ręką przytula młodą kobietę. To węgierski magnat Felicjan Zach, a panna o blond włosach to jego córka, Klara. Po drugiej stronie stołu stojący z podniesioną ręką, z koroną na głowie, mówiący jakoby: „Powstrzymaj się, jam jest pan twój”, to król Węgier, Karol Robert. Siedząca kobieta to jego żona, królowa Elżbieta, córka Władysława

Łokietka. Obejmuje ona rękoma dwoje swoich dzieci. To królewicze węgierscy, Ludwik i Andrzej. Artysta zatrzymuje akcję w typowym dla malarstwa historycznego tzw. owocnym momencie, czyli w chwili bezpośrednio poprzedzającej wydarzenie, które niebawem dojdzie do punktu kulminacyjnego.

Za chwilę Felicjan Zach zacznie ciąć gdzie popadnie. Lekko zrani króla w rękę. Jeden z przekazów mówi, że Karol Robert schował się ze strachu pod stół, pozostawiając rodzinę na pastwę napastnika i dlatego nie odniósł poważniejszych ran ani nie zginął. Elżbieta Łokietkówna pozostała na miejscu, chroniąc dzieci. Widzimy, jak czule je obejmuje. Napastnik obcina jej momentalnie cztery palce u prawej dłoni w chwili, gdy podniosła rękę, aby chronić rodzinę. Oprawca dalej szaleje i zabija jeszcze dwóch dworzan. Malarz ukazuje za rozwścieczonym Zachem dworzanina trzymającego w ręce broń, którą zaraz niechybnie wbije w plecy napastnika. To podczasy królowej. Dopiero on zabija Felicjana Zacha.

Później, czego na obrazie już nie widzimy, do komnaty wpadają rycerze i ćwiartują zwłoki niedoszłego królobójcy. Całe zajście wyglądało mniej więcej tak, jak to opisałem. Nie było jednak w czasie tego wydarzenia, w tej komnacie, córki zamachowca Klary Zach. Był ponoć jego syn. Dlaczego więc artysta ją tam umieścił? Wyjaśnimy to za moment. Obraz ten jest więc malowidłem alegorycznym, mówiącym o zdarzeniu, które zaszło w Wyszehradzie, ówczesnej stolicy Królestwa Węgier, 17 kwietnia 1330 r. Tyle o obrazie, a teraz przejdźmy do przyczyn wydarzenia, o którym dzieło opowiada, zatrzymując się krótko na opisie konsekwencji, jakie poniósł cały ród Zachów.

Jurny Kazimierz

Po tej próbie zabójstwa Karola Roberta na bliskich Felicjana Zacha spada straszny odwet. W średniowieczu targnięcie się na władcę uważane było za zbrodnię stanu, a kary były straszne nawet jak na tamte czasy. W książce „Piastowie. Leksykon biograficzny” Stanisław A. Sroka tak opisuje następstwa zamachu:

„Zemsta na rodzinie Zachów była okrutna. Dosięgała nawet zupełnie niewinnych osób. Zwłoki Felicjana Zacha zostały poćwiartowane i rozesłane do wielu miast węgierskich, a jego głowa stała się wątpliwą ozdobą bramy wjazdowej wyszehradzkiego zamku. Straszny los spotkał również córkę Felicjana, znaną z piękności Klarę. Obcięto jej nos, wargi i palce u obydwu rąk. Skazano na ścięcie wszystkich męskich potomków rodu do trzeciego pokolenia. Ci, którym udało się zbiec, znaleźli ponoć schronienie w Polsce”.

Paweł Jasienica dodaje: „Ci i owi spośród jej [Klary Zach – przyp. L.L.] krewnych zdołali ująć do... Polski. Łokietek nikogo z nich nie wydał, czego by pewnie nie omieszkął uczynić, gdyby jego własny synalek błyszczał jak ła. Stary król był krewki i twardy, ale sprawiedliwy”. I w tych słowach naszego wybitnego eseisty historycznego zauważamy, że coś wspólnego z tym wydarzeniem miał potomek Łokietka, późniejszy król Polski, Kazimierz III Wielki. Co, skoro wówczas go tam nie było?



Kazimierz Wielki według Jana Matejki FOT. ARCHIWUM

Na temat zamachu na Karola Roberta przez stulecia narosło wiele teorii i oczywiście legend. W polskiej historiografii wywodzą się one od Jana Długosza, opisującego to wydarzenie ponad sto lat później. Po całym jakże literacko ubarwionym opisie zamachu oraz jego następstw kronikarz konkluduje:

„Twierdzą niektórzy, jakoby Felicyan rycerz z tej przyczyny w taką wpadł złość szaloną, że Elżbieta królowa Węgierska córkę jego Klarę, na swoim dworze bawiącą, bratu swemu Kazimierzowi, synowi Władysława króla Polskiego, który na ówczas w Węgrzech przebywał, a któremu Klara wielce do serca przypadła, wydała na sromotę, albo przynajmniej wstydu pozbawić dozwoliła: a to w ten sposób, że Kazimierz pragnący swojej chuci dogodzić, udał chorego i położył się w łóżku; poczem królowa Węgierska Elżbieta, która go więcej nieco niż brata miłowała, wiadoma dobrze, iż to była choroba serca, a nie ciała, bo pochodziła z miłości ku dziewicy Klary, przybywszy do niego niby w odwiedzin, powyprowadziła z pokoju usługujących choremu domowników, pod pozorom jakoby coś tajemnego mówić z nim miała, a sama tylko pozostała z rzeczoną Klarą, która z nią razem przybyła; potem wymówiwszy jakieś słowa pozorne, wyszła, a dziewicę Klarę u księcia Kazimierza zostawiła na zgwałcenie, uważając je za niewielki występki, i mniemając, że nawet nikt o nim wiedzieć nie będzie, i że bynajmniej nie nadweręży dobrej sławy Klary. [...] Dziewica bowiem Klara od księcia Kazimierza zgwałcona i do sytu użyta, zwierzyła się ojcu Felicy-

anowi ze swojej przygody, prosząc go i zaklinając, aby się pomścił jej krzywdy. Jakoż Felicyan tknięty nią do żywego, postanowił zgładzić króla i pana swego Karola, wraz z Elżbietą królową i ich dziećmi, wiedząc, że księżę Kazimierz z Węgier uszedł do Polski, a morderstwo spełniono w sposób powyżej opisany, jemu i całemu jego domowi największe zrodziło nieszczęścia”.

Zwróćmy uwagę na pierwsze słowa Długosza – „twierdzą niektórzy”. Wynika z tego, że jednak nie wszyscy wówczas kronikarze czy „plotkarze” jako przyczynę zamachu podawali zemstę ojca za krzywdę córki. Obecnie wydaje się, że niewiele się zmieniło. „Niektórzy” twierdzą, że królewicz Kazimierz dopuścił się zhańbienia w niecny sposób panny Klary, a „niektórzy” przeciwnie. Cytowany wcześniej Paweł Jasienica prawdopodobnie należał do tych, którzy wierzyli, że przyczyną zamachu było uwiedzenie Klary Zach. Weźmy jednak pod uwagę, że swoją „Polskę Piastów” pisał w czasie, kiedy nie było jeszcze tak gruntownych badań nad tym zagadnieniem jak obecnie.

Twórca obrazu, który ilustruje naszą opowieść, wydaje się, obstawiał także za pierwszym stanowiskiem, skoro umieścił postać dziewczyny na malowidle, sugerując w ten sposób widziwi, że to zemsta ojca za jej krzywdę. Plotki dworskie o romansie Kazimierza, a także brak palców u królowej, które straciła w wyniku zamachu – można było te dwa fakty połączyć w jedną historię i tak zapewne uczynił malarz, tym bardziej że brzmi to atrakcyjnie i sensacyjnie, co przyciąga widza do

obejrzenia dzieła, a tym samym mogło przynieść mu sławę. Poza tym gruntowne badania na temat zamachu Felicjana Zacha zaczęły się dopiero w drugiej połowie XIX stulecia, więc malarz w sumie miał prawo, bez naciągania, tak to wydarzenie przedstawić.

Długosz prawdopodobnie wiedzę łączącą Kazimierza z zamachem nabył od austriackiego kronikarza Heinricha von Mügeln, który zapisał, że Kazimierz za wolą królowej Elżbiety spał z córką Zacha i dlatego magnat ten poszedł do Karola Roberta, gdy z rodziną jadł śniadanie „i wyciągnął miecz oraz zranił króla, a królowej obciął cztery palce, chciał bowiem zniszczyć królewskie nasienie”. Jest jeszcze jedna kronika – włoska – gdzie zapisano, że „córkę Felicjana zgwałcił siostrzeniec króla”. Kronikarz miał zaczerpnąć taką wiedzę od dworzan królowej Elżbiety, gdy ta bawiła w Rzymie w roku 1343. Z wyjątkiem tych dwóch inne współczesne kroniki nie łączą ewentualnego czynu Kazimierza z zamachem na Karola Roberta. Przede wszystkim takiej informacji nie znajdziemy w czeskiej kronice Benesza, który był w Krakowie, i w Budzie, a zatem wiedzę miał z pierwszej ręki. Ten cios spadł na Kazimierza dopiero później stworzony na potrzeby polityki przez jego wrogów, szczególnie Krzyżaków.

Jak pisał Paweł Jasienica: „Zszargana opinia nie była pomyślną kartą, a zwłaszcza już w grze przeciwko Krzyżakom, którzy zawsze mieli na propagandowe usługi całe niebo, piekło i pełny wieniec cnót ewangelicznych”. Dodajmy tylko, że królewicz Kazimierz bawił na węgierskim dworze w misji dyplomatycznej na przełomie lat 1329 i 1330. Wysłał tam go ojciec, aby poprosił swojego szwagra o pomoc wojsk węgierskich przeciwko zakonowi.

Obecnie raczej się dowodzi, że zamach na króla Węgier był już wcześniej planowany przez grupę węgierskich możnych w celu obalenia Karola Rober-

ta, więc ewentualny haniebny czyn Kazimierza nie miał z nim nic wspólnego.

Spisek przeciw królowi

Nowe fakty przedstawia Stanisław A. Sroka w artykule „Zamach Felicjana Zacha w świetle najnowszej historiografii węgierskiej”. Autor przeanalizował wiele kronik, a także współczesnych nam prac naukowych, przede wszystkim węgierskich uczonych. Swoje dociekania podsumowuje w następujący sposób: „Opublikowane w ostatnich latach prace historyków węgierskich poświęcone zamachowi Felicjana Zacha rzucają promyk nowego światła, który przybliżył nas do rozwiązania tej skomplikowanej historycznej zagadki. Jeśli badania [...] przetrwają próbę czasu i okaże się, że zamach Felicjana Zacha był zorganizowanym spiskiem grupy możnych [...], to wówczas będziemy musieli w zupełnie innym świetle przedstawić rolę królewicza Kazimierza w tym tragicznym wydarzeniu. Teza

o planowanym zamachu na rodzinę królewską z pewnością działa na korzyść polskiego królewicza, który być może nie miał nic wspólnego z wydarzeniami, jakie rozegrały się w pobliżu zamku wyszehradzkiego w kwietniu 1330 r.”.

Jak pisze najwybitniejszy bodaj biograf Kazimierza Wielkiego prof. Jerzy Wyrozumski: „Być może jednak sprawa nie była od a do z zmyślona. Trudno twierdzić, że obdarzony bujnym temperamentem królewicz Kazimierz nie mógł wdać się w jakiś romans na węgierskim dworze, że romans taki nie mógł wywołać skandalu czy plotek. Gdyby jednak Kazimierz był sprawcą tak głośniejszą sprawą Zacha, źródła współczesne nie mogłyby o tym milczeć”.

Jak widać, tego, że polski królewicz miał miłośćkę z Klarą, nikt raczej nie wyklucza. Żeby jednak mówić

o gwałcie czy zmuszaniu jej – to już przesada. Dwie piękne, młode osoby mogły mieć się zwyczajnie ku sobie. I po prostu przespały się ze sobą, pomimo że królewicz był już od pięciu lat żonaty z Aldoną Anną. Co to jednak miało za znaczenie – takie stosunki to dworska norma, szczególnie w tak wówczas światowym miejscu jak dom Andegawenów. Nikogo to nie poruszało, najwyżej było przedmiotem plotek wśród dworzan, którzy i tak nie mieli nic innego do roboty. A łączenie „bujnego temperamentu” Kazimierza z gwałtem to raczej pomyłka. Nie można także wykluczyć, że Klara weszła mu do łóżka, wykonując polecenie władczyni. Może chciała przypodobać się królowej i móc dalej brylować na dworze, wiedząc, że Elżbieta bardzo kocha swojego brata i wszystko by dla niego uczyniła?

Badania historyków nad przyczyną zamachu Felicjana Zacha na węgierską rodzinę królewską trwają nadal. Czy kiedyś zostaną one jednoznacznie wyjaśnione – czas pokaże. We wspomnianym na początku serialu „Korona królów” wyrok zapadł. Kazimierz został uznany za winnego gniewu Felicjana Zacha.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Felicjan Zach. Obraz Viktora Madarasa

FOT. WĘGERSKA GALERIA NARODOWA

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNERZY



Co dalej z Instytutem



dr hab. Adam
Leszczyński

Leszczyński: Skasować!

PIOTR WŁOCZYK: Jaką przyszłość widzi pan dla IPN?

DR HAB. ADAM LESZCZYŃSKI: Jeżeli PiS wygra wybory parlamentarne, to nic się nie zmieni. Jeżeli je przegra, to możliwe są różne scenariusze. Najbardziej radykalny, za którym opowiada się zarówno część historyków – w tym ja – jak i oficjalnie opozycja, to likwidacja tej instytucji. Jeszcze dekadę temu miałem wobec IPN dużo zastrzeżeń, ale uważałem, że można go uratować. Teraz sądzę, że degeneracja tej instytucji poszła za daleko.

Polsce nie jest potrzebna centralna instytucja dbająca o pamięć narodową?

IPN stał się politycznym narzędziem PiS. Nikt tego nie ukrywa. Efektem jest m.in. utrata wiarygodności. Przykład? Teksty o stosunkach polsko-żydowskich pisane przez pracowników tej instytucji nie są traktowane poważnie przez szanowanych badaczy na świecie. Właśnie dlatego, że piszą je urzędnicy z misją polityczną zleconą przez politycznego nominata, którym jest prezes IPN.

IPN też moim zdaniem głęboko zafałszowuje polską historię – na poziomie całej opowieści. Gloryfikuje np. żołnierze wykłętych, którzy w rzeczywistości byli niewielką częścią opozycji antykomunistycznej. Opór wobec komunizacji kraju miał głównie charakter polityczny i był skupiony wokół PSL. Tymczasem tego tematu praktycznie w ogóle nie widać w narracji IPN, a cała para idzie w kult żołnierzy wykłętych.

Żołnierze wykłęci byli w PRL skazani na zapomnienie, zepchnięci na kompletny margines. Instytucje wolnej Polski nie powinny naprawić tej wielkiej niesprawiedliwości?

Rozumiem ten argument i to prawda, że żołnierze wykłęci byli traktowani w PRL jak bandyci. Jedni słusznie, a inni niesłusznie lub częściowo niesłusznie. Trzeba przywrócić pamięć o tych, którzy przysłużyli się Polsce, ale nie można wychwalać ich hurtem. Byli różni.

Przypomnę ostatni komunikat IPN w sprawie „Burego”. Instytut zakwestionował wyniki śledztwa własnego prokuratora z 2005 r., który uznał, że „Bury” dopuścił się zbrodni ludobójstwa. Efektem tego komunikatu był konflikt dyplomatyczny z Białorusią. To jest wariactwo. Ta instytucja została skolonizowana przez ludzi o skrajnie prawicowych poglądach, którzy niekiedy są nawet na prawo od PiS.

Co miałyby się pojawić w miejscu IPN?

Mniejszy i apolityczny instytut, który zajmie się badaniem przeszłości najnowszej bez nacisków polityków i politycznego zadania. Dzisiejszy pion badawczy należy rozwiązać. Nowy instytut powinien prowadzić też badania na poziomie światowym pod względem metodologicznym. Większość prac IPN, które czytałem, jest napisana według XIX-wiecznej, pozytywistycznej metodologii – nawet nie XX-wiecznej. Natomiast archiwa powinny trafić do Archiwów Państwowych.

W czasach rządów SLD i PO nie widział pan w IPN polityki?

Oczywiście, że widziałem, i pisałem o tym, ale poziom upolitycznienia wtedy i dziś jest nieporównywalny. W strukturę działania tej organizacji od początku wpisany jest defekt – wpływ polityki. Pomóc może tylko likwidacja instytutu i powołanie na jego miejsce czegoś nowego.

Profesor Andrzej Friszke, który przestrzega przed radykalnymi krokami w tej sprawie, zwracał uwagę w „Gazecie Wyborczej” na dwie sprawy. Po pierwsze IPN wydaje wiele wartościowych książek, których nikt inny nie chciałby publikować, a po drugie likwidacja instytutu oznaczałaby utratę pracy dla wielu dobrych histo-

ryków. Friszke uważa, że nie wszyscy oni byłiby w stanie znaleźć zatrudnienie na uczelniach.

Bardzo szanuję hab. Friszkego, ale nie ma tu racji. Można stworzyć wydawnictwo, które nie jest IPN które wydaje niszowe, wartościowe książki. Nie można też traktować instytucji publicznej jak urzędu pracy. Część dobrych historyków znalazłaby miejsce w nowym, mniejszym instytucie, a reszta musiałaby poszukać nowego zajęcia. Nie ma powodu, żeby polski podatnik miał utrzymywać IPN w obecnej formie.

Dr hab. Adam Leszczyński jest historykiem, byłym dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, współzałożycielem serwisu OKO.press.



Pamięci Narodowej?



Tadeusz M. Płużański

Płużański: Chronić!

PIOTR WŁOCZYK: Czy IPN to dobrze działająca instytucja?

TADEUSZ PŁUŻAŃSKI: Instytut bardzo dobrze wypełnia swoje zadania. IPN to instytucja kluczowa, jeżeli chodzi o polską pamięć, badanie naszej historii, kształtowanie odpowiednich postaw w społeczeń-

stwie. To jedyny gwarant, że Polacy będą się uczyli prawdziwej historii. Swoją drogą to znamienne, że opozycja domaga się likwidacji zarówno IPN, jak i CBA...

Gdy Polska jest w sposób oszczerczy atakowana za nie nasze winy, IPN to jedyna instytucja, która jest w stanie reagować na to w profesjonalny sposób. Bez instytutu bylibyśmy bezbronni. Przykładem jest choćby wydana przez IPN praca dr. Tomasza Domańskiego, który pokazał w niej, jak nierzetelna jest książka „Dalej jest noc”. A to właśnie tę książkę środowisko zgromadzone wokół prof. Jana Grabowskiego wskazuje jako dowód na rzekomy ogrom „polskich win”.

Opozycja, a także wielu historyków, zarzuca IPN, że realizuje linię PiS.

Przepraszam, ale jakim sposobem miałyby być nie widać w działaniach IPN pewnej określonej linii, skoro rządzi Zjednoczona Prawica?

Czy pan właśnie nie potwierdza zasadności tego zarzutu? Może jednak potrzebne są zmiany, które gwarantowałyby instytutowi niezależność od polityki?

Przecież to oczywiste, że takie instytucje wpisują się w program polityki historycznej państwa. Zawsze tak było. W czasach Platformy Obywatelskiej IPN miał – niestety – zupełnie inne priorytety, ponieważ partia wówczas rządząca podchodziła do historii w inny sposób.

Po ostatnich wyborach parlamentarnych to się zmieniło i nie ukrywam, że bardzo mi się to podoba. Wcześniej wielokrotnie przepraszaliśmy za Jedwabne, a teraz walczymy o prawdę historyczną. Eksponujemy zasługi tych, którzy walczyli o Niepodległość. Wreszcie żołnierze wyklęci mają właściwe miejsce w naszej świadomości historycznej. Za czasów PO, nie mówiąc już o SLD, IPN nie dbał tak dobrze o ten rozdział naszej historii.

Ostatnio wiele kontrowersji wzbudził komunikat IPN w sprawie Romualda Rajsa „Burego”. Przy tej okazji doszło też do awantury dyplomatycznej z Mińskiem.

Na ten komunikat czekało bardzo wiele osób, w tym ja. Wielu historyków zastanawiało się, dlaczego IPN milczy w tej sprawie. W komunikacie wymienieni zostali najlepsi badacze dziejów podziemia narodowego: dr Kazimierz Krajewski, dr Wojciech Muszyński, dr Mariusz Bechta, dr Michał Ostapiuk oraz mec. Grzegorz Wąsowski. Pokazali, że nie może być mowy o ludobójstwie.

Ale przyzna pan, że przekreślanie – po 14 latach – wyników śledztwa prokuratora IPN przez sam IPN może wzbudzać duże wątpliwości?

Nie. To była pierwsza zbiorowa odpowiedź historyków w tej sprawie. Trzeba odróżnić badania historyczne od opinii prokuratora IPN. Przypomnę, że śledztwo w sprawie „Burego” zostało rozpoczęte w czasach rządów SLD. Było ono ewidentnie prowadzone pod określoną tezę i widać tu wpływ polityki. Żaden historyk IPN nigdy tego nie firmował swoim nazwiskiem, bo zarzucanie „Buremu” dokonania zbrodni ludobójstwa to zupełny nonsens.

Opowieść o polskiej historii w wykonaniu IPN nie jest za bardzo przechylona na prawo? Druga strona zarzuca instytutowi, że lewica nie ma w niej swojego miejsca, a instytut zdominowany jest przez historyków reprezentujących tylko jeden światopogląd.

Nie mam takiego odczucia. Nie ma historii lewicowej czy prawicowej. Albo historia jest prawdziwa albo nie. Żołnierze wyklęci nie byli ani prawicowi, ani lewicowi, tylko byli polskimi żołnierzami, którzy walczyli o niepodległość. W ich szeregach mieściło się całe spektrum światopoglądów. Byli tam piśsudczycy, narodowcy, chadecy, ludowcy i socjaliści – przedstawiciele lewicy niepodległościowej. Jeżeli ktoś twierdzi, że to prawicowa historia, to znaczy, że jej nie zna. Główna organizacja podziemia antykomunistycznego – zrzeszenie Wolność i Niezawisłość – miała przecież dowództwo o wrażliwości lewicowej, niepodległościowej. IPN pokazuje historię zbrojnego oporu wobec komunizmu tak, jak to w rzeczywistości było.

Tadeusz M. Płużański jest historykiem i publicystą, szefem publicystyki w TVP Historia.



FOT. IPN, RPO, GÖVL



Krzysztof Masłoń

1907–1950 / Pisarz wybitny i niejednoznaczny

Idea „współdziałania” ze Stalinem, opiewana przez Pruszyńskiego od roku 1944, wydaje się błędem, dla niektórych nawet – hańbą

Pisałem już na tych łamach o Ksawerym Pruszyńskim (1907–1950), dziś wracam do autora „Różańca z granatów” głównie za sprawą wydanego przez

Uniwersytet Jagielloński pod redakcją Brigitte Gautier i Macieja Urbanowskiego zbioru „Zagadkowy Ksawery Pruszyński”. Poruszającego te struny twórczości i te miejsca w jego biografii, które rzadko pojawiały się (lub nie pojawiały się nigdy) w recepcji tego wyśmienitego, ale wymykającego się jednoznacznej ocenie, pisarza i publicysty.

W swoim krótkim, zakończonym śmiercią w wypadku samochodowym (dopatrywano się w nim zamachu PRL-owskich służb specjalnych), wyjątkowo burzliwym życiu ten – z całą pewnością – wybitny pisarz i publicysta dokonywał wielu woltów ideowych, przez co wymyka się, jak zauważają redaktorzy zbioru, kategoryzacji. Przypomnieć tu trzeba, że z ogarniętej wojną domową Hiszpanii ten konserwatysta przysyłał reportaże odczytywane jako poparcie dla republikańców. Wygnany ze swego majątku na Kresach, antykomunistyczny i antysowiecki z samej swojej zdawałoby się natury, został po wojnie dyplomatą komunistycznej Polski, by na forum ONZ zaangażować się w podział Palestyny. „U Pruszyńskiego – czytamy – rozum zawsze panował nad emocjami,



Ucieczki Ksawerego Pruszyńskiego



FOT. MAC/CEŚNIAW DĄTKA

jak wtedy, gdy wybrał dolę prostego żołnierza w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, albo gdy postanowił wrócić do kraju po drugiej wojnie światowej”.

Pruszyński był żołnierzem Samodzielnej Brygady Podhalańskiej, w 1940 r. walczył pod Narwikiem, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych. Po raz drugi Krzyż Walecznych otrzymał w sierpniu 1944 r., ciężko ranny pod Falaise. Na emigracji w Anglii współpracował z „Wiadomościami Polskimi” Mieczysława Grydzewskiego, a w II Rzeczypospolitej ze „Słowem”, z „Buntem Młodych”, „Wiadomościami Literackimi” i „Ilustrowanym Kurierem Codziennym”.

Człowiek z moich stron

W jakiejś mierze to za jego sprawą oszałamiającą karierę zrobiło zdanie Józefa Piłsudskiego o tym, że to, co w Polsce najlepsze, znajduje się na jej brzegach. Otóż słowa te wypowiedział Marszałek – oczywiście, nie po raz pierwszy – w 1931 r., w 101. rocznicę wybuchu powstania listopadowego, kiedy to przyjął w Belwederze przedstawicieli Legionu Młodych i Myśli Mocarstwowej, studentów przebywających w Warszawie na Zjeździe Akademickiej Młodzieży Polskiej. W dwudziestce reprezentującej 2,5-tysięczną rzeszę uczestników zjazdu znalazł się 23-letni Ksawery Pruszyński, który w relacji z tego spotkania opublikowanej w „Czasie” tak pisał:

„Marszałek patrzy chwilę i rzuca pytanie: »A Pan z jakich to stron?».

Gdym szedł do Belwederu, miałem nieprzepartą pokusę. Chciałem mówić o tym, cośmy czuli my, kresowcy, my, dla których wiosenna kampania 1920 roku była wyzwoleniem, była walką o naszą wolność. Pokrzyżowały się plany, zawiodły nadzieje... Ale pozostał nasz kresowy dług wdzięczności Naczelnemu Wodzowi. Mówić o tym długo? Powiedziałem sobie: nie można. Ale dziś, gdy Marszałek tak pyta, odpowiadam:

»Z Ukrainy, Panie Marszałku. Byłem, gdy Pan Marszałek szedł na Kijów, mój kraj wyzwalając».

Ani słowa więcej. Słowo więcej to polityka, to »insynuacje«, coś »niewłaściwego«. Mówię tylko tyle. Marszałek patrzy. Marszałek zrozumiał.

»Bo jak się tak patrzę na Pana – ciągnie – i Pan ma twarz człowieka z moich stron...« – Mówi to miękko, mówi coś trochę tak, jak ja przed chwilą mówiłem »mój kraj«. Ale dla mnie Litwa czy Ukraina – to kresy. Mówię więc:

»Kresy są wszędzie te same, panie Marszałku».

»Tak i jest – przytakuje. – A śmieli się ze mnie ludzie, gdy mówiłem im, że Polska to taki obwarunek, jej wszystko to po brzegach».

Mówi to tak, że żadnemu z synów Mazowsza nie przyjdzie na myśl się dąsać. Mówi to tak, że nam, kilku kresowcom, nam jednej z nim ziemi, duma rozpiera piersi”.

Niewątpliwie czcił Piłsudskiego, ale o rządach piłsudczyków wypowiadał się krytycznie, a nawet mocno krytycznie, zwłaszcza po śmierci Marszałka. Na

1933 r. należał do uniwersyteckiej Myśli Mocarstwowej. A w 1939 r. zakończył pracę nad książką pt. „Wołyń”, której maszynopis zaginął w czasie wojny.

Słowa, które znikają

Na cenzorskie machinacje dokonywane na publikowanych w kraju tekstach Pruszyńskiego zwrócił uwagę jego dawny redaktor Mieczysław Grydzewski w swoich zapiskach („Silva rerum”) z 1948 r. Brzmiały one następująco:

„W zeszycie czerwcowym z roku 1944 »Nowej Polski« ukazało się piękne opowiadanie Ksawerego Pruszyńskiego »Książd Ułas« o prawosławnym popie ukraińskim z Wołynia, który – niepomny



Żołnierze polscy w bitwie o Narwik FOT. WIKIPEDIA

przykład porównując dawną świetność Wołynia z jego międzywojenną mizérią. A była to dla niego kraina szczególna. Tutaj się urodził, w Wolicy Kierkie-szynej pod Starokonstantynowem. Po wybuchu rewolucji w Rosji w 1917 r. musiał z matką i rodzeństwem opuścić majątek, a następnie w Żytomierzu rozpoczął naukę w gimnazjum. W 1919 r. Pruszyński przyjechali do Polski. Ksawery skończył szkolną naukę w Chyrowie, zdając maturę w roku 1927. Potem studiował prawo, w 1931 r. uzyskując abso-lutorium. Był prezesem Akademickiego Koła Kresowego w latach 1927–1930, do

szukan i prześladowań doznanych ze strony władz polskich – w chwili najazdu wojsk sowieckich na Polskę, 17 września 1939, w tej samej cerkwi, z której mieli go Polacy wyrzucić, intonuje »mołytwu za Riczupospołytk«.

To samo opowiadanie pojawiło się obecnie w zbiorze nowel Pruszyńskie-go »Karabela z Meschedu« (Warszawa 1948), ale... z szeregiem obrzydliwych w tendencji i wykoślawiających arty-styczny sens utworu zmian i uzupełnień. W redakcji londyńskiej scena w cerkwi jest patetyczna, prosta i zwięzła. Kiedy książd intonuje modlitwę, »naraż ludzie

■ zaczęli klękać, obsuwać się na drewnianą podłogę, najpierw baby, potem starzy chłopci, młódź. Aż od tego klękania zrobiło się po cerkwi puściej, przestronniej, jakoś aż strasznie pusto, i żółty blask długich woskowych świec błąkał się po tej pustce». W redakcji warszawskiej tylko »niektórzy ludzie, ale tylko niektórzy jeszcze, najbardziej to starzy tacy, do słuchania księdza nawykli, poczęli, jakoby tym nawykiem samym, obsuwać się na kolana. Ale cała reszta stała dalej, niechętną, co tam niechętną – wrogą ciżbą. Pewno jedni czekali tu Sowietów, inni może za Niemcami się oglądali. Temu, co tu było jeszcze wczoraj, byli wszyscy jednakowo wrodzy«.

z Szewczenki wypadła, ksiądz tłumaczy wiernym, że nie będą się modlili za to, co było złe, i co nigdy nie wróci, że nie będą się modlili za tych, co chcieli im odbierać ziemię i wiarę, czy za tych, co teraz uciekli, lecz za polski naród, który krwawi się w nierównej walce z nieprzyjacielem całej Słowiańszczyzny. Ale »przyjde tretij deń, koły ni na polskiej, ni na ukraińskiej, ni na drugiej słowiańskiej zimli i slida wrażoho ne bude [...] o tej deń my teper, bratja, pomolimsia«...

Różnica obu redakcji jest widoczna. W redakcji londyńskiej ksiądz w obliczu podwójnej katastrofy Polski zdobywa się na wielkoduszny, wspaniały gest wierności i w geście tym jest taka powaga

z nim razem za Riczupospołytu. Powiedział: kiedy już nie było ani policjanta, ani Kopu, ani niczego«. W redakcji warszawskiej słowa te całkowicie znikają.

Podobnie jak znikają słowa, będące aluzją do serdecznego przyjęcia, którego doznał ksiądz w Krakowie w Akademickim Kole Kresowym: »I że jednak i w tej Polsce byli ludzie jak dawniej. I że nie wszyscy«.

I że jednak w tej Polsce nie było takich cenzorów, jacy są dzisiaj – chcielibyśmy dodać od siebie.

I takich autorów”.

Trzeba ciąć i łamać

Dodać tu warto, że Grydzewski zerwał współpracę z Pruszyńskim w roku 1943, a jednym z powodów – pisze Mieczysław Supruniuk we wstępie do „Silva rerum” Grydzewskiego – „był niewybredny żart prasowy, którym Pruszyński podzielił się z czytelnikami »Wiadomości Polskich« 1 kwietnia 1943 roku, w formie »nadzwyczajnego dodatku« do tygodnika, zatytułowanego »Wiadomości polskie, niepolityczne i nieliterackie?«. Jakże daleko im było do wydanej w 1926 roku parodii tygodnika pt. »Jadamości Literackie«, które w ówczesnej Warszawie stały się jadowitą drwiną z oskarżeń o żydowskie korzenie redaktorów i autorów »Wiadomości Literackich« czy do nieco późniejszych primaaprilisowych »Nowych Wiadomości Literackich«, autorstwa Antoniego Słonimskiego z 1936 roku. Żart Pruszyńskiego zawstydzał, zwłaszcza że od pewnego czasu nie popierał tego, co w »Wiadomościach Polskich« było drukowane, i ukradkiem spoglądał na nową inicjatywę wydawniczą Antoniego Słonimskiego”.

Naprawdę jednak w „polskim Londynie” stał się Pruszyński persona non grata po opublikowaniu artykułu „Wobec Rosji”. „Już w roku 1942 Pruszyński zdał sobie sprawę, że Zachód nas zdradzi, że Roosevelt i Churchill uznają »linię Curzona« za wschodnią granicę Polski, że Lwów i Wilno będą dla nas stracone” – napisze po latach brat Ksawerego, Mieczysław, akcentując, że artykuł „Wobec Rosji” wzywał „do refleksji nad propozycją Stalina oddania nam w zamian za nie Szczecina i Wrocławia”. Tak w istocie było, chociaż sam autor tłumaczył się, że jedynie przedstawiał różne poglądy



Zamek w Starokonstantynowie

FOT. WIKIPEDIA

W redakcji londyńskiej ksiądz zaczyna mówić dopiero wtedy, kiedy już wszyscy klęczą. Mówi krótko, spokojnie i jasno: »Bracia moi i siostry, przychodzą ciężkie czasy. Wiemy, co było, ale nie wiemy, co będzie, i to, co było, nie wróci już więcej. Było źle nieraz i niejedna działa się krzywda, jako i dawniejszymi czasy się działo. Wiem o tym jak wy, a może i więcej. Ale jako i dawniejszymi czasy, Szewczenko nasz skazał, szczo Polska upadła i nas zahubiła, tak i teraz się stanie. Dlatego wzywam was, jak zawsze wzywałem, do modlitwy: Za Riczupospołytu«. W redakcji warszawskiej ksiądz musi skłaniać ciżbę do ukłęknięcia dłuższym przemówieniem. W przemówieniu tym, z którego niebłagonadiozna cytata

i taka wielkość, że nikt nie ośmiela się protestować. W redakcji warszawskiej ksiądz przekształca się w agitatora, który rozwlekle i przebiegle dowodzi wiernym, że po zduszeniu Polski Niemcy pójda na Ukrainę i że dlatego Polacy, walcząc z Niemcami, walczą również za Ukrainę. W redakcji londyńskiej »modlitwa za Riczupospołytu« jest jednoznaczna, w redakcji warszawskiej modlitwa ta zmienia się w modlitwę za polsko-ukraińsko-moskiewskie wspólne słowiańskie zwycięstwo nad wrogiem.

Ale nie na tym koniec. W redakcji londyńskiej ksiądz przekazuje autorowi wiadomość »o tej mszy ostatniej w cerkwi w Omelnem po wkroczeniu tamtych. I o tej jego modlitwie wtedy i całej wsi

na temat naszych granic, także Wandy Wasilewskiej.

Zacytujmy ten najbardziej bulwersujący fragment tekstu o polskiej ambasadzie w ZSRS: „Humanitarny, ludzki, polski charakter tej ambasady pozostanie na pewno jej najbardziej wyraźną cechą. Jej charakter polityczny schodził w zestawieniu z tym na plan dalszy. Politycznie, w stosunku do Rosji, staliśmy zawsze na sztywnym stanowisku pełnej nienaruszalności naszych granic według traktatu ryskiego. Wanda Wasilewska mówiła o »Polsce Bolesława Krzywoustego«. Jeśli nie jest to tylko frazes, oznacza to jedno: Polskę, która na wschodzie sięga ledwo po Bug czy San, ale na zachodzie przesuwają się do Szczecina i obejmuje Wrocław. Przed oczami nas, Polaków z Anglii, poprzez czerwone sztandary rewolucji powiała jakby zachęta, jakby zaczepka, taka właśnie propozycja: »Przekreślić pięćset lat historii, wyrzucić się wschodu, a otrzymać Bałtyk, wrócić nad Odrę, odzyskanie ziemie, o które ostatnimi słowami swych dziejów Polski modlił się Długosz«. Ale, by odpowiedzieć w takiej sprawie, trzeba być czymś więcej niż ambasadorem, czymś więcej niż premierem. Trzeba być Chrobrym, Piotrem Wielkim, Kemalem Paszą. Trzeba brać na swe barki decyzję za cały naród i na całe stulecia; trzeba ciąć i trzeba łać. Nie dziw, że trudno o barki dość mocne, by unieść ciężar decyzji tak olbrzymiej i tak straszliwej. Człowiek myślał o tym, chodząc po szerokich ulicach Kujbyszewa, patrząc się z góry na olbrzymi, oceaniczny nieomal, wylew potężnej Wołgi, i wspominał dwa na raz nazwiska: Popławski i Dmowski”.

A przecież ledwie rok wcześniej jako pierwszy polski publicysta – co przypomina teraz w „Zagadkowym Ksawerym Pruszyńskim” Rafał Habielski – w artykule „Promienie ultraczerwone” użył pojęcia „sowietyzacja”. Broniąc prawa przynależności Kresów Wschodnich do Polski. Profesor Habielski, znakomity znawca problematyki emigracyjnej, nie waha się przed postawieniem w tym miejscu znaku zapytania, gdyż „trudno jednoznacznie orzec, czy autor, formułując propozycję geopolityczną Polski, mówił we własnym imieniu, czy też relacjonował poglądy polskich komunistów. Nie sposób przy tym wykluczyć – to jednak jedynie przypuszczenia – że artykuł miał za zadanie wysondowanie



RED. BRIGITTE GAUTIER,
MACIEJ URBANOWSKI
„ZAGADKOWY KSAWERY”

WYD. UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

poglądów w kwestii granicy wschodniej i w związku z tym nie był pisany wyłącznie we własnym imieniu autora”.

Czy rzeczywiście – jak pisał tu po śmierci swego dawnego „kuzyna i przyjaciela” Wacław A. Zbyszewski – nie miał on żadnych przekonań ani poglądów, a inspiracją jego pisarstwa miały być jedynie „próżność i egocentryzm”? Z całą pewnością do wszystkiego, co na temat swojego sławnego brata wypisywał Mieczysław Pruszyński, należy podchodzić ostrożnie i sceptycznie. Nie wahał się, by przedrukowywać – w 2000 r.! – przywoływanego tu „Księdza Ułasa” ze wszystkimi cenzorskimi (autocenzorskimi?) ingerencjami w tekst, by w tej samej edycji z olimpijskim spokojem stwierdzić: „W czarnych latach stalinizmu Pruszyński był na indeksie”. Jeśli tak, to rozumiem, że w jasnych latach tego samego systemu przeprowadzał Ksawery Pruszyński wywiad z Bolesławem Bierutem i pisał „Rapsod o generale Walterze”.

Po lodzie i wplaw

Profesor Andrzej Nowak swój pomieszczony w „Zagadkowym Ksawerym Pruszyńskim” szkic „Pruszyński i Wielopolski albo sztuka kolaboracji” poprzedza kapitalnym mottem z Czesława Miłosza:

*Triepiet małego pieried bolszym. Przed Imperium
Które idzie i idzie na zachód, zbrojne w łuki, arkany,
pepesze,
Podjeżdżając powozką, grzmocąc kuczera po
plecach,
Albo jeepem w papachach, z kartoteką zdobytych
krain.*

*A ja nic tylko uciekam, od stu, trzystu lat
Po lodzie i wplaw, w dzień, w nocy, byle dalej,
Zostawiając nad rodziną rzeką pancierz dziurawy
i kufer z nadaniami króla,
Za Dniepr, potem za Niemen, za Bug, za Wisłę.
Czesław Miłosz, „Trwaga – sen” (1918) z tomu
„Kroniki” (1987).*

Te słowa są wprowadzeniem do przypomnienia książeczki napisanej przez Pruszyńskiego w 1944 r., do „Margrabi Wielopolskiego”. Usprawiedliwienie kaptulacji wobec przychodzącej ze wschodu siły i jej uzasadnienie, takie same jak przez lata słyszeliśmy od członków PZPR, jak to wstąpili oni w partyjne szeregi, bo „tylko tak można coś jeszcze uratować”.

Do czego potrzebne było autorowi sławnego już artykułu „Wobec Rosji” przypomnienie postaci margrabi Wielopolskiego? Ponieważ trzeba – tłumaczył – i to bezwzględnie, porozumieć się z Rosją, gdyż „losy tej wojny, a z nimi i losy Polski, rozstrzygną się właśnie gdzieś w brzozowych lasach Karelii, na pylnych drogach wokół Smoleńska...”. A pisał tego swojego „Margrabię...” po Katyniu przecież. Dokonując swobodnych manipulacji, przekonywał Pruszyński o konieczności zapłacenia przez Polskę wiadomej ceny za powrót na „zachodnie, piastowskie” ziemie. W imię porozumienia dwóch największych narodów słowiańskich – co podkreślał, gwałcąc swoje sumienie, gdyż – powiada Andrzej Nowak – „wszak do niedawna był głównym rzecznikiem idei porozumienia polsko-ukraińskiego p r z e c i w Rosji. Zasadnicze znaczenie ma to, że do współdziałania potrzebna jest wola obu stron takiego porozumienia, wtędy dopiero ma sens przedrostek »współ-«. To był wspólny błąd – Pruszyńskiego i Wielopolskiego”.

Naturalnie z perspektywy klęski powstania styczniowego i represji, jakie spadły na Polaków, mogło się wydawać, że margrabia, w istocie kolaborując z zaborcą, mógł mieć rację. Jednak już w roku 1918, w Polsce niepodległej, ta optyka była nie do przyjęcia. I podobnie w 1944 r. „mogło się wydawać – pisze Andrzej Nowak – że niepodległość znów zostanie utracona, że raz jeszcze trzeba docenić to, co próbowali robić Wielopolski czy polscy urzędnicy Paskiewiczza: realizować program małej ugody, na takich warunkach, jakie da miażdżący swoją przewagą zaborca. Że jest to cały realizm, na jaki stać Polskę. Z perspektywy sierpnia 1980 roku, a potem z perspektywy roku 1989 program ugody Wielopolskiego z Aleksandrem II, a tym bardziej idea »współdziałania« ze Stalinem, opiewana przez Pruszyńskiego od roku 1944 – wydają się raz jeszcze błędem, dla niektórych nawet – hańbą”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Robinsonowie warszawscy nie przypominali Robinsona Crusoe. Nie łowili ryb, nie zbierali kokosów ani nie hodowali kóz. Podobieństwo widać może tylko w chwili, gdy bohater Daniela Defoe krył się na swojej wyspie przerażony okrucieństwem kanibali. Rodacy, którzy pozostali w ruinach Warszawy po upadku powstania 1944 r., także ukrywali się przed mordercami, ale w mundurach niemieckich, a ich wyspami były zasypiane piwnice, kanały, poddasza wiszące nad rumowiskiem zburzonych kamienic. Dziesięć historii takich właśnie polskich Robinsonów spisał jeden z nich – Wacław Gluth-Nowowiejski.

Są to opowieści porywające. Spotykamy przedziwne zespoły połączone w dramatycznych okolicznościach: piekarza, skoczka spadochronowego i czerwonoarmistę przy Twardej 40, którym grupa Żydów ocalonych przez batalion AK „Żośka” oddaje do pomocy – za kilka bochenków chleba – dziewczynę. Przedziwną grupę stanowią też: AK-owiec z „Miotły”, który celnym strzałem ocala AL-owca, a dołączy do nich w wieży kościoła przy Senatorskiej... przedsiębiorca pogrzebowy. A oto dwaj młodzieńcy, którzy wyrwali się opracom na Woli i zapadli przy Ogrodowej na pięć miesięcy i dziewięć dni; najdłużej ze wszystkich. Z kolei czterech mężczyzn wytrwa tuż obok Niemców – na Marszałkowskiej przy Litewskiej. Dwaj zawołani hokeiści sprawności fizycznej i refleksowi zawdzięczali ocalenie na Czerniakowie. Kilku ciężko rannych żołnierzy AK ocala na Starówce prawdziwa bohaterka – sanitariuszka „Blondynka” (za jednego, „Eleganta”, wyjdzie za mąż po wojnie). Sto dni wytrzyma zaś w samotności żołnierz „Baszty” na Szustra róg Puławskiej. Patrzy stamtąd na egzekucje rodaków i palenie Mokotowa...

Do historii tajemniczych należy odkrycie, że furman umierający w 1965 r. w szpitalu jest... kobietą o nieznanym nazwisku. To istota, która widziała okrutne gwałty podczas rzezi Woli i postanowiła żyć jako mężczyzna. Z kolei „Ares” – nieuchwytny mściciel, postrach Niemców – stał się bohaterem mitu powtarzanego przez robinsonów.

Autor, 18-letni plut. podch. „Wacek”, był dowódcą drużyny kilkunastu niemal bezbronnnych chłopców, do których dołączyły trzy sanitariuszki-łączniczki. Zo-



FOT. ROBERT CARZŃSKI

Książka miesiąca / „Wacek” i inni

Rzeczpospolita Gruzów

stali wysunięci jako szpica Zgrupowania AK „Żmija” na Marymoncie. 14 września zdruzgotało ich pozycję pod żywopłotem natarcie niemieckich czołgów i piechoty. „Wacek” widział, jak w ogniu broni maszynowej, granatów i miotaczy płomieni bezzadnie giną kolejni chłopcy, jak bezlitośnie rozstrzelano dziewczęta, jak dogorywają ranni. Leżał wśród nich w piwnicy willi przy Rajszewskiej, z licznymi ranami całego ciała i rozszarpanym kikutem prawej ręki, w której zaległo się robactwo. Okrwawionego i nieprzytomnego Niemcy oraz kolaboranci ze wschodu kilkakrotnie brali za nieżywego.

Dogorywał w suterenie innego domku aż do połowy listopada. Po upadku powstania wywieźli go stamtąd na wózku mieszkańcy Marymontu i przekazali do szpitala na Bernerowie. Tam odnalazła go matka...

„Wacek” pisze piękną polszczyzną – literacką, a jednocześnie prostą. Prowadzi nas również w świat ojczyzny-polszczy-

zny tej Warszawy, której już nie ma od tak dawna. A tu odkrywamy tamtych rodaków... Przeżywamy z nimi kilka lat zbrodniczej okupacji i niemieckiej buty, podziwiamy ich męstwo w Godzinie „W”, czujemy ból, gniew i rozpacz, gdy ginęła stolica. Wreszcie towarzyszymy im, gdy głodujący, chorzy, zmarznięci i tropieni przez Niemców ukrywają się w owej niebywałej Rzeczypospolitej Gruzów. Cóż tu jeszcze mówić, gdy coś ściska w krtani? Widzimy oto chłopców i dziewczęta z najpiękniejszego, a zarazem najokrutniej dotkniętego przez historię pokolenia Polaków. ©©

Maciej Rosalak



WACŁAW
GLUTH-NOWOWIEJSKI
„NIE UMIERAJ DO JUTRA”

WYDAWNICTWO MARGINESY

Beneficjenci katorgi

Katorgia i zesłanie za carskich czasów nie należały do przyjemności. Nic dziwnego, że do dziś skupiamy się głównie na martyrologicznym aspekcie losów Polaków. Był także inny, który stał się udziałem garści zesłańców i katorżników. O nich to właśnie, badaczach Syberii, pisze Wojciech Lada. Mógł zapewne napisać opasty tom, ale zdecydował się – i bardzo dobrze – na nieduże szkice o zesłańcach-naukowcach. To nie rozbudowane biogramy, rozpoczynające się od daty i miejsca urodzenia, lecz pasjonujące opowieści, w których wnikliwie przedstawiona jest osobowość bohaterów książki, codzienność życia na zesłaniu i przede wszystkim opisane są ich naukowe badania i syberyjskie ekspedycje. Zapisali się w dziejach nauki – etnografii, geografii, geologii, zoologii.

Z wyjątkiem Benedykta Dybowskiego, adiunkta-przyrodnika Szkoły Głównej w Warszawie, pozostali bohaterowie książki stali się pasjonatami nauki właśnie podczas zesłania i to zapewniło im miejsce w historii. Gdyby nie zesłanie i zainteresowanie się Ajnami, Bronisław Piłsudski byłby dziś wymieniany tylko jako brat Marszałka. Wacław Sieroszewski pisał o Piłsudskim, że Ajnowie wtajemniczali go w obrzędy, o których inny Europejczyk dowiadywał się ewentualnie po wielu latach pobytu wśród nich. Piłsudski był nie tylko wybitnym znawcą dziejów, kultury i obyczajów Ajnów, lecz także ich orędownikiem i obrońcą.

A o Sieroszewskim autor pisze, że doskonale poznał i opisał jakuckich szamanów i potrafił zobaczyć świat oczami Jakutów. Był „kronikarzem kosmicznych peregrynacji ich czarowników”. Dzieło życia Sieroszewskiego to „Dwanaście lat w kraju Jakutów” uhonorowane medalem Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Lada nazywa Aleksandra Czekanowskiego „Indianą Jonesem Północy”, który podczas ekspedycji zebrał imponującą kolekcję skamieniałości i fauny. Jego prace geologiczne są wciąż najpełniejszymi badaniami doliny rzeki Angary.

Autor „Pożytków z katorgi” nie przedstawia swoich bohaterów jako ludzi bez skazy. Czekanowski był hulaką i pijakiem. A Jan Czerski, samouk geolog i zoolog, wykazywał oznaki nieźrównoważenia psychicznego. Miało to jednak swoją dobrą stronę, gdyż – jak pisze Lada – Czerski miał wręcz obsesyjne podejście do nauki. To zaś pozwoliło mu bardzo wiele osiągnąć. A poza tym, co nie pasuje do stereotypu powstańca i męczennika-zesłańca, Czerski „rusyfikował się szybko, sprawnie i bezboleśnie”. ©© *Tomasz Stańczyk*



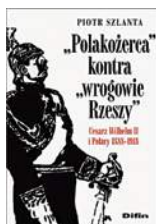
WOJCIECH LADA
„POŻYTKI Z KATORGI”

WYDAWNICTWO CZARNE

Wilhelm II i Polacy

Piotr Szlanta pisze, że cesarz czuł uprzedzenie i pogardę dla Słowian. Zazdrościł Franciszkowi Józefowi ciepłych uczuć, jakie żywili wobec niego Polacy. Tylko że Wilhelm II nie chciał zrobić nic dla Polaków. Zdał sobie w końcu sprawę, że nie zadowoli ich drobnymi ustępstwami. Polskie żądania w dziedzinie zachowania narodowej tożsamości uznał za... wyraz bezczelności. „Uznał ich zbiorczo za przeciwników państwa” – stwierdza autor. Chyba jedynym Polakiem, którego Wilhelm lu-

bił, był Wojciech Kossak. Malarz przestał pracować dla cesarza po jego brutalnej wobec Polaków mowie wygłoszonej w Malborku. ©© *(t.s.)*



PIOTR SZLANTA
„POLAKOŻERCA
KONTRA
»WROGOWIE
RZESZY«”

DIFIN

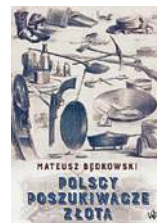


MARIO ESCOBAR
„KOŁYSANKA
Z AUSCHWITZ”

WYDAWNICTWO KOBIECE

HEROIZM MATKI CYGANIATEK

To oparta na faktach opowieść o Niemce Helenie Hannemann, żonie Cygana, która dobrowolnie poszła za nim i pięciorgiem dzieci do KL Auschwitz. Tam dr Josef Mengele uczynił ją kierowniczką przedszkola cygańskiego. Od maja 1943 do sierpnia 1944 r. starała się ratować podopiecznych przed zbrodnictwami eksperymentami Mengelego. Wreszcie heroicznie poszła do gazu wraz z własnymi dziećmi. ©© *(m.r.)*



MATEUSZ BĘDKOWSKI
„POLSCY POSZUKIWACZE
ZŁOTA”

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

W POGONI ZA ELDORADO

W 1893 r. w Chicago powstała spółka akcyjna, której celem było wydobywanie złota. Jej udziałowcami byli panowie – Smulski, Maryański, Midowicz, Durski, Brodowski, Szopiński i Kiołbassa. Tak, naszych rodaków nie ominęła gorączka złota XIX w. Ich niesamowite przygoty, bajeczne fortuny i spektakularne bankructwa przedstawia w świetnej książce Mateusz Będkowski. ©© *(p.z.)*



AGNIESZKA TETERYCZ-
PUZIO
„ZAMACHY NA PIASTÓW”

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

PORWAĆ, UWIEZIĆ, ZABIĆ

Leszek Biały i Przemysław II to najbardziej znani Piastowie, ofiary zamachów. Są to jednak tylko dwaj książęta z przedstawionej przez autorkę bogatej galerii Piastów, którzy zginęli gwałtowną śmiercią. Niektóre przypadki nie zostały wyjaśnione. Czy Kazimierz Sprawiedliwy i ostatni Piastowie mazowieccy zostali otruci? Zamachami na Piastów były także porwania i uwięzienia, a także okaleczenia. Pasjonująca, dobrze napisana lektura. *(t.s.)*



Horror w podziemiach

Nie byłem w kanale po raz pierwszy, a przecież tam na dole poczułem strach – wspominał Stanisław Jankowski ps. Agaton. – Co tu dużo gadać – zwykajny strach. Było ciasno. Nie bałem się Niemców, nie bałem się granatów. Nawet nie bałem się błota i ciemności. Bałem się cegieł otaczających mnie ciasno ze wszystkich stron”. Zaprawiony w bojach żołnierz AK, który nie bał się Niemców, za to bał się cegieł? Żeby to zrozumieć, trzeba sobie wyobrazić tunel szeroki na 60 cm i wysoki na metr. Dorosły mężczyzna ledwo się w nim mieści na szerokość,

ale poruszać się może tylko „w kucki”. Obrócenie się w drugą stronę wymaga cyrkowej sprawności. W takich warunkach człowiek musi się czuć dosłownie zgniatany przez „napierające” na niego ściany. To musi być horror. Dodajmy do tego egipskie ciemności, odbierający zmysły fetor, grząski szlam pod nogami, a co jakiś czas konieczność przejścia przez gnijące trupy... I tak przez wiele, wiele godzin. Żeby przenieść meldunek, przyjąć z pomocą innemu oddziałowi albo po

prostu uciec z obłożonej dzielnicy. Książka Sebastiana Pawlina to wstrząsająca opowieść o „trasach specjalnych”, jak oficjalnie nazywano w czasie powstania kanały. Historii ludzi, którzy w ciemności, smrodzie i potwornej ciasnocie walczyli o przetrwanie, nie da się zapomnieć. Zwłaszcza że nad najbliższym włazem w każdej chwili mogli się pojawić Niemcy z wiązką granatów, pistoletami maszynowymi albo gazem...

„Agaton” nie dotarł tego dnia do Śródmieścia, gdzie wysłał go ze Starego Miasta jego dowódca. Wraz z trzema innymi żołnierzami, prowadzony przez przewodniczkę („małą, ubłoconą dziewczynę”) poddał się po drodze. Powstańcy fizycznie nie dawali już rady i musieli przyznać się przed swoją młodą przewodniczką, że ta trasa jest ponad ich siły. Jakże często zdarzały się jednak sytuacje, kiedy powstańcy, a także ludność cywilna, nie mogli zawrócić. Zawalone tunele i niemieckie pułapki uniemożliwiały powrót. Jeżeli po drodze Niemcy urządzali przy włazach polowanie, ciasne tunele stawały się grobowcami tych nieszczęsnych ludzi. „Wojna w kanałach” to przede wszystkim opowieść o grozie. Kanały dawały nadzieję na ratunek, ale były przerażającym światem. To bez wątpienia jedna z najbardziej wstrząsających książek na temat powstania warszawskiego. ©

SEBASTIAN PAWLINA
„WOJNA
W KANAŁACH”

ZNAK

Piotr Włoczyk



Chopin bez tajemnic

Gdy 20 września 1818 r. ze specjalną wizytą do Warszawy przybyła matka Aleksandra I, wielki książę Konstanty zadbał, by tak dostoyny gość zazał w mieście najlepszych rozrywek. Wśród nich znalazła się m.in. porywająca deklamacja pewnego niezwykle uzdolnionego, nad wyraz elokwentnego ośmioletniego chłopczyka. Wiele zadowolona cesarzowa przyjęła również jego „tańce polskie”, czyli polonezy. Wielki książę Konstanty autentycznie uwielbiał małego Fryde-

ryka. Chłopiec wielokrotnie zapraszany był do Belwederu i umiał swą muzyką wolny czas wielkiego księcia i miłości jego życia – pięknej księżny łowieckiej Joanny Grudzińskiej. Ponoć jeden z marszów genialnego chłopca tak porwał serce Konstantego, że ten rozkazał grać go podczas musztry. Ależ to musiało być ciekawe dzieciństwo! Dzięki zmarłej rok temu pisarce dostaliśmy przepiękną opowieść o niezwykłym życiu polskiego geniusza fortepianu. W książce znajdziemy wiele ciekawych ilustracji,

wierszy Chopina, ale przede wszystkim mnóstwo barwnych historii o tym gigancie muzyki. ©

Piotr Włoczyk



BARBARA WACHOWICZ
„SERCEM POLAK. OPowieść
O FRYDERYKU CHOPINIE”

BELLONA

Michał Römer o litewskim odwiecie na Żydach

Czytanie dzienników prof. Michała Römera stanowi z całą pewnością prawdziwą ucztę intelektualną. Kolejny ich tom, już VI, opisujący wydarzenia z lat 1939–1945, ukazał się właśnie nakładem Ośrodka Karta. Bardzo interesujące zapiski poczynione w dzienniku wskazują, że autor był bardzo wnikliwym obserwatorem mającym na dodatek zupełnie inną niż narodowo-polską perspektywę oglądu rozgrywających się wokół niego wydarzeń.

Szczególnie ciekawie prezentują się fragmenty dziennika relacjonujące sytuację z pierwszych miesięcy po uwolnieniu Wileńszczyzny z rąk bolszewickich okupantów. Przedstawiając różne zdarzenia z tego okresu, autor nakreślił – podzielaną wówczas przez wiele osób, które doświadczyły sowieckiego terroru – ocenę wkroczenia na Litwę i Wileńszczyznę oddziałów Wehrmachtu. 5 lipca 1941 r. pisał: „Sowiety mają to do siebie, że ich ustrój i ich system »rewolucji« komunistycznej oraz dyktatury proletariatu może obudzić sympatię tylko z daleka, dopóki się o tym czyta w ich literaturze propagandowej i dopóki się tego nie zobaczyło bezpośrednio i nie doświadczyło... Na Zachodzie europejskim mogą być sympatie sowieckie, a może nawet usposobienie prosowieckie szerzy się zupełnie szczególnie w Anglii i Ameryce, a nawet w Polsce (w Guberni) przez antytezę do Niemców, których Polacy i Anglia mają za wrogów. Ale my, którzyśmy rok ciężki pod Sowietami przeżyli, mamy tego dosyć i dla nas Niemcy, którzy ich nareszcie wyrzucili, są dziś zbawcami naszymi”.

W innym fragmencie, z 29 czerwca 1941 r., znalazła się refleksja na temat wybuchu antysowieckiego powstania czerwcowego: „Powstanie partyzanckie litewskie, które w trzech pierwszych dniach wojny ogarnęło kraj, zajęło ośrodek i oczyściło je ze sparaliżowanych paniką i popłochem czynników sowieckich,

przygotowując teren dla nadbiegających wojsk niemieckich, stanowiło czynnik psychologiczny ogromnej wagi dla Litwy. Litwini poczuli się nie przedmiotem, a podmiotem wyzwolenia kraju”.

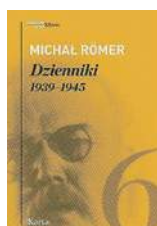
Obserwując rozwój wydarzeń, Römer nie zamykał oczu na tragiczny los będący udziałem społeczności żydowskiej. Autor dziennika dostrzegał

i rozróżniał odwet na komunistycznych kolaborantach żydowskiego pochodzenia od zainicjowanych przez Niemców działań eksterminacyjnych, pisząc pod datą 24 września 1941 r.: „Bo że

w pierwszych dniach po wyrzuceniu Sowietów były okrutne nawet akty porachunku z Żydami – to zrozumieć i poniekąd usprawiedliwić można. Żydzi w dobie bolszewickiej bardzo się panoszyli i dokuczali Litwinom, byli gorliwymi przewodnikami rusyfikacji, deptali to, co Litwinom było drogą, a w pierwszych dniach wojny, dopóki jeszcze były Sowiety, napadali i znęcali się nieraz okrutnie nad tymi, z których się partyzanci rekrutowali. Trudno też zaprzeczyć temu, że Żydzi byli najgorliwszymi rzeźnikami tego, co w ruchu komunistycznym i akcji sowieckiej najbardziej godziło w postulaty narodowe. W komunizmie Żydzi widzieli środek do stłumienia niebezpiecznego dla nich rozwoju narodowego i samowiedzy narodów chrześcijańskich przez rozpętanie antagonizmów klasowych. Ale Żydzi, Żydzi. Nie wszyscy Żydzi i nie tylko Żydzi. A poza tym Żydzi mieli inne uczucia. Od zemsty jednak, od odwetu, nawet okrutnego, do wytępienia całego plemienia w czambuł i w pień – daleko jeszcze”.

Naturalnie wartych przytoczenia zapisów z dziennika jest znacznie więcej, zainteresowanych jego treścią zachęcam więc do przeczytania tej niezwykle interesującej lektury. ©©

Arkadiusz Karbowski



MICHAŁ RÖMER
„DZIENNIKI
1939–1945”, T. VI

OŚRODEK KARTA

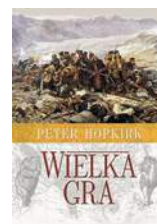
Cienie Azji

Podejrzewam, że części starszych czytelników tytuł „Wielka gra” kojarzy się głównie z popularnym w czasach PRL teleturniejem. Tych bowiem, którzy „wielką grą” nazywali niewypowiedzianą wojnę prowadzoną w Azji Środkowej przez wiktoriańską Anglię i carską Rosję, dawno już nie ma na świecie. Pamięć o tamtych wydarzeniach jednak przetrwała i dobrze, że jest pielęgnowana, przede wszystkim dlatego, że ta kampania – znana jako „wielka gra” lub „turniej cieni” – w istocie toczy się dalej, choć biorą w niej udział niekoniecznie te same siły. A może jeszcze inaczej: i te, i inne.

We wstępie do wydanej właśnie (a właściwie wznowionej po ośmiu latach w bardziej eleganckiej formie) książki brytyjskiego dziennikarza Petera Hopkirka padają ważne słowa: „W Afganistanie, który przez długi czas stanowił epicentrum stuletniej rywalizacji brytyjsko-rosyjskiej, rozlew krwi stał się zjawiskiem niemal endemicznym”.

Zachęcam do przeczytania „Wielkiej gry”, pasjonującej historii, egzotycznej dla nas, ale – co ciekawe – z Polakami w znaczących rolach. Wyciągnęła z tego wnioski nasza popularna pisarka, Elżbieta Cherezińska, pisząc cztery lata temu powieść „Turniej cieni”, której akcja rozgrywa w ciągu XIX-wiecznego ćwierćwiecza: w Kandaharze i Pendżabie, Londynie i Paryżu, Rzymie i Bernie, Sankt Petersburgu i Kijowie, guberni podolskiej i tobołskiej. A jej bohaterami uczyniła hr. Adama Gurowskiego i Rubinę Józefatę Piotrowskiego, renegata i bohatera. A dodała im, jako trzeciego protagonistę, Jana Prospera Witkiewicza, stryja ojca Witkacego zresztą, legendarnego Batyra! ©©

Krzysztof Masłoń



PETER HOPKIRK
„WIELKA GRA”
ZYS I S-KA



Rafał A. Ziembkiewicz

/ Felieton

Mroczna potęga fantastyki

Sir Edward Bulwer Lytton pozostał w historii nie z racji swej działalności politycznej, choć na pewien czas dochrpał się nawet ministerialnego stanowiska, ale jako autor pisanych cokolwiek na boku, popularnych powieści. Do dziś ostała się tylko jedna z nich, „Ostatnie dni Pompei”, swego czasu jednak cieszyły się popularnością porównywalną z „Kodem Leonarda da Vinci”. Jednak najbardziej popularna z jego książek została starannie z pamięci usunięta. Sam tytuł wyjaśnia dlaczego: „The Coming Race” – „Rasa, która nadejdzie”.

Niby nic wykraczającego poza standard głupawych „dime novels”. Angielski podróżnik w Himalajach dostaje się przypadkiem do podziemnej krainy Agartha, w której przetrwała prastara rasa Ariów, wywodząca się z Atlantydy. Ariowie, nie wdając się w szczegóły, są nadludźmi pod każdym względem, a przy tym istotami niezłomnie moralnymi. Kiedyś tak wspinał się w Agharcie, było i na naszym świecie, ale, niestety, Atlantyda zatoneła, Ariowie rozproszyli się po świecie, ich wspaniała krew (rok 1870, o genach nikt jeszcze nie słyszał) pomieszała się z krwią ras podległych – i nadludzkie dary przepadły... Szczęściem, głęboko pod Himalajami starożytna rasa trwa i kiedy te podległe całkiem się już wykończą nawzajem, wróci i zamieni umęczoną Ziemię ponownie w raj.

Wiktorianańskie czytadło nie byłoby warte wspomnienia, gdyby nie to, że wymyślona przez pisarza historia o rasie Atlantów, którzy wrócą, przez wielu pośredników – w tym mistyczkę znaną jako „Helena Blavatsky”, ruch pangermański, stowarzyszenie Thule i stowarzyszenie Vrill, które zresztą nazwę wzięło wprost z powieści – zainspirowała Hitlera, a bardziej jeszcze Himmlera, i popchnęła do ogólnie znanych działań, mających posłużyć oczyszczeniu Ziemi z krwi ras niższych oraz odtworzeniu wymarzonej przez brytyjskiego arystokratę nadludzkiej rasy w lebensbornach SS.

**/ Zniszczyć podziały „klasowe”, własność, religię – próbowali tego i tamtego, i za każdym razem nic...
A gdyby tak, jak w powieści, zlikwidować męskość i kobiecość?**

Powieść odpowiedzialna za dzisiejsze szaleństwo LGBTQ z naciskiem na Q nie była może tak popularna, jak „The Coming Race”, ale za to była popularna tam, gdzie mogła narobić najwięcej spustoszeń – na amerykańskich kam-

pusach. „Lewa ręka ciemności” Ursuli K. Le Guin, w przeciwieństwie do dzieła brytyjskiego lorda, to dzieło literackie wysokiego lotu, przynależne do gatunku science fiction. Opowiada o planecie, której humanoidalni mieszkańcy nie różnią się od nas prawie niczym, poza tym, że nie mają płci. To znaczy, nie mają ustalonej płci. Przez większość czasu bezpłciowi, od czasu do czasu, w okresie godowym, stają się, wedle uznania, który osobnikiem żeńskim, a który męskim – by po zrobieniu wiadomo czego wrócić do formuły „unisex”. Oczywiście dzięki tej eliminacji napięcia między męskością a kobiecością ich świat jest po prostu rajem i pod każdym względem góruje nad naszym.

Powieść trafiła idealnie w potrzebę bękartów po Marksie, które stale szukają tego elementu, powodującego całe zło na świecie, którego eliminacja stworzy „nowy, wspaniały świat”. Zniszczyć podziały „klasowe”, własność, religię – próbowali tego i tamtego, i za każdym razem nic... A gdyby tak, jak u powieściowych kemmeringów, zlikwidować męskość i kobiecość, sprowadzić wszystkich do obojaczności, czyniąc seks czymś opcjonalnym?

No i „pykło”. I właśnie oto mamy próbę realizowania powieściowej wizji „na żywo” i zupełnie na poważnie.

Nie żebym miał o to pretensje do pi-sarki... Zresztą już ona nie żyje. Podobnie, jak sir Bullwer Lytton. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Seksmisja

w realu

Generał Kazimierz Pułaski był kobietą – ten sensacyjny tytuł z brytyjskiego dziennika „Daily Mail” podchwyciło wiele polskich mediów. Chodzi o ustalenia grupy amerykańskich badaczy z Georgia Southern University w USA, którzy zbadali domniemane szczątki kości bohatera spod Savannah. Według badaczy o tym, że były marszałek konfederacji barskiej biologicznie miał być kobietą, mają świadczyć m.in. cechy jego szkieletu oraz wyniki badań DNA.

Naukowcy z USA twierdzą, że przebadali wcześniej wiele szkieletów osób interseksualnych, czyli ludzi o cechach, które nie są jednoznacznie kobiece lub męskie. I dopiero na podstawie tych badań uznali, że Pułaski był biologicznie kobietą, na co wskazywać ma kształt jego szczęki i miednicy. Hipotezę tę mają wspierać także badania DNA wykonane na materiale genetycznym z pocisku, który

naładował jego prywatna sprawa? Dla tego, za co jest szanowany, kwestie te nie miały znaczenia. Po co więc drażnić sprawę?

Sytuacja ma się jednak inaczej, gdy wchodzi w grę ideologia gender. Działacze ruchów LGBT twierdzą, że nie można mówić o jedynie dwóch płciach – męskiej i żeńskiej. Normą jest raczej wymieszanie cech obu płci u każdej osoby w różnych proporcjach. Skoro tak, to każdy przypadek znanej osoby z powikłaniami tożsamości płci staje się argumentem w aktualnych bojach, np. o toalety dla trzeciej płci w każdym urzędzie publicznym i w każdej szkole.

Niezwykle postępową Ewa Michalik pękała wprost z satysfakcji, głosząc wieści o Pułaskim-kobiecie: „Nasi narodowi widzowie na pewno spadli z krzeseł”. Z kolei na portalu OKO.press Ewa Siedlecka triumfowała: „Generał Pułaski była kobietą? To problem dla antygenderowej krucjaty PiS”. Wszystkie te osoby ogłaszające triumf może jeszcze czekać zimny prysznic. Brytyjski „Daily Mail” podał sensacyjne wieści przed ogłoszeniem tekstu raportu z badań i przed oceną rzetelności badań przez innych naukowców.

Na tym tle najbardziej spokojnie zabrzmiały opinie genetyka dr Martyny Molak-Tomsi w Radiu TOK FM. Pani doktor zaznaczyła, że z genetycznego punktu widzenia, „jeśli Kazimierz Pułaski miał dwa chromosomy X, w takim w miarę pełnym wymiarze, i nie miał Y, czyli chromosomu, który mają generalnie tylko mężczyźni, to można powiedzieć, że genetycznie była to kobieta”. Dodała jednak: „To nie jest takie proste, bo czasami bywają jakieś zmiany w genomie, które powodują, że na przykład pojedynczy gen z chromosomu Y wskazuje na chromosom X i mimo tego, że ma się dwa pełne chromosomy X, pojawia się ten dodatkowy gen, który powoduje, że dana osoba jest właściwie mężczyzną. To jest trudne do jednoznacznego określenia. Nauka nie lubi takich prostych rozgraniczeń”.

Tłumaczyła, że jest to kwestia tego, co uznaje się za bycie mężczyzną lub kobietą. „Wydaje mi się, że skoro Kazimierz Pułaski czuł się mężczyzną, to można powiedzieć, że w takim razie był mężczyzną” – stwierdziła pani doktor. Brzmi dość rozsądnie. Tyle że natychmiast przypomniały mi się dyskusje o mężczyznach, którzy ogłaszają, że czują się kobietami, i wygrywają, biorąc udział w kobiecych zawodach. Czy można ucinąć dyskusję tezą, że każdy jest tym, za kogo się uważa?

Nauka już nieraz przegrywała z ideologią. A w tej dziedzinie obóz LGBT nie lubi przyznawać się do błędów. Coś czuję, że teza o Pułaskim-kobiecie będzie broniona jeszcze długie lata. ©©

zabił generała. Naukowcy spekulują, że generał cierpiał na przerost nadnerczy, który sprawił, iż w organizmie miał dużo męskich hormonów, co wpływało na jego wygląd.

– To jedyna możliwość wytłumaczenia cech szkieletu, które odkryliśmy podczas badań

/ Czuję, że teza o Pułaskim-kobiecie będzie broniona jeszcze długie lata

– komentuje dr Virginia Estabrook, cytowana przez „Daily Mail”. Sensacyjne tezy mają być treścią filmu dokumentalnego „Ukryte historie Ameryki: generał Pułaski był kobietą?” – firmowanego przez przyrodniczo-naukowy kanał Smithsonian Channel. Jeszcze pół wieku temu nawet gdyby ktoś przeprowadził takie badania, poważne media zadałyby pytanie: Czy jest to kwestia wymagająca wyciągania tak intymnych spraw na światło dzienne?

Nawet jeśli polsko-amerykański generał miał zaburzenia płci (a wielu naukowców czeka na konkretny raport naukowy), to pojawia się proste pytanie: Czy nie była i czy nie jest to

XIX w. / Miłość, wojna i polityka w Turcji

Czajkowski, czyli Sadyk Pasza



Tomasz Stańczyk

**Przeszedł na islam, by
móc nadal służyć
sprawie polskiej nad
Bosforem.**

**Wspomagała go
Ludwika Śniadecka,
towarzyszka życia**

Oboje pochodzili z Kresów Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Dawnej, gdyż urodzili się po rozbiorach. Ludwika Śniadecka przyszła na świat w 1802 r. w Wilnie. Michał Czajkowski dwa lata później, w Hałyczyńcu, niedaleko Berdyczowa.

Śniadecka była córką Jędrzeja, lekarza i chemika, profesora Uniwersytetu Wileńskiego. Ludwika zakochała się w synu generała-gubernatora wileńskiego, oficerze Włodzimierzu Rimskim-Korsakowie. „Urzekł mnie, czar

na mnie miał zgubny” – pisała Ludwika. Była szaleńczo zakochana. Czy miłość do Rosjanina, przedstawiciela zaborczej władzy, sprowadziła na nią nielawę? Nie, ponieważ – jak zauważała Maria Czapska, biografka Ludwiki – była „moda na Moskali”. Poza tym Korsakow, który ujął Śniadecką inteligencją, odwagą i dowcipem, był gorącym zwolennikiem zbratania się Rosjan z Polakami.

Zakochana w nim Ludwika stała się obiektem adoracji młodszego od niej o siedem lat Juliusza Słowackiego. Nie była jednak skłonna dopuścić go do bardziej intymnej znajomości.



Panorama XIX-wiecznego Stambułu FOT. ARCHIWUM

Śniadecka nie była wówczas polską patriotką. Co więcej, potępiła powstanie listopadowe. A wziął w nim udział Michał Czajkowski.

Zauroczony Kozaczyzną

Być może Michał Czajkowski pozostałby do końca życia ziemianinem hreczko-siejem, gdyby nie powstanie listopadowe. Przystąpił do powstańczego oddziału, na którego czele stał szwagier, Karol Różycki. Był jego adiutantem. Wraz z nim przeszedł do Królestwa i walczył w Wołyńskim Pułku Jazdy. Odnosił sukcesy – został kawalerem Orderu Virtuti Militari.

Po upadku powstania przedostał się do Francji. Zadebiutował tam jako pisarz. Scenerią jego powieści były kresowe, ukraińskie ziemie Rzeczypospolitej. Miłość do przeszłości Kozaczyzny wpoił mu, jeszcze w młodości, bajorz Lewko, który – jak pisała Jadwiga Chudzikowska, autorka „Dziwnego życia Sadyka Paszy” – opowiadał mu o kozackich atamanach i śpiewał ukraińskie dumki. Czajkowski marzył o karierze atamana. Być może był pod wrażeniem tego, że na chrzcie dano mu imię Michał – patrona Rusi, a pewnie jeszcze bardziej oddziaływało na niego to, że uważał się za potomka atamana Brzuchowieckiego. Na kozacko-ukraińskie sentymenty Czajkowskiego wpłynęła też poezja Józefa Bohdana Zaleskiego, urodzonego na Kijowszczyźnie, dziś zapomnianego, a wówczas bardzo cenionego przez Mickiewicza.

Także powieści Czajkowskiego są dziś zupełnie zapomniane, ale wówczas były ogromnie poczytne. I – jak pisała Chudzikowska – cieszyły się tak wielką popularnością jak późniejsza „Trylogia” Sienkiewicza. To właśnie Czajkowski, na lata przed Sienkiewiczem, krzepił polskie serca. Pisząc „Wernyhorę. Wieszczka ukraińskiego”, zwracał uwagę na odpowiednią tytułowego bohatera, który głosił, że Rzeczpospolita odrodzi się, a impuls do jej zmartwychwstania wyjdzie z ziem ukraińskich. Nic dziwnego, że polscy emigranci tak chętnie czytali powieści Czajkowskiego.

Na emigracji przystał do emigracyjnego stronnictwa księcia Adama Czartoryskiego. Łączyła ich obopólna sympatia.

Czartoryski był ujęty kozackimi opowieściami Czajkowskiego i jego energią. Czajkowski zaś widział w księciu przywódcę Rzeczypospolitej, niekoronowanego jej króla. Potrzebował mieć nad sobą autorytet, a tym cieszył się Czartoryski, by móc – co było jego marzeniem – służyć sprawie polskiej.

Dlatego z radością przyjął propozycję, by zostać przedstawicielem księcia w Stambule. Turcja, skonfliktowana z Rosją, było oczywistym sojusznikiem sprawy polskiej. Czajkowski przybył nad Bosfor w 1842 r. Stał się jakby ambasadorem nieistniejącej Rzeczypospolitej w kraju, który – mimo kilkunastowiecznych wojen z Rzeczpospolitą – nie uznał jej rozbiorów.

Dwa serca

Wkrótce po przyjeździe Czajkowskiego do Turcji w Stambule zjawiła się Ludwika Śniadecka. Od śmierci Korsako-



Michał Czajkowski – Sadyk Pasza FOT. WIKIPEDIA

Kochała Korsakowa, lecz ten, przynajmniej na razie, nie zamierzał się z nią żenić. Ludwika wciąż czekała, „i tak schodziły jej lata” – jak napisała Czapska. W 1828 r. Korsakow wyruszył na wojnę rosyjsko-turecką. Poległ przy zdobywaniu Szumli. Śniadecka przeżyła szok. Minął, lecz pozostawała przez lata w żałobie. Chciała dotrzeć do jego grobu i tam upamiętnić go jakimś dziełem dobroczynnym, „dla uczczenia bohatera, który w Rosji się urodził i za nią zginął”. Czapska stwierdziła krótko, że miłość Ludwiki do Korsakowa zmieniła się po jego śmierci wręcz w bałwochwalstwo.

wa upłynęło już wiele lat, ale wciąż o nim pamiętała. Chciała dotrzeć do jego grobu. W Stambule nie mogła nie trafić na Czajkowskiego. Obiecał ułatwić jej podróż do Sylistrii, gdzie zginął Korsakow.

Ładny gest, lecz Czajkowski miał na

■ uwadze coś innego. „Rosyjskimi zwłokami możemy zrobić posługę krajowi” – stwierdzał. Pamięć Korsakowa miało uczcić dzieło dobroczynne w prawosławnym klasztorze, niedaleko granicy rosyjskiej, na szlaku zbiegów politycznych i ekonomicznych z Rosji. Czajkowski widział w nich kandydatów do oddziału w armii tureckiej, z myślą, że pod jego dowództwem podejmą dywersyjną akcję przeciw Moskwie i rozpalą antyrosyjski bunt na ziemiach ukraińskich. W klasztorze miała się mieścić ekspozytura tej akcji.

Jeśli nawet początek znajomości Czajkowskiego ze Śniadecką był z jego strony wykorzystywany instrumentalnie, to szybko przerodziła się ona w uczucie i nieformalny związek. Czajkowski miał bowiem dzieci i żonę we Francji. Ludwika – jak pisał Tomasz Teodor Jez w sylwetce Czajkowskiego – „czar na niego rzuciła, opanowała go”, a on „nie puścił się spodnicy panny Ludwiki”.

Sam zaś Czajkowski pisał w „Dziwnych życiach Polaków i Polek” o Ludwice, której dedykował książkę, i o sobie: „Dwie dusze zrodzone, by siebie zrozumiały – dwa serca, by były obok siebie – dla Polski – znad Wilejki i znad Kodeńki brzegów, Bóg złączył nad brzegami Bosforu [...] Niech kiedyś późny potomek, mówiąc o naszych dziwnych życiach, powie: oboje kochali, wierzyli i służyli Polsce”.

Śniadecka stała się nie tylko współtowarzyszka życia Czajkowskiego, lecz także współpracowniczką w jego tureckiej misji. Maria Czapska napisała o Ludwice, że górowała nad Czajkowskim rozumem i doświadczeniem. Był porywczy, emocjonalny, co nie zawsze wychodziło mu i sprawie polskiej na dobre. Śniadecka zawsze starała się go utemperować.

Michał Czajkowski marzył o wskrzeszeniu kozackiej Siczy, która tyle kłopotów sprawiała Rzeczypospolitej. Teraz jednak uważał, że Kozacy swoim czynem zbrojnym dadzą impuls do jej odrodzenia. Dlatego zwrócił uwagę na emigrantów Kozaków, którzy od XVIII w., nie mogąc ścierpieć rosyjskiego poddaństwa, uciekali do Turcji. Liczył też na Polaków z emigracji, uczestników powstania węgierskiego w latach 1848–1849, którego bohaterem był gen. Józef Bem. Czajkowski pomagał im, gdy znaleźli się w Turcji.

Rosja naciskała, by sułtan wydał jej polskich powstańców, żądała też, by

wydalił ze swojego kraju Czajkowskiego. Turcja była w trudnej sytuacji wobec potężnego sąsiada. Zaproponowała, by Polacy przeszli na islam, a wtedy, jako wyznawców Mahometa, nie mogłaby ich wydać Rosji. Kilkunastu polskich oficerów, w tym gen. Bem, skorzystało z tej możliwości. Zrobił to także Czajkowski, a podejrzewano, że nie bez wpływu Śniadeckiej. Wiedział, że to jedyny sposób, by mógł nadal służyć sprawie polskiej nad Bosforem. A wierzył, że wybuchnie wojna turecko-rosyjska. Uważał, że to



Ludwika Śniadecka FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

nie Zachód, ale właśnie Turcja może być jedynym sojusznikiem Polaków. Swój krok motywował także tym, że Francja odmówiła dalszego chronienia go.

Przejście Czajkowskiego na islam w 1850 r. wywołało szok wśród polskich emigrantów i oczywiście w Hôtel Lambert, siedzibie księcia Czarotoryskiego. Jednak w Turcji nie można się było obyć bez Czajkowskiego, który dzięki swojej zręczności wyrobił sobie znakomite stosunki z dworem sułtana. Wprawdzie on, teraz już Sadyk Pasza („Sadyk” znaczyło „wierny”), zrezygnował z kierowania stambulską misją Czarotoryskiego, ale, już nieformalnie, nie przestał być ambasadorem spraw polskich. I mimo że książę wysłał nad Bosfor nowego przedstawiciela, właśnie Czajkowski był dla sułtana najważniejszym rzecznikiem interesów Rzeczypospolitej.

Wspomagała go Ludwika Śniadecka. Pisał o niej: „Jest to jedna z tych Polek, co bez wielkich wynurzeń i eksklamacji

gotowa jest oddać największą posługę Polsce”.

Czajkowski nie omylił się, licząc na wojnę Turcji z Rosją. Wybuchła w 1853 r. Z powodzeniem starał się o zgodę na wcielenie do armii tureckiej polskich oficerów. Sam zaś zaczął organizować pułk kozacki. Była to zbieranina, złożona z Polaków-emigrantów, zbiegłych z Rosji Kozaków, a nawet więźniów, których uwolnienie wyjednał Czajkowski.

Władysław Zamoyski, po księciu Adamie Czarotoryskim czołowa postać konserwatywnej emigracji, miał ambicję stworzenia polskiego pułku przy tureckiej armii. Dlatego intrygami i insynuacjami starał się podkopywać w oczach władz tureckich pozycję Czajkowskiego, twierdząc, że nie nadaje się na dowódcę, a wartość bojowa jego Kozaków jest nikła. Nie odpowiadało to rzeczywistości. Oddział Czajkowskiego sprawował się dobrze podczas wojny z Turcją, prowadząc wojnę podjazdową i partyzancką, zapewniając m.in. połączenie oblężonej przez Rosjan Sylistrii.

Książę Adam Czarotoryski – jak pisała Chudzikowska – uważał, że pułk kozacki może stać się godłem połączenia „ruszczyzny z elementem polskim”. Oczywiście „ruszczyzna” oznaczała Ruś, czyli Ukrainę, nie zaś Rosję. Czajkowski przedstawiał też rządowi tureckiemu projekt stworzenia niedaleko granicy z Rosją warunków do osadnictwa wojskowego, złożonego z Polaków i Kozaków.

Ludwika Śniadecka zajmowała się prowadzeniem korespondencji Czajkowskiego i sama pisała listy do Czarotoryskiego i Zamoyskiego, tłumacząc działania Sadyka Paszy.

Chudzikowska stwierdzała, że Ludwika „stała się obrońcą i gorliwym rzecznikiem spraw swojego męża, żarliwym, mądrym, przewidującym”.

Biografka Sadyka Paszy uważała też, że Ludwika była jego żoną. Z racji tego, że miał już żonę, ewentualny ślub mógł być tylko mużułmański. Czy się odbył – nie wiadomo. W każdym razie Śniadecka musiała zachowywać się jak żona mużułmanina, więc z żalem zrezygnowała z jazdy konnej.

Koniec nadziei

W 1855 r. do Stambułu, w związku z trwającą wojną rosyjsko-turecką,

przyjechał Adam Mickiewicz. Docenił niepodległościową misję Czajkowskiego. Przeszedł więc do porządku dziennego nad jego zmianą wiary. Poeta pojechał w okolice Burgasu, gdzie stacjonował pułk Sadyka Paszy. Obaj, Mickiewicz i Czajkowski, byli sobą zauroczeni. Mickiewicz był też pod wrażeniem Ludwika Śniadeckiej, bardzo lubił z nią się spotykać. Wraz ze śmiercią poety, który zmarł w Stambule, Czajkowski stracił ogromnie ważną podpórę.

Nie to było najgorsze. Traktat pokojowy po wojnie rosyjsko-tureckiej sprawił, że sprawa polska znów znalazła się w głębokim impasie. Czajkowski jako Sadyk Pasza na tym wprawdzie nie ucierpiał. Nadal był dowódcą pułku. Turcy byli lojalni wobec swego polskiego współpracownika i wyznawcy. On sam jednak bolał nad niekorzystnym dla sprawy polskiej rozwojem sytuacji.

Raz jeszcze zabłysła nadzieja, gdy w Polsce wybuchło powstanie styczniowe. Czajkowski nie marzył o niczym więcej jak tylko o tym, by móc pójść ze swoim pułkiem na pomoc walczącym. Turcja jednak, tak samo jak Zachód, nie zamierzała wypowiedzieć wojny Rosji.

Niedługo potem spotkał go kolejny cios. W 1866 r. zmarła Ludwika Śniadecka. Na swoim epitafium mogłaby umieścić własne słowa: „Ja się na służbę Czartoryskim nie zdałam, ale dla Sadyka, dla wiernego jego pułku 1., dla Polski, mogę powiedzieć, że coś zrobiłam”. Czajkowski pochował ją w Adampolu, polskiej osadzie w Turcji, grunty pod którą kupił Czajkowski, z inicjatywy księcia Adama Czartoryskiego.

Po śmierci Śniadeckiej był „jak ster bez okrętu” – pisała Maria Czapka.

Sadyk Pasza wiedział, że Europa porzuciła sprawę polską, a nawet Turcja przestała się interesować Polakami. Na skutek nacisków ambasady Rosji polskie czapki w pułku kozackim Czajkowskiego zmieniono na fezy, później zaś wprowadzono turecką komendę. Nie chciał być kondotierem i w 1872 r. podał się do dymisji. Zwrócił się ku Rosji, w niej upatrywał jakąś szansę dla sprawy polskiej, skoro Zachód się nią nie interesował. Dręczyła go tęsknota za rodzinnymi ukraińskimi stronami. Powrócił do nich. Przyjazd do Rosji i jego polityczna wolta ponownie zszokowały Polaków. Zmarł w 1886 r. w biedzie, popełniwszy samobójstwo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Klucze Wilna



Tomasz Stańczyk

Sto lat temu, 19 kwietnia 1919 r., w Wielką Sobotę, polskie wojsko rozpoczęło krótkie zwycięskie walki z bolszewikami o Wilno. Pierwsi wkroczyli do miasta kawalerzyści płk. Władysława Beliny-Prażmowskiego, za nimi piechota gen. Edwarda Śmigłego-Rydza. Dwa dni później Józef Piłsudski przybył do miasta.

Śmigły-Rydz wspominał tę chwilę: „Jedziemy konno od dworca, pod Ostrą Bramę do miasta. Tłumy śmiejące się, płaczące, rzucające kwiaty, dzieci wbiegające między konie [...]. Spojrzenia nabrzmiałe łzą i pieczęcią, gdyby mogli, rzucaliby serca pod kopyta końskie”.

Wdzięczni za oswobodzenie Wilna miejscowi Polacy urządzili wieczór hołdu, podczas którego wręczono Piłsudskiemu rysunek prof. Ferdynanda Ruszczyca, przedstawiający klucze Wilna. Wykonane w srebrze, zostały mu przekazane w drugą rocznicę oswobodzenia miasta.

Piłsudski darzył wielkim sentymentem miasto nad Wilią, w którym spędził młodość. Najważniejsza była jednak kwestia polityczna. Piłsudski mawiał, że Wilno to „klucz do spraw litewsko-białoruskich”. Miasto było kością niezgody między aspirującymi do jego posiadania Polakami i Litwinami. A Piłsudski miał nadzieję, że uda się pogodzić dążenia dwóch narodów. Takim rozwiązaniem byłoby utworzenie polsko-litewsko-białoruskiego państwa na części ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, ze stolicą w Wilnie, sfederowanego z Polską. Na czele rządu takiego państwa Piłsudski widział prof. Michała Römera, litewskiego Polaka. Misja Römera zakończyła się jednak niepowodzeniem. Nie zdołał przekonać polityków litewskich do tego projektu politycznego.

Piłsudski jednak nie rezygnował. Po zajęciu Wilna 22 kwietnia 1919 r. wydał deklarację „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Pisał w niej: „Chcę dać Wam możliwość rozwiązania spraw wewnętrznych, narodowościowych i wyznaniowych tak, jak sami sobie życzyć tego będziecie, bez jakiegokolwiek gwałtu i nacisku ze strony Polski”.

Jednak Litwini ponownie odrzucili zaproszenie do współpracy – żądali Wilna wyłącznie dla siebie. Jak stwierdza prof. Włodzimierz Suleja w ostatnio wydanej biografii Marszałka, reakcja na odezwę była znikoma wśród Polaków na Wileńszczyźnie, gdyż dominował „niezwykle silny prąd inkorporacyjny”. Chcieli po prostu wcielenia swojej ziemi do Rzeczypospolitej. W tej sytuacji upadła koncepcja Piłsudskiego, dzięki której Wilno przestałoby być przedmiotem polsko-litewskiego sporu.

Związany emocjonalnie z Wilnem i pamiętający o zdobyciu miasta w 1919 r., w ostatniej swojej woli Marszałek polecił, by jego serce zostało pochowane na cmentarzu Na Rossie, wśród żołnierzy poległych w boju o miasto. A wśród wotów w Ostrzej Bramie znajduje się tabliczka ofiarowana przez Piłsudskiego z napisem: „Dzięki Ci, Matko, za Wilno”. © ©



Bitwa pod Orszą –
malował po 1525 r.
nieznany z nazwiska
artysta nadworny
Zygmunta I

FOT. MUZEUM NARODOWE

W WARSZAWIE

Herb Ostrogskich – własny;
połączenie herbów Leliwa
(u dołu) i Ogińczyk



Maciej Rosalak

Poczet wodzów /

Mistrzowie staropolskiej sztuki
wojennej – Konstanty Ostrogski

2 x Orsza plus

**Wiktorie Ostrogskiego
pokazały, że mniej
liczne wojsko polsko-
litewskie góruje nad
moskiewskim pod
każdym względem...**

Mija 505 lat od tego
zwycięstwa nad armią
moskiewską. Oddziałami
litewskimi i polskimi
dowodził pod Orszą
hetman wielki litewski,

książę Konstanty Iwanowicz Ostrogski
(1460–1530), jeden z najwybitniejszych
wodzów w naszej historii. W nadtytule
napisałem o „mistrzach staropolskiej
sztuki wojennej”, ale – formalnie rzecz
biorąc – jest to uproszczenie. Ostrogski

umarł 39 lat przed unią lubelską,
tworzącą Rzeczpospolitą ze wspólnymi
dla obu państw Sejmem i Senatem,
prawem oraz sposobem organizacji
państwa i życia publicznego, a nie
tylko – jak przedtem – osobą władcy. Był

więc możnowładcą Wielkiego Księstwa
Litewskiego narodowości ruskiej (tak
jak znakomita większość mieszkańców
Księstwa), posługującym się językiem
staroruskim, będącym zresztą językiem
urzędowym na Litwie po kres XVII w.



Konstanty Iwanowicz Ostrogski, portret z buławą hetmańską FOT. WIKIPEDIA

limanu dniewprwego, zdobytą przez Tatarów pięć lat wcześniej, Ostrogski rozbił wojska późniejszego chana krymskiego Mehmeda I Gireja, a jego samego wziął do niewoli. Pozycja, którą zdobył, wzbudziła zawiść innego możnowładcy litewskiego, Olbrachta Gasztołda, który zarzucał mu, że jest „homo novus niskiej kondycji, wywodzący swój ród z najlichszych książątek ruskich”. Tymczasem Ostrogscy wywodzili swój ród od samego Ruryka, założyciela Rusi.

Wierność wobec wielkich książąt litewskich, a zarazem królów polskich – Jagiellonów – oraz pełna identyfikacja z ich państwem usprawiedliwiałaby, moim zdaniem, przymiotnik „nasz” dodany do „wódz”. Natomiast „staropolską sztukę wojenną” on sam współtworzył poprzez właściwe używanie świetnej jazdy ciężkiej i lekkiej, w skutecznym współdziałaniu z piechotą i artylerią. Już za jego czasów wojsko litewskie upodobiło się do polskiego, a polskie korzystało ze wschodnich – także litewskich i ruskich – tradycji. Kontynuatorami jego osiągnięć byli m.in. Jan Amor Tarnowski, Jan Zamoyski, Krzysztof Radziwiłł „Piorun”, Jan Karol Chodkiewicz, Stanisław Żółkiewski, Stanisław Koniecpolski, królowie Władysław IV i Jan Kazimierz, Stefan Czarniecki, Jerzy Lubomirski, Jan Sobieski – i jako hetman, i jako król...

Orsza 1508

Po Oczakowie przyszła klęska, jedna z dwóch, których zaznał w życiu. Otóż w pobliżu zdobytego wcześniej Dorohobuza nad rzeką Wiedroszą – dopływem górnego Dniepru na Smoleńszczyźnie – został pokonany 14 lipca 1500 r. przez Moskwinów pod dowództwem Daniela Szczeni. Była to przegrana na własne życzenie, bo nie czekając na zakończenie koncentracji własnych wojsk, hetman uderzył na pięciokrotnie liczniejszego przeciwnika. W efekcie wielu żołnierzy litewskich poległo, a sam Ostrogski dostał się do niewoli, w której przebywał trzy lata. Zbiegł, korzystając ze względnej swobody, którą mu przyznał wielki książę moskiewski Iwan III Srogi za pozory współpracy ze strony jeńca. Wojna zresztą zakończyła się w 1503 r. dzięki zgodzie Litwy na okupację trzeciej części jej terytorium przez Moskwę.

Litwa nie na długo pogodziła się z haniebnym rozejmem. Znowu powołano Ostrogskiego na hetmana wielkiego litewskiego, a od 1507 r. nową wojnę prowadził nowy władca – Zygmunt I, zarazem wielki książę litewski (od 1506 r.) i król polski (od 1507 r.), wysyłając na pomoc Litwie wojska polskie. Od tej pory Polska coraz bardziej angażowała się w pomoc dla Litwy w wojnie na wschodzie. Rozpoczął się dziejowy konflikt Polski z Rosją, trwający kilka wieków. W 1508 r. wojska litewskie – polskie pod wodzą króla Zygmunta I oraz hetmana Ostrogskiego odniosły zwycięstwo pod Orszą – znacznie mniej znane od słynnego pogromu wojsk moskiewskich w 1514 r. pod tym miastem, ale też znaczące.

Otóż 13 lipca 1508 r. doszło do spotkania naszych 21-tysięcznych wojsk (16 tys. Litwinów, głównie pospolitego ruszenia, i 5 tys. zaciężnych żołnierzy Królestwa Polskiego dowodzonych przez wojewodę lubelskiego Mikołaja Firleja) z 50-tysięczną armią moskiewską Wasyla III. Wielki książę moskiewski został zmuszony do przerwania oblężenia Smoleńska, tej bramy do Moskwy, i zastąpienia nad Dnieprem drogi litewsko-polskiej odsieczy. Konstanty Ostrogski najpierw demonstacyjnie rzucił jeden z oddziałów ku przeprowie na południowy brzeg rzeki, a w tym czasie inny oddział przedostał się skrycie zalesionym wąwozem do innego brodu, znajdującego się kilometr w górę jej biegu.

Jeźdźcy ci niepodziewanie wtargnęli na tyłach Moskwinów do ich obozu i zaczęli go łupić. Na zdezorientowanego wroga uderzyła polska husaria (wtedy byli to racowie – jazda lekka wzoru serbskiego), która otworzyła przeprawę dla natarcia ciężkozbrojnych kopijników oraz piechoty i artylerii Firleja. Wojska królewskie przegoniły moskiewską obronę brodu i utworzyły przyczółek, z którego natarcie miało ruszyć następnego ranka. Decyzję taką podjął Zygmunt I, obawiający się kontrataku mas kawalerii moskiewskiej na przeprowiające się wojska. Rankiem jednak się okazało, że nie ma na kogo uderzyć, bo wróg... uszedł, zostawiając część taboru ze sprzętem, z bydłem i rannymi. Został też osiągnięty strategiczny cel odsieczy: nieprzyjaciel odstąpił od Smoleńska.

Kolejną wielką bitwę Ostrogski stoczył cztery lata później pod Wiśniowcem niedaleko Zbaraża (znaną też jako

(wypieranym w praktyce przez polszczyznę od początku tego stulecia).

Urodził się w gnieździe rodu – Ostrogu na Wołyniu (do 1569 r. w Wielkim Księstwie; potem – wraz z innymi ziemiami ukraińskimi – w Koronie). Pod względem etnicznym mogą się przyznawać dziś do Ostrogskiego zarówno Ukraińcy, jak i Białorusini. Zachował wyznanie prawosławne i fundował wspaniałe cerkwie. Dzięki ogromnemu majątkowi, zasługom dla ojczyzny i sprawowanym urzędem mógł się stać prawdziwym opiekunem prawosławia.

Mimo wyznania władcy wyróżniali go zarezerwowanymi na Litwie dla katolików urzędami. Ostrogski był więc starostą upickim, bractwskim i łuckim, wojewodą trockim, kasztelanem wileńskim, namiestnikiem bractwskim i winnickim, a przede wszystkim – hetmanem wielkim litewskim. To stanowisko ustanowiono specjalnie i po raz pierwszy dla niego w 1497 r. po zwycięstwie pod Oczakowem. Pod tą twierdzą, zbudowaną za Jana Olbrachta dla obrony

bitwa pod Łopusznem). Hetman wielki litewski dowodził wtedy obok hetmana wielkiego koronnego Mikołaja Kamienieckiego, walcząc z najazdem ordy krymskiej pod wodzą chana Menglego I Gireja. Jazda polska i litewska rozgromiła 28 kwietnia 1512 r. i wycięła w pień znacznie liczniejszych Tatarów, zadając im straty obliczane na 10 tys. zabitych (niektóre źródła podają liczbę nawet 2,5-krotnie większą). Uwolniono kilkanaście tysięcy ludzi uprowadzonych w jasyr. W tymże w 1512 r. rozpoczęła się kolejna wojna z Moskwą, która doprowadziła do utraty Smoleńska, ale też do drugiej bitwy pod Orszą, gdzie talent wojskowy Konstantego Ostrońskiego zajaśniał największym blaskiem (patrz: rozdział poniżej).

Ogromnym sukcesem zakończyła się 27 stycznia 1527 r. bitwa z Tatarami pod Olszanicą na Kijowszczyźnie. Poległo aż 40 tys. najeźdźców, a uwolniono 80 tys. jasyru. Hetmana Ostrońskiego wspomagali wtedy namiestnik kijowski Andrzej Niemirowicz oraz starosta czerkaski Eustachy Daszkiewicz. Był to krwawy rewanż za klęskę (drugą i ostatnią w karierze Ostrońskiego) pod Sokalem 2 sierpnia 1519 r. Tatarzy prowadzeni przez syna chana Mehmeda I Bogatyra Gireja pokonali wtedy pospolite ruszenie pod wodzą marszałka wielkiego koronnego Stanisława Chodeckiego i wojewody podolskiego Marcina Kamienieckiego. Ostroński, na czele wołyńskiej

służby ziemskiej, uratował wtedy gros sił koroniarzy, którzy pochopnie przeprawili się przez Bug, by zaatakować stojących tam znacznie liczniejszych Tatarów. W końcu naszym udało się przebić i ująć z matni, ale pozostawili na placu boju 1,2 tys. zabitych.

Orsza 1514

Hetman wielki litewski Konstanty Ostroński wiódł latem 1514 r. odsiecz, mającą odbić Smoleńsk, zdobyty 31 lipca przez Wasyla III po dwumiesięcznym oblężeniu. Towarzyszył mu przyszły hetman polny i wielki litewski Jerzy Radziwiłł Herkules, prowadzący jazdę litewską. Wojska nasze liczyły 25–30 tys. jazdy i piechoty. Blisko jedną trzecią stanowiły oddziały polskiej jazdy zaciężnej, piechoty oraz ochotników, prowadzone przez hetmana nadwornego Janusza Świerczowskiego i starostę trembowelskiego Wojciecha Sampolińskiego.

Przewagę polskim chorągwiom dawały kopijnicza jazda, zakuta w zbroje płytowe, niemająca odpowiednika w wojsku Wasyla III, oraz piechota wyposażona w rusznice z pierwszym zamkiem (łontowym) zastosowanym w broni palnej. Husarze-racowie zbrojni byli w szable i trzymetrowe kopie, a tarcze stanowiły jedyny element uzbrojenia ochronnego.

Nocą z 7 na 8 września Dniepr pokonała wpływ polsko-litewska jazda, a następnie – po moście przerzuconym na łodziach – artyleria i piechota. Moskowicini, których było prawdopodobnie do 50 tys. (może

nawet 80 tys.), uszykowali się w tradycyjny sposób: w centrum

stanęły pułk wielki pod dowództwem Iwana Czeladnina i pułk przedni Iwana Temki Rostowskiego, na prawo pułk wojewody Michała Bułhakowa-Golicy,

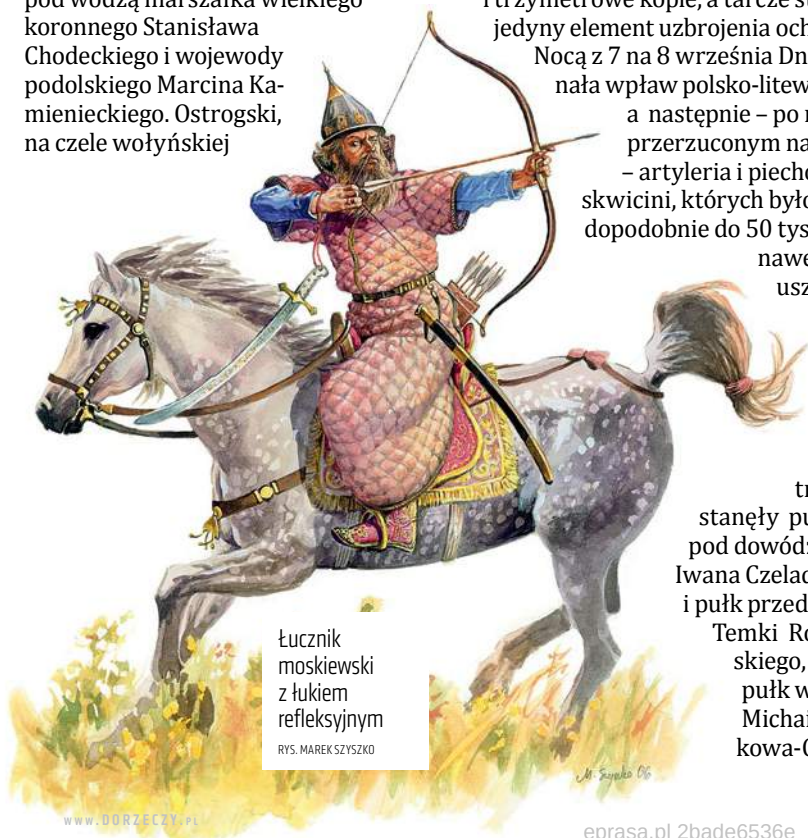
na lewo ludzie kniazia Andrieja Obolęńskiego, w odwodzie zaś pozostawała jazda wojewody Grigorija Dawydowa.

Około południa 8 września pułk Bułhakowa-Golicy zamierzał oskrzydlić koroniarzy ustawionych na naszym lewym skrzydle. Stawił mu czoło Sampoliński. Po pierwszym ataku wycofał się pod osłonę ognia, ale za drugim razem jego jazda rozproszyła kawalerię moskiewską. Odnaczył się wtedy młody Jan Amor Tarnowski, dowodzący ochotniczym hufcem synów rodzin możnowładczych. Dodajmy, że po 40 z górą latami wspaniałych przewagach orężnych (m.in. zwycięstwo pod Obertynem w 1531 r.) Jan Tarnowski napisał dzieło „Consilium rationis bellicae” („Rada sprawy wojennej”), które było wykładnią ówczesnej polskiej myśli wojskowej. Na książce tej wychowały się kolejne generacje dowódców wojskowych Rzeczypospolitej.

Wróćmy pod Orszę. Po Bułhakowie-Golicy na nasze prawe skrzydło z kolei natarł pułk Obolęńskiego. Kiedy Litwini zyskali przewagę, Czeladnin wsparł Obolęńskiego znaczną częścią sił z centrum. Ostroński zarządził pozorowany odwrót, wciągnął wrogów do wąwozu, gdzie zostali zasypani morderczym ogniem zaciężnej piechoty. Zginął książę Obolęński, a kula armatnia dosłownie zmiotła z siodła wojewodę Rostowskiego. Hetman nakazał wtedy uderzenie, które rozgromiło w osłabionym centrum pozostałe oddziały Czeladnina. Ciężka jazda Świerczowskiego i litewscy lekkobrojni Radziwiłła rozbili resztki Moskowicinów po ośmiu godzinach od rozpoczęcia bitwy.

Wrogowie stracili zapewne kilkanaście tysięcy zabitych i rannych. Wśród licznych jeńców do niewoli dostali się niemal wszyscy dowódcy, bojarzy i nawet kniaziowie z rodu Rurykowiczów. Efektem głośnego w całej Europie zwycięstwa było zapobieżenie powstaniu ligi antyjagiellońskiej z udziałem cesarstwa,

Moskwy, zakonu krzyżackiego i Wołoszczyzny, a także doprowadzenie do porozumienia z Habsburgami podczas zjazdu wiedeńskiego w 1515 r. Wiktoria pokazała, że mniej liczne wojsko polsko-litewskie góruje nad dowodzeniem, wyszkoleniem, organizacją oraz uzbrojeniem nad moskiewskim. Miało to się zmienić dopiero (już?) po półtora wieku z górą...



Łucznik moskiewski z lukiem refleksyjnym

RYŚ. MAREK SZYSZKO

Natomiast Smoleńsk odzyskaliśmy po prawie stuleciu, bo w wyniku wyprawy moskiewskiej Zygmunta III Wazy w 1610 r., kiedy rosyjsko-szwedzką odsiecz rozgromił pod Kłuszynem hetman wielki koronny Stanisław Żółkiewski. Przypomnijmy, że Smoleńsk znajdował się w Wielkim Księstwie Litewskim w latach 1395–1401, 1404–1514,

1611–1654. Synowi naszego bohatera – Konstantemu Wasylowi Ostrogskiemu (1526–1608) – nie dane było dorównać ojcu pod względem sławy wojennej, choć też bronił Kresów jako wojewoda kijowski, starosta włodzimierski i marszałek ziemi wołyńskiej. Wołyn z centrum w Ostrogu zawdzięcza mu przede wszystkim rozwój kultury i oświaty. Również pozostał wierny wyznaniu prawosławnemu, walczył z nią brzeską, ale mimo to został senatorem Rzeczypospolitej. Natomiast żona, Zofia Tarnowska z domu, była katoliczką i w tym wyznaniu wychowała córki.

Katolikiem z własnego wyboru został natomiast syn Konstantego Wasyla – Janusz (1554–1620), kasztelan krakowski i wojewoda wołyński, który sprowadził na Wołyn jezuitów i został ich protektorem. W 1612 r. odebrał prawosławnym cerkiew obronną, założoną przez sławnego dziadka w Międzyrzeczu Ostrogskim, i dał ją franciszkanom. Założył Ordynację Ostrogską obejmującą 24 miasta i zamki oraz 392 wsie. Umarł bez męskiego potomka, a ordynacja przeszła w ręce rodziny Zasławskich. Dodajmy na zakończenie, że i on – tak jak dziadek oraz ojciec – skutecznie bronił ojczyzny przed najazdami Tatarów. Tłumił też bunt kozacki Kosińskiego, wziął udział w kampanii inflanckiej Stefana Batorego w 1579 r. i po stronie kolejnego króla walczył z rokoszem Zebrzydowskiego pod Guzowem w 1607 r.



Polski kopytnik w pełnej zbroi maksymiliańskiej

RYS. MAREK SZYSZKO

„Knut wetknięty w mogiłę naszą...”



Maciej Rosalak

Chcę się tu podzielić dosadną, ale trafną opinią, z którą zetknąłem się na łamach „Biuletynu IPN” (nr 8/2018): „[...] dla miernot bez charakteru wszystko, co przypomina minione czasy, stanowi cenną pamiątkę, by nie powiedzieć relikwię, i tylko temu przypisać możemy, że tyle tych »pamiątek« po dziś dzień zaśmiera Warszawę”. Wbrew nasuwającym się skojarzeniom słowa te nie dotyczą obrony komunistycznych nazw ulic, przywróconych niedawno z uporem godnym lepszej sprawy przez radnych PO z panem prezydentem stolicy na czele, ale wydarzeń sięgających stu lat wstecz. Pisał o nich Piotr Jaźwiński w artykule „Derusyfikacja w Warszawie 1915–1926”, cytując „Kurier Polski” z września 1919 r.

Derusyfikacja nastąpiła po zajęciu Warszawy przez Niemców w 1915 r. i objęła najpierw pisane cyrylicą szyldy sklepów i gmachów publicznych, a potem nazwiska patronów ulic. W tym drugim przypadku znaleźli się nawet obrońcy upamiętnienia namiestnika carskiego z okresu powstania styczniowego hr. Fiodora Berga, ponieważ – jak twierdzili – „są sprawy dla ludności miasta bardziej żywotne” (skąd my to znamy?) od zmiany nazwy na... Romualda Traugutta. Dość szybko jednak ulegli. Dzisiejsi obrońcy tradycji ZSRS i PRL wykazali większą niezłomność, broniąc agenta NKWD Teodora Duracza, patrona szkoły komunistycznych morderców sądowych, przed obrońcą ofiar reżimu z lat 70. i 80. – Zbigniewem Romaszewskim. Natomiast przed stu laty otrzymaliśmy jeszcze m.in. ulice: Tadeusza Czackiego (dawniej Włodzimierską), Kredytową (d. Erywańską), Emilii Plater (d. Leopoldyny), Aleksandra Fredry (d. Kotzebue); Puławską (d. Nowoaleksandrowską), Kozią (d. Junkierską), a także pl. Trzech Krzyży (d. Aleksandra).

Niemcy nie protestowali oczywiście przeciw usunięciu pomnika feldmarszałka Iwana Paskiewicza oraz wiernych Rosji generałów polskich, rozstrzelanych przez powstańców podczas Nocy Listopadowej. Protestowali rusofile, gdyż „akt taki zostanie uznany za przejaw polskiego barbarzyństwa i ślepej zemsty... skompromituje Polaków w oczach światowych elit”. Podobnie argumentowali w II RP przeciw rozbiórce monumentalnego soboru św. Aleksandra Newskiego, ustawionego na pl. Saskim. Domagali się powołania międzynarodowej komisji do „oceny artystycznej wartości soboru”. Tymczasem prawosławne kopuły i ponad 70-metrowa wieża górowały od 1912 r. nad Warszawą jako „dzieło urągającej biurokracji rosyjskiej”, „knot, który nam cham wetknął w mniemaną przez się mogiłę naszą”. Tak pisała „Gazeta Warszawska”. Ciekawe, co by napisała o Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina, którego moskiewska bryła wznosi się nad naszą stolicą od 1955 r... O rozbiórce soboru zadecydowała w styczniu 1920 r. komisja sejmowa, a w czerwcu 1926 r. ślad po nim na placu nie pozostał... ©©

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

D-Day Normana

/ W czerwcu 1944 r. normandzkie plaże były widownią największego desantu morskiego w historii. A blisko 880 lat wcześniej przeprowadzono tutaj równie imponującą operację



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie



W 1066 r. flota ok. 700 jednostek, skoncentrowana u ujścia rzeki Dives i prowadzona przez normandzkiego księcia Wilhelma, udawała się na podbój Anglii. W gigantycznej operacji morsko-lądowej, na którą złożyły się: koncentracja wojska, jego zaokrętowanie, przeprawa i wreszcie desant oraz podbój wyspy, wzięło udział blisko 7 tys. zbrojnych, w tym konnica. Przewiezienie wielkiej liczby wierzchowców i dużej ilości zaopatrzenia było wielkim logistycznym przedsięwzięciem. Na szczęście dla Normanów przeciwnik nie przeciwdziałał.

Potomkowie pustoszących Europę skandynawskich rozbójników, osiedliw-

szy się wcześniej na północnym wybrzeżu Francji, dość szybko zaadaptowali zachodnioeuropejski sposób walki i uzbrojenie, tracąc jednocześnie wiele ze swego wikingowskiego charakteru. Formacją o znaczeniu kluczowym stała się ciężkozbrojna konnica, podczas gdy u wikingów kawalerię wykorzystywano rzadko i w zasadzie jedynie w celu zwiększenia mobilności, albowiem do walki stawano pieszo.

Kapitałnym, choć nie wolnym od uproszczeń, źródłem dotyczącym normandzkiej wyprawy jest słynna Tkanina z Bayeux. Dzięki niej oraz źródłom pisany wiemy, że wierzchowce i ludzie przewożeni byli na oddzielnych statkach. Niewykluczone, że przygotowując operację, Normanowie korzystali z doświadczeń Bizantyjczyków, u których służyli

jako najemnicy, uczestnicząc w wielu morskich akcjach. Na tkaninie wyobrażono m.in. załadunek sprzętu bojowego, w tym kolczug, które od X w. ewoluują w pełną osłonę całego ciała i określane są w źródłach pisanych jako „hauberk” lub „brodne”. Są to długie, sięgające kolan tuniki, przy czym u dołu przybierają formę spodni – wynika to zapewne ze schematyczności przedstawienia, bo znacznie praktyczniejsze, zwłaszcza dla kawalerzystów, były proste rozcięcia z przodu i z tyłu. Zastanawia także ich liczba. W scenach obrazujących bitwę pod Hastings, w której Wilhelm pokonał króla Haralda, kolczugi mają wojownicy z obu armii, co mogłoby sugerować ich masowe występowanie. Trudno w to uwierzyć, zważywszy na niemały koszt takiej osłony, sięgający czwartej części ceny niezwykle drogiego rumaka bojowego.

Głowy osłonięte są kolczymi kapturami i stożkowymi hełmami zaopatrzonymi w nosal. W interesującym nas okresie hełmy te pod względem konstrukcji występowały w dwóch wersjach. Starsza to tzw. hełm żebrowy, wyraźnie widoczny na głowach wojowników z tkaniny. Był sporządzany z kilku stalowych blach osadzanych na szkielecie za pomocą nitów. Znacznie doskonalszymi pod względem odporności na ciosy były jednak hełmy wykonywane z jednego kęsa stali. Osłony te, znane w literaturze jako hełmy „normańskie”, były spotykane w całej ówczesnej Europie, także w Polsce.

Wizerunku ówczesnego zachodnioeuropejskiego wojownika dopełniała tarcza migdałowata. Zapewniała ona znacznie lepszą osłonę ciała od powszechnie dotąd stosowanej tarczy okrągłej. Co ciekawe, także Anglosasi z tkaniny, tworzący tzw. mur tarcz, dysponują „migdałem”. Atakujący normańscy jeźdźcy posiadają komplet uzbrojenia ciężkozbrojnego, choć nie jest to jeszcze apogeum świetności kawalerii. Zamiast zmasowanej szarży przełamującej szyki wroga impetem uderzenia widzimy raczej indywidualne pojedynki. Bardzo interesującym szczegółem jest też sposób trzymania broni drzewcowej i operowania nią. Cios wyprowadzany jest znad głowy, a jeźdźcy posługują się włócznią swobodnie. Z czasem utrwalili się zwyczaj trzymania broni pod pachą, by zniwelować ciężar masywnej kopii, a do uderzenia wykorzystać energię rozpedzonego rumaka bojowego. ©©



Kawaleria za Sasa

Konnicę Rzeczypospolitej w połowie XVIII w. tworzyły wciąż chorągwie husarskie, pancerne i lekkie. Organizacja i taktyka walki pozostały zasadniczo niezmiennie, natomiast pewne zmiany zaszły w uzbrojeniu. Nieoceniony Jędrzej Kitowicz pisał: „Wpół panowania Augusta III chorągwie pancerne zatrzymały tylko imię swoje. Pancerze zaś pozarzucał i na końcu panowania Augusta III nie było więcej chorągwi zażywających pancerzów [kolczug – przyp. M.M.], jak cztery w Koronie. Miejsce pancerzów wzięły blachy żelazne tylko na piersiach jeźdźcy, szyszak na głowie zamiast miśturki i karwasze na rękę. Ta odmiana stała się dlatego, że pancerze bardzo wiele kosztowały, że się prędko dały, częstego chędożenia potrzebujące, że od kuli z muszkieta były przenikliwsze niż blacha żelazna, po której, gładko wypolerowanej, prędko się zemknęła”.

Uzbrojeniem zaczepnym pancernych były szable lub pałasze, para pistoletów, karabinki na bandolierze oraz niemal dwumetrowe dzidy. Warto wspomnieć, że oręż ten zaniknął w pierwszej połowie XVIII w. i wprowadzono go z powrotem dopiero pod koniec lat 40. Wyprawiając się na hajdamaków, w chorągwiach preferowano długą broń palną, o czym także wspominał Kitowicz: „Towarzystwo, wojując z hajdamakami, używali także małych karabinków albo sztuców [sztucerów – przyp. M.M.], zawieszając je z lewego ramienia na prawy bok, jak i szeregowi [pocztowi – przyp. M.M.]. Kiedy zażywali karabinów albo sztuców, wtenczas nie zażywano dzidów, albowiem karabin straszniejszy był hajdamakom niż dzida, którą to hultajstwo dziwnie zręcznie i daleko lepiej od Polaków szermować umiało”. ©©

Z zamkiem kołowym

W okresie wojny trzydziestoletniej zaszły istotne zmiany w taktyce walki zachodnioeuropejskiej kawalerii. Reformy króla Szwecji Gustawa II Adolfa na powrót uczyniły z niej formację przebojową, rozstrzygającą starcia w ataku na białą broń. Stopniowo odrzucano archaiczny karakoł, czyli sposób walki polegający na pojedynku ogniowym prowadzonym z wydobytych z olster pistoletów. Te ostanie nie zniknęły jednak z uzbrojenia, pozostając stosunkowo skutecznym narzędziem walki na bliskim dystansie, zwłaszcza po wymieszanu się sztyków.

W połowie XVII w. była to broń ze standaryzowaną, produkowaną masowo w Niderlandach i krajach niemieckich, wyposażona w zamek kołowy, o wyraźnej smukłej sylwetce i charakterystycznym chwycie zakończonym rozszerzającą się wachlarzowato głowicą i pozbawioną zazwyczaj jakichkolwiek zdobieć. Para pistoletów stanowiła obowiązkowe wyposażenie rajtarii, ale broni tej używano także w Rzeczypospolitej w chorągwiach jazdy narodowego autoramentu. Siegano po nią chętnie zwłaszcza w walkach z Tatarami, którzy uchodzili za szczególnie podatnych na ogień broni palnej. ©©

Granaty karabinowe

Granat ręczny miał zasadniczą wadę – niewielki zasięg ograniczony siłą ludzkich mięśni (średnio 35 m). W czasie I wojny światowej próbowano temu zaradzić, wprowadzając rozmaite stacjonarne miotacze w postaci improvizowanych katapult i sprężynowych wyrzutni. Niektóre przyjęto nawet do uzbrojenia, np. brytyjską katapultę Leacha czy wyrzutnię Westa. Okazały się one jednak nieudane (m.in. były niebezpieczne dla użytkownika), podobnie jak

niemiecki bezlufowy miotacz granatów Granatenwerfer M1916.

O wiele praktyczniejsze okazały się natomiast granaty karabinowe. Do najefektywniejszych należały angielskie millsy No. 23 i 36 oraz francuski VB, wystrzeliwane z zakładanego na wylot lufy garłacza (idea nie była nowa, ręczne granatniki popularne były w XVII i XVIII w.). Nieudane były natomiast niemieckie i austriackie granaty zaopatrzone w żelazny pręt

wkładany w przewód lufy (na zdjęciu karabin Mannlicher wz. 1895 z granatem prętowym). Powodowały one szybkie jej zużycie i były bardzo niewygodne w walce. Granaty nasadkowe okazały się bardzo użyteczne w ataku, umożliwiając eliminowanie gniazd kaemów z odległości (francuski VB miał zasięg 180 m), choć korzystano z nich i w obronie – w tym przypadku służyły do położenia zapory ogniowej. ©©





Tymoteusz Pawłowski

/ Substytuty, surogaty, zamienniki, erzace. Miały niesamowitą historię. Koją się z wojną, kryzysem i brakami na rynku. Niektóre z nich zostały zapomniane, inne zrobiły oszalamiającą karierę, zastępując pełnoprawne produkty

Oczywiście zamienników można szukać w średniowieczu, jest nim w gruncie rzeczy nawet piwo, a raczej jęczmień, który wykorzystuje się do jego produkcji.

Niegdyś produkowane było z pszenicy, jednak w czasach głodu była ona zbyt cenna, zastąpiono ją więc jęczmieniem. Planowe szukanie substytutów zaczęło się jednak wraz z powstaniem nowoczesnych państw, mających administrację wystarczająco silną do wymuszenia na obywatelach swojej woli.

Pierwszymi zatem obowiązkowymi surogatami są kartofle. Pochodzą z Ameryki, w Europie pojawiły się po niemal stu latach od ich odkrycia jako rośliny ozdobne. Dopiero wojny toczone w połowie XVIII w. sprawiły, że ziemniaki stały się podstawowym pożywieniem w naszej części Europy. Nie bez podstaw ich druga polska nazwa brzmi z niemiecka – to król Prus, Fryderyk II, wymuszał na swoich poddanych uprawę tego nie lubianego przez ówczesnych rolników warzywa.

Kolejnym warzywnym erzaczem jest burak cukrowy. Można właściwie się spierać, czy jest to zamiennik czy – całkiem serio – broń. Cukier sprowadzano z oceanu, gdzie produkowano go z trzciny cukrowej. W początkach XIX w. Brytyjczycy odcili jego dostawy do Europy, która znalazła się pod panowaniem cesarza Francuzów Napoleona. Napoleon polecił więc uprawiać buraki cukrowe – nie tylko po to, żeby zaspokoić popyt na cukier, lecz



Cywilizacja / Pożywienie, nylony, opony i inne...

Erzace

także po to, żeby doprowadzić do bankructwa brytyjskie imperium kolonialne.

Wielka wojna substytutów

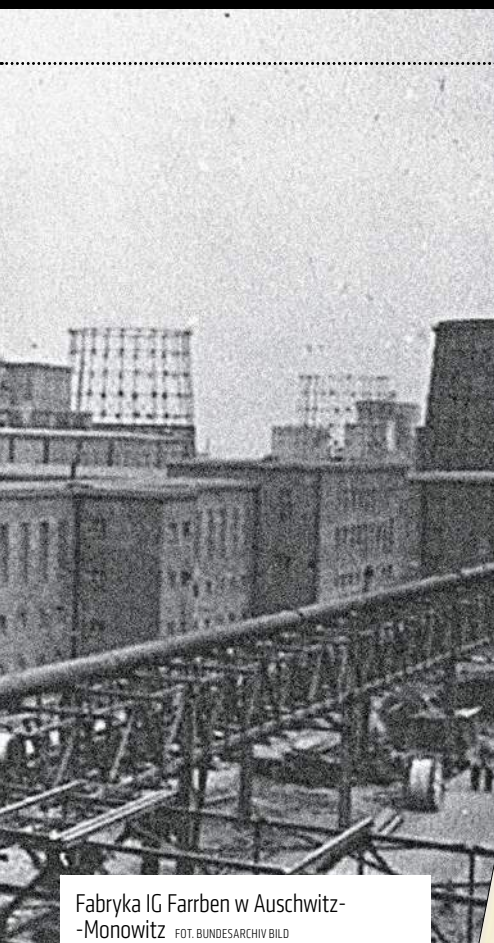
Nowoczesna historia substytutów zaczyna się wraz z I wojną światową. Sytuacja polityczna była podobna do tej z czasów wojen napoleońskich: Brytyjczycy panowali na morzach, a Europa – tym razem podbijana przez Niemców – głodowała. Do jej wykarmienia użyto zatem substancji zastępczych. Do produkcji pieczywa używano mąki ziemniaczanej, produkując fatalny w smaku komiśniak – Kommißbrot. Ziemniaki z kolei – potrzebne do produkcji chleba – zastępowano brukwią, warzywem do tej pory używanym jako roślina pastewna.

Zarówno komiśniak, jak i brukiew były znane również w czasach pokoju, jednak używano ich nad wyraz niechętnie. To dość typowe dla zamienników, z reguły są doskonale znane wcześniej, zanim pojawi się potrzeba ich masowego użycia. Tyle tylko, że są niesmaczne, drogie albo mają inne dyskwalifikujące

wady. Dyskwalifikujące w czasie pokoju, bo w czasie wojny wszystko się przydaje. Margaryna – niechętnie stosowany tłuszcz roślinny – zyskała w czasie obu wojen światowych sympatię i szacunek swoich użytkowników, regularnie ulepszana stanowi dziś podstawę diety. Podobne były losy sacharyny, chleba z „wypełniaczami” czy jajek w proszku.

Jednak to nie żywienie obywateli było najważniejszym problemem rządzących. Musieli przede wszystkim żywić wojnę. Racje żywnościowe w czasie wojny zmniejszano o dwa-trzy razy i ludzie żyli. To, że później – osłabieni fatalną dietą – umierali milionami na grype i gruźlicę, nie miało większego znaczenia dla generałów, którzy wszędzie szukali oszczędności.

Zastępowanie deficytowych produktów miało olbrzymie znaczenie gospodarcze. Drewna używano przede wszystkim do budowy domów i produkcji przemysłowej. Do produkcji drobnych elementów – czy to dla domu, czy to do wyposażenia wojskowego (choćby kolby pistoletów) – zaczęto stosować tworzywa sztuczne, początkowo kruche bakelit, następnie coraz doskonalsze plastiki. I chociaż większość z nich nie



Fabryka IG Farben w Auschwitz-
-Monowit FOT. BUNDESARCHIV BILD

produkcję syntetycznej gumy. Otwarte w 1938 r. Zakłady Chemiczne w Dębicy były czwartą taką wytwórnią na świecie (po fabrykach w Stanach Zjednoczonych, Niemczech i Związku Sowieckim).

Jeszcze większym problemem były niedobory benzyny. Próbowano radzić sobie z nimi na różne sposoby. Jeszcze

Kubie, pozbawionej wsparcia upadłego już Związku Sowieckiego).

Substytut benzyny potrzebny był również podczas kolejnej wojny światowej. Niemcy podeszli do tego nieco bardziej naukowo. Proces upłynniania węgla – dzięki któremu utrzymuje się benzynę syntetyczną – odkryli w latach 20. XX w. Franz Fischer oraz Hans Tro-pach. Do uzyskania tony paliwa potrzebne było siedem ton węgla, w tym pięć ton służyło do produkcji potrzebnej energii, nie było więc to tanie przedsięwzięcie.

Wojna sprawiła jednak, że w Niem-czech powstały fabryki benzyny synte-tycznej (ruiny jednej z nich znajdują się na terenie Rzeczypospolitej w Policach). Dopóki III Rzesza kontrolowała wydo-bycie ropy w Rumunii, dopóty fabryki te miały drugorzędne znaczenie. Od sierpnia 1944 r. były niemal jedynym źródłem pali-wa dla niemieckiej armii. Dopiero po kilku miesiącach alianci rozpoczęli bombardo-wania tych fabryk i zakończyli produkcję niemieckiego paliwa syntetycznego. Gdyby domyślili się znaczenia tych fabryk wcześniej, wojna mogłaby zakończyć się przed Bożym Narodzeniem 1944 r.

Po wojnie zainteresowanie benzyną syntetyczną znacznie zmalało – z wy-jątkiem jednego miejsca, a mianowicie Republiki Południowej Afryki. Nało-żone embargo handlowe sprawiło, że konieczna była produkcja syntetycznego paliwa, a dostęp do taniego węgla z ko-palni odkrywkowych sprawił, że było to możliwe. Do dziś większość potrzeb naftowych RPA zaspokajanych jest dzięki benzynie syntetycznej.

I chociaż benzyna syntetyczna nie jest w Europie powszechna, to jednak inne zamienniki znalazły u nas swoje miejsce. Trudno sobie wyobrazić kuchnię bez kartofli i cukru z buraków. Więk-szość „zdrowych” potraw dietetycznych – słodziki, mleko sojowe, zamienniki tłuszczów – zaczynała jako substytuty pełnoprawnych produktów. Jesteśmy otoczeni przez produkty ze sklejk, z płyt paździerzowych, ze sztucznej „ekologicznej” skóry i z materiałów syntetycznych. Ich dzieje pozwalają zastanowić się nie tylko nad drogami rozwoju przemysłu, lecz także nad polityką. Dlaczego ojczyzna większość substytutów, surogatów, zamienników – czyli po prostu: erzaców – są Niemcy? Czy świadczy to o potęgę intelektualnej Niemców, czy... wprost przeciwnie?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



w czasach I wojny światowej Rosjanie napędzali swoje samochody paliwem składającym się w 10 proc. z benzyny i w 90 proc. z alkoholu etylowego. Nie było to najlepsze rozwiązanie – fatalnie wpły-wało na silniki, a jeszcze gorzej na morale żołnierzy. (Nie był to jedyny przypadek zastąpienia benzyny alkoholem: w latach 90. XX w. zrobiono tak na socjalistycznej

zdążyła zadebiutować przed 1918 r., to zainicjowane potrzebą wojenną badania zaowocowały w następnych latach. Tuż przed II wojną światową wynaleziono w Niemczech PCW – polichlorek winylu, a w Stanach Zjednoczonych – nylon.

Nowoczesne technologie

O sukcesach w kolejnej wojnie światowej decydowały czołgi, samo-chody i samoloty. Obie walczące strony musiały zapewnić olbrzymie ilości gumy. To wówczas zadebiutowała buna – taką handlową nazwę Niemcy nadali synte-tycznej gumie. Okazała się doskonałym materiałem na opony, amortyzatory, uszczelki i inne akcesoria. W 1945 r. kauczuk syntetyczny stanowił 100 proc. kauczuku dostarczanego do Niemiec. Co ciekawe, gdy Japończycy zajęli Malaje (a tam były największe plantacje drzew kauczukowych), „bunę” zaczęli produko-wać Amerykanie. A także Polacy – nie-mający przecież plantacji drzew kauczukowych – jeszcze przed wojną rozpoczęli

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

W MAJU 1454 ROKU POD ZAJĘTĄ PRZEZ KRZYŻAKÓW CHOJNICAMI STANĄŁ DWUTYSIĘCZNY POLSKI HUFIEC. JEDNAK KOMENDANT MIASTA HENRYK VON PLAUEŃ DOBRZE ZORGANIZOWAŁ OBRONĘ, A PONADTO Z POMOCĄ MIAŁY MU PRZYJŚĆ ZNACZNE POSIEKI.



WIDOMOŚĆ O TYM DOTARŁA DO KRÓLA KAZIMIERZA IV JACIELŁONCZYKA.



PANIE, KRZYŻACY WERBUJĄ ARMİĘ ZACIEŻNĄ. MOŻE ICH BYĆ NAWET PIĘTNAŚCIE TYSIĘCY!

NIE MA WYJŚCIA. TRZEBA WEZWAĆ POD CHOJNICĘ POSPOLITE RUSZENIE!

NA WEZWANIE KRÓLA W CERKWICY NIEDALEKO CHOJNIC ZJAWIŁO SIĘ OKOŁO 20 TYSIĘCY ZBROJNYCH. ALE SWÓJ UDZIAŁ W BITWIE UZALEŻNIŁI OD PODPISANIA AKTU DAJĄCEGO SZLACHTCIE PRZYWILEJE. DOKUMENT NAWZAJEM PRZYWILEJEM CEREKWIĆ ZAKŁADAŁ MIĘDZY INNYMI, ŻE KRÓL NIE BĘDZIE MÓGŁ POWOŁYWAĆ POSPOLITEGO RUSZENIA BEZ ZGODY SEJMIKÓW ZIEMSKICH. KAZIMIERZ JACIELŁONCZYK NIE MIAŁ WYJŚCIA 1 15 WRZEŚNIA 1454 ROKU PODPISAŁ DOKUMENT.



DO BITWY POLSKIE WOJSKA RUSZYŁY JEDNAK BEZ PLANU I ODPOWIEDNIEGO PRZYGOTOWANIA, LICZĄC PO PROSTU, ŻE MAJĄC PRZEWAGĘ NAD ZACIEŻNYMI WOJSKAMI KRZYŻACKIMI ODNISĄ ŁATWIE ZWYCIĘSTWO. POCZĄTKOWO WIELE NA TO WSKAZYWAŁO, BO W PIERWSZYM ATAKU JAZDY ZGINĘŁO KILKU WRÓCICH DOWÓDCÓW.

JEDNAK WÓWCZAS DO BITWY WEĄCZYŁY SIĘ ODDZIAŁY Z CHOJNIC...



...I RUSZYŁY PROSTO NA POLSKIE OBOZOWISKO POZBAWIONE ODPOWIEDNIEJ OŚLONY.

MUSIMY ICH ODEPRZEĆ!

ZA MAŁO NAS, NIE DAMY RADY! UCIEKAJMY, PÓKI SIĘ DA!



UCIECZKA KRÓLA KAZIMIERZA IV DOPROWADZIŁA DO WYBUCHU PANIKI. POLACY WYCOFUJĄCY SIĘ PRZEZ WĄSKĄ GROBLĘ TRATOWALI SIĘ, LUB WPADALI DO JEZIORA I GINĘLI.

rysunki: Wyrzykowski & Jasiński 2019



PO STRONIE KRZYŻACKIEJ ZGINĘŁO TYSIĄC WALCZĄCYCH, PO POLSKIEJ PONAD TRZY TYSIĄCE, W TYM WIELU ZNANYCH RYCERZY, JAK NP. JAN ZAWISZA Z ROŻNOWA, SYN ZAWISZY CZARNEGO. KOLEJNYCH PONAD TRZYSTU RYCERZY TRAFIŁO DO NIEWOLI. STRACONO TEŻ PIĘĆ CHORĄGWI, 16 DZIAŁ I TABOR. KLĘSKA POD CHOJNICAMI MIAŁA WIELE POWAŻNYCH KONSEKWENCJI I POMOGŁA KRZYŻAKOM W ODZYSKANIU UTRACONYCH WCZEŚNIEJ MIAST I ZAMKÓW. NA WIEŚĆ O WYNIKU BITWY WOJSKA POLSKIE ODSTĄPIŁY RÓWNIEŻ OD OBLĘŻENIA TWIERDZY W MALBORKU.



**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

„Kurier”, czyli znów słabo

Obejrzałem „Kuriera” w reżyserii Władysława Pasikowskiego i według scenariusza Jana Ołdakowskiego oraz Dariusza Gawina. W skali od 2 do 5 będzie to ocena w okolicy 3+ lub 4–.

Składa się na to – u mnie już tradycyjna – negatywna ocena detali historycznych, takich jak np.:

1. zbyt mocno wyprasowane mundury, które wyglądają jak muzealne;

2. niepodobni do rzeczywistych postaci aktorzy (Sosnkowski – za niski, zbyt duży wąs, niepodobne do niego gesty; Churchill – kompletnie jak nie on; Mikołajczyk – niby widać, że chłopski i szkodnik, ale za stanowczy jakiś taki; Okulicki – zrobiony na poważniejszego niż w rzeczywistości, bez śladów choroby alkoholowej);

3. plastikowe okna, których – błagam na przyszłość! – w tamtej nietandetnej Warszawie nie było;

4. nazbyt podstarzali niektórzy rekonstruktorzy armii niemieckiej (często z SS);

5. powtarzający się w dwóch niezależnych scenach ten sam dorożkarz;

6. powtarzające się plenery i ten współczesny wygląd okolic pomnika Kopernika i kościoła św. Krzyża... (może kiedyś na potrzeby filmu ktoś odtworzy realną Warszawę).

Scenariusz niezły. Jan Nowak-Jeziorański odbywa misję do okupowanego kraju na zlecenie Naczelnego Wodza (jed-

nak sposób i forma, w jakie tę misję kreśli mu Sosnkowski, są niepoważne), by zatrzymać katastrofę związaną z „Burzą” i powstaniem warszawskim. Kij w szprychy wkłada w tę misję gen. Stanisław Tatar – na szczęście w filmie zasugerowano, że to „zły człowiek był”.

I wszystko byłoby pewnie OK, gdyby nie rzucająca się w oczy sztuczność – w której widzę sporo z postawy autorów scenariusza wobec powstania (może złe, ale nic lepszego nie było). Oto Jan Nowak wypełnia misję, prywatnie wygłasza wcześniej wiele realistycznych opinii o Polsce, którą z rąk niemieckich przejmą Sowietci i będzie po nas; że nie potrzebujemy rozlewu krwi i powstania w Warszawie. Prezentuje to stanowisko wobec „Bora”, w obecności całej Komedy

**/ Wszystko byłoby
pewnie OK, gdyby nie
rzucająca się w oczy
sztuczność...**

Główniej AK (pomijam to, że te rozmowy z końca lipca były o wiele bardziej dramatyczne), po czym nagle (po ponad godzinie filmu) odwołuje swoje stanowisko i wygłasza opinię kompromitującą dla żołnierza – że bój sensu nie ma, że czeka nas całopalny stos, ale to inwestycja w przyszłość (wcześniej mówi o tym Okulicki). No i zaczyna się powstanie (dzieciarnia i dorośli rzucają się na Szwabów), a film się kończy.

Sposób nakręcenia tej sceny jest tak sztuczny, że bije po oczach swoją

niewiarygodnością! I wcale nie buduje z Jana Nowaka bohatera – a mógłby! Obawiam się, że dla młodych ludzi będzie to kompletnie niezrozumiałe, bo Nowak był przeciw i za jednocześnie. Pomijam tu rzeczywistość historyczną i różne opinie Nowaka o swej misji i stosunku do powstania.

Zakończyłbym film świetnym przemówieniem Jana Nowaka z inauguracji Radia Wolna Europa – jego mocny głos, forma mowy i słowa o wolnej Polsce łapią wciąż za gardło! I świetnie podkreśliłyby to, co pojawiło się w napisach końcowych – że Jan Nowak służył całe życie wolnej Polsce.

Pozytywnym filmu jest jednak wprowadzenie w tematykę powstania krytyków – wprawdzie słabo (w podtekście jest propagandowa wizja, że Sosnkowski jest daleko i nie rozumie realiów kraju) i np. bez Bokszczanina, ale ten krytyczny pogląd wobec „całopalnej ofiary” po prostu JEST. I Tatar potwór – też JEST zły! I bolszewicy – też SĄ źli i „Bór” w ich pomoc nie wierz! No i Mikołaj, Mikołajewicz, Mikołajczyk – ojcem powstania! To fakt!

Sensacja – jak to u Pasikowskiego – jest, chociaż naciągana (nie ma w tym filmie takiego napięcia jak w „Jacku Strongu” i dialogi są gorsze). Grę aktorską niech inni oceniają.

Tak więc raczej 3+ niż 4–, ale uczniów bym na ten film zaprowadził (lepszy niż te wszystkie panny wojenne i inne „szlagiery” one są na 2 lub 3=).

Reżyser i autorzy scenariusza dobrze chcieli!

Da się zrobić z tego opowieść – pod warunkiem że nauczyciel nie będzie strajkował, a historykiem w szkole nie będzie Broniarz. ©©

REWOLWER HDR 50 NA KULE GUMOWE

NOWOŚĆ



Militaria.pl

~~459~~

299 ZŁ

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POZNANIA • SZCZECIN AL. PIASTÓW 53
WROCLAW OŁAWSKA 16 • WROCLAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK